

MAJA GULKA

Wszyscy mamy
COŚ DO UKRYCIA



KOMEDIA KRYMINALNA

MAJA GULKA

Wszyscy mamy
COŚ DO UKRYCIA



WYDAWNICTWO
VECTRA

MAJA GULKA

Wszyscy mamy
COŚ DO UKRYCIA

Redakcja
Ewa Hoffmann-Skibińska
Robert Ratajczak

Korekta
Natalia Jargieło
Fotografia autorki
Joanna Tarnawska

© Copyright by Maja Gulka
© Copyright by Wydawnictwo „Vectra”

Projekt okładki, skład i łamanie
Natalia Jargieło

Druk i oprawa
WZDZ Drukarnia Lega, Opole

978-83-65950-97-0

Wydawca
Wydawnictwo „Vectra”
Czerwionka-Leszczyny 2022
www.arw-vectra.pl

Mojej przyjaciółce Marcie

*Ku pamięci wszystkich naszych zwariowanych przygód, których nie opisałam w
tej powieści.*

Prolog

Od pewnego czasu kondycję naszej firmy kwestionowano. Podjęto mnóstwo prób zażegnania kryzysu, by ostatecznie wezwać na pomoc specjalistę do zadań specjalnych. Kto mógł przypuszczać, że ta, w gruncie rzeczy, drobna robótka położy faceta trupem, i to w rozumieniu ścisłym, to znaczy – nieodwracalnym!

Wiadomość o zajściu zastała mnie w wyjątkowo niefortunnym momencie: byłam akurat śmiertelnie zajęta robieniem maślanych oczu do sąsiada spod czwórki. Właśnie wtedy jego ręka, po kilku tygodniach moich usilnych, acz potajemnych starań, wreszcie ujęła moją talię. Już miałam przyssać się do jego ust, niczym glonojad syjamski do akwariowej szyby, gdy nagle – jak na złość! – wybuchła ta afera. Zmiękły mi kolana, lecz bynajmniej nie z powodu objęć przystojnego bruneta. Wiedziałam już, że to tylko kwestia czasu, kiedy i do moich drzwi zapukają śledczy.

Pierwszy o sprawie doniósł mi Krzysiek:

„Wiesz już?” – pisał w SMS-ie. „Podobno w szkolnej bibliotece znaleźli Piotra. Nie żyje”.

Również w ocenie Krzyśka transporter policyjny miał podjechać pod mój dom raczej prędzej niż później. Grunt, że Krzysiek nie próbował podsycać we mnie złudnych nadziei, jakoby dochodzeniówka nie miała powodów, by w nadchodzących dniach zechcieć zaangażować się w bliższą ze mną znajomość.

Trudno było dyskutować, że okoliczność mojej niedawnej potyczki z coach'em nie wieszczyła mi obiecującej przyszłości. Do diaska! A jeszcze tego ranka snułam wielkie plany, jak utrzcć Lemparowi nosa...! Tymczasem to on zapędził mnie w kozi róg! I to ja miałam już wkrótce znaleźć się na językach.

Ogarnięta falą bulwersacji, wyswobodziłam się z ramion Adama i wparowałam do kawalerki. Pomimo sierpniowego ukropu, który przesycił całe poddasze, zatrzymałam rżący wentylator pokojowy. Ściszyłam też głośniki, rozbrzmiewające szorstkim głosem Ostrego w tym kawałku ze szczęściem w tytule. Szczęściem, jakiego – jeszcze przed momentem – zażywałam na romantycznym balkoniku, w towarzystwie mojego osobistego Romeo, i które raptem pierzchło, zdawać by się mogło, bezpowrotnie. Zamiast muzyki, budującej ów poufały nastrój, włączyłam stary turystyczny telewizor z trójkątną anteną u góry. Kilka tygodni wcześniej przywlokłam go na Kampinoską wraz z masą innych, mniej lub bardziej (choć głównie mniej) reprezentacyjnych kłopotów, podczas mojej brawurowej ewakuacji z domu rodzinnego na Sępólnie.

Instynktownie wybrałam kanał regionalny.

...Do zdarzenia doszło w bibliotece wrocławskiej szkoły językowej „UrbanClass” – obwieszczał dramatyczny alt telewizyjnej spikerki.

W tej bibliotece zawsze coś śmierdziało – skomentował do kamery jakiś młokos.

– Co?! Kłamie...! A w ogóle to nie jest nasz uczeń!?

...Na tyłach był wucet dla personelu... Może to w nim ukrył się sprawca...?

Policja nie ujawnia szczegółów zajścia, powołując się na dobro śledztwa – relacjonowała dalej reporterka. – Nieoficjalnie mówi się, że ofiara zginęła od uderzenia w tył głowy – podała. – Jak na dobre imię firmy wpłynie fakt, że nie żyje warszawski konsultant, po wizycie którego wizerunek placówki miał ulec poprawie?

Właśnie...! Co za partanina!?

Czy facet naprawdę musiał zejść akurat podczas delegacji w naszej szkole? I to w dodatku teraz?! Mógł poczekać jeszcze ze dwa tygodnie...? Do tego czasu moja znajomość z Adamem zdążyłaby nabrać rumieńców, a tak – wszystko szlag trafi! Przeczuwałam, że cały ten audyt jeszcze odbije mi się czkawką, ale żeby aż tak!?

Choć śledczy nie wykluczają wtargnięcia na teren ośrodka osób postronnych, zgromadzone dotąd poszlaki przemawiają za tym, że w zbrodnię zamieszany

może być personel placówki — zaalarmowała dziennikarka. Kto i w jaki sposób mógł skorzystać na śmierci konsultanta?

Wlepiłam wzrok w sufit.

...Czy mężczyzna dotarł do jakichś niewygodnych faktów, które grono pedagogiczne „UrbanClass” postanowiło zatuszować?

— On dotarł?!

Kilka razy — przed kamerą znów wypowiadał się ten sam dryblas, co wcześniej — nie dostaliśmy do wglądu naszych sprawdzianów, bo ktoś dał je na makulaturę. Pewnie wyniki się nie zgadzały...

— Nie no, znowu łże...! — Gwałtownie wyrzuciłam ręce przed siebie. — ...Ktoś POMYLIŁ te testy z makulaturą, bo ktoś inny zostawił je w toa... na tyłach biblioteki! Poza tym to zdarzyło się tylko raz...!

Czy Piotr Lempar zdążył powiadomić o swoim odkryciu odpowiednie władze? — pytała reporterka.

— Tu potrzebny byłby samodonos! — Wzięłam się pod boki.

...Te pytania zadaje sobie dziś każdy wrocławianin. Tymczasem funkcjonariusze zapowiadają, że po wnikliwej analizie zgromadzonych poszlak, jeszcze w tym tygodniu wniosą do prokuratury o tymczasowy areszt dla osoby, która dysponowała najsilniejszym motywem do popełnienia tej strasznej zbrodni.

Skołowaciałam.

Byłam jak Andrzej Gołota u progu nowego milenium, powalony prawym sierpowym Tysona, nim jeszcze ich starcie na dobre się zaczęło.

Z kolei rześka jak poranek dziennikarka kontynuowała w oficjalnym tonie, zwracając się teraz najpewniej do dolnośląskich zwierzchników policji oraz szkolnictwa:

Panie komendancie, panie kuratorze: czy mieszkańcy Wrocławia i ich dzieci mogą spać spokojnie? — Leciutko nachylona, przez chwilę wpatrywała się srogim wzrokiem w obiektyw telewizyjnej kamery, zupełnie jakby czekała na odpowiedź na zadane pytanie.

Jako że ta jednak nie nadeszła, wyprostowała się, niby na znak zawieszzonego przesłuchania.

O dalszym rozwoju sprawy będziemy informować państwa na bieżąco — obietnicę tę skierowała znów do widzów. — Paulina Skarżyńska dla programu „Sama Prawda”.

Rozdział 1

Sugestia, jakoby w podróż na tamten świat wyeksponował coacha któryś z lektorów naszej kadry, zaczęła zataczać w moich myślach coraz szersze kręgi. Na ekranie telewizora migały kolejne ujęcia z siedziby „UrbanClass”, a siła ich perswazji była naprawdę godna podziwu. Emitowano w kółko te same materiały.

W ciągu zaledwie kilku minut zapamiętałam ich treść w najdrobniejszym szczególe: przednia elewacja budynku szkoły (starannie wyselekcjonowana perspektywa skupiała się na fragmencie, od którego odpadło kilka płytów tynku po remoncie elewacji sąsiedniej kamienicy), opustoszałe korytarze, uchylone i oklejone policyjną taśmą drzwi biblioteki szkolnej...

Obrazom tym towarzyszył akompaniament ledwie słyszalnego poświstu, zupełnie jakby mikrofony ekipy telewizyjnej zdołały zarejestrować widmo oddechu cichego zabójcy audytora. A może był to syk powietrza, uchodzący z ciała nieboszczyka, którego duch, wydostawszy się z sieci martwych tkanek, unosił się ponad bibliotecznymi regałami w postaci niedostrzegalnej gołym okiem mgiełki?

Wzdrygnęłam się pomimo ponad trzydziestostopniowego upału.

Telewizja wyemitowała fragment konferencji prasowej, którą, w trybie pilnym, zwołano przed budynkiem szkoły. Magister Jolanta Olszak, dyrektorka „Urban-Class”, odpowiadała na pytania namolnych reporterów. A oni, najwyraźniej, już wydali werdykt w sprawie — winny był wśród nas. Na to szefowa gorąco przekonywała o moralnej nieskazitelności każdego z zatrudnionych przez nią lektorów: jak na przykładowych pracowników oświaty przystało.

Choć, właściwie, medal za nieugiętość w pierwszej kolejności należałby się właśnie jej. Przynajmniej, jeśli wziąć pod uwagę brak

możliwości negocjacji wynagrodzenia oraz pozbawione wszelkich wygod warunków pracy.

Tuż za dyrektorką stała jej zastępczyni, magister Bożena Wysocka. Wicedyrektorka raz po raz poprawiała na nosie ciemne okulary. Zdecydowanie nie była w dobrej formie. Zresztą, trudno było się jej dziwić. Podobno to właśnie ona ściągnęła konsultanta do Wrocławia. Tak jak my wszyscy, musiała doznać silnego szoku na wieść o tym, że coach aktualnie stygł na posadzce biblioteki naszej szkoły, zaś służby ratunkowe właśnie wypisywały mu pilne skierowanie do jednego z miejskich prosektoriów.

— Znałaś typa? — z letargu wyrwał mnie głos Adama.

Zwróciłam się do niego twarzą, ale speszona jego spojrzeniem, szybko przysiadłam na brzegu biurka tuż za nim.

Adam przysunął sobie fotel obrotowy. Usadził się na nim i wsparł łokcie na kolanach.

— Wbrew własnej woli — odpowiedziałam w końcu.

— To pewnie trafi ci się zaproszenie na Podwale.

— I to nie byle jakie! Coś czuję, że mogą próbować przyklepać mi wejściówkę all inclusive...! — zachnęłam się.

— Nie przesadzaj, to normalna procedura.

Przez usta dziennikarza przemknął pokrzepiający uśmiech. Wyciągnął się na krześle, a przedramiona luzacko zarzucił na podłokietniki.

— Gliny wezwą każdego potencjalnego świadka. Wszystkich którzy...

— Sęk w tym... — weszłam mu w słowo — ...że ja nie jestem potencjalnym świadkiem! Może się jeszcze okazać, że zostanę... główną podejrzaną!

Adam przybrał ciut zgrywny wyraz twarzy.

— Już jesteś główną podejrzaną, tyle że w innej sprawie...

— Niby w jakiej?

— Podobno mówią już o tym na mieście...

— Co? O czym...!?

— Że przez ciebie taki jeden zaczął rwać ludziom kwiaty z przydomowych ogródków... — Wyszczrzył się.

Wybuchnęłam śmiechem.

— A niby dlaczego policja miałaby się ciebie czepiać?

— Kiedy widziałam coacha po raz ostatni — zaczęłam niepewnie — facet złożył mi pewną... — chcąc znaleźć odpowiednie słowo, zaczęłam wędrować spojrzeniem po klepkach podłogowego parkietu — ...propozycję.

— Co takiego? — Wnikliwy dziennikarski radar zadziałał bez zarzutu. — Propozycję...? — Adam podejrzliwie uniósł brew.

Potwierdziłam ruchem głowy, choć nie zamierzałam wdawać się w szczegóły tej draki. Mój sąsiad, a przede wszystkim obiekt zadurzenia, był ostatnią osobą, z którą chciałam omawiać tę sprawę.

Niestety Adam w mig dodał dwa do dwóch. Można się było tego spodziewać. W końcu praca w redakcji śledczej pod okiem Grzegorza Walczewskiego, powszechnie cenionego publicyście, zobowiązywała do posiadania choćby elementarnych zdolności dedukcji.

— Coś ewidentnie zaczyna tu śmierdzieć. I nie mówię o tym zapaszku z rur, bo było go czuć już wcześniej. — Dziennikarz na moment uniósł kącik ust, lecz jednocześnie otaksował mnie badawczym spojrzeniem. — Czego od ciebie chciał cały ten wasz... trener? — zapytał z naciskiem na ostatnie słowo.

A niech to. Niepotrzebnie napomknęłam o tym poniżającym incydencie.

— Szantażował mnie.

— Szantażował?! — chłopak nieznacznie podniósł głos, prostując się na krześle. — Co chcesz przez to powiedzieć?!

Głośno westchnęłam.

— Dyrekcja zleciła Lemparowi sporządzenie oceny pracy personelu. Miał to zrobić na podstawie własnych obserwacji z naszych lekcji pokazowych. Każdy z lektorów musiał przeprowadzić taką pod jego

okiem. Podobno kierownictwo miało uzależniać od tego decyzję o podwyżkach dla kadry...

— I tobie ta lekcja nie poszła najlepiej, tak?

— Co...!? — oburzyłam się. — Zwariowałeś!?

— Tak tylko pytam... — Adam uniósł ręce w przeproszającym geście.

Pokręciłam karcąco głową.

— Obeszło się bez ofiar.

Adam posłał mi skonsternowane spojrzenie.

— Przynajmniej do czasu — dodałam szybko. — Ale wyobrażasz sobie? Palant sądził, że połaszę się na dodatkową kasę. — Rzuciłam Adamowi sugestywne spojrzenie. — Powiedział, że idealnie skrojoną opinią może załatwić mi pewny awans. Oczywiście nie za darmo...

— A niby czego chciał w zamian? — Dziennikarz nagle spoważniał.

— Naprawdę muszę mówić?

— Żartujesz!? — Adam zerwał się z krzesła. — Chcesz mi powiedzieć, że ten bydlak złożył ci niemoralną propozycję? — Zbliżył się do mnie, mrużąc powieki.

Poczułam na policzku ciepło jego oddechu. Że też okoliczności nie sprzyjały temu, by podnieść głowę, napotkać jego usta (zupełnie niezamierzenie przecież), a potem, wobec braku możliwości odwrotu z powodu blokującego mnie biurka, zamknąć oczy i ulegle runąć w przepaść jego pocałunku...

Nie, ta chwila miała wyglądać zupełnie inaczej! Dlatego, ze spuszczonego wzrokiem, na zadane pytanie odpowiedziałam nieznacznym skinieniem głowy i, zsunąwszy się chyłkiem z mebla, wyminęłam chłopaka, pozostawiając go za sobą.

Stałam po środku pokoju, z twarzą zwróconą w stronę otwartych drzwi balkonowych.

— Kiedy zrozumiałam, co trener mi sugeruje, chciałam dać dyla do gabinetu dyrektorki. Wtedy coach zagroził, że jeśli pisnę kierownictwu choć słówko, wszystko obróci przeciwko mnie!

— Pff! — Dziennikarz prychnął. — Niby w jaki sposób miałby to zrobić?

Mimowolnie skuliłam głowę w ramionach.

— Wszystko przez to, że spóźniłam się kilka minut na swoją lekcję pokazową...

Adam znów stanął obok mnie.

— ...choć mogło to być jakieś dziesięć minut — stwierdziłam po chwili namysłu. — No, może góra kwadrans.

— O-keej...? Robi się coraz ciekawiej...

Objęłam spojrzeniem widok roztaczający się za oknami kawalerki. Na tle błękitnego nieba malowały się dachy zabytkowych willi starego Borka, przeplatane czubkami koron drzew.

— Wszystko przez tę nawałnicę, która zalała mi elektronikę w aucie! — Próbowałam znaleźć coś na swoją obronę. — To było dokładnie tamtego dnia. — Skrzyżowałam ręce na piersiach i zaczęłam nerwowo krążyć po pokoju. — Nie dość, że mój staruszek poszedł na złom, to jeszcze będę miała na karku gliny!

Moje myśli natychmiast pogalopowały daleko, wyprzedzając wszelkie możliwe działania policji. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam kajdany skuwające moje nadgarstki, kluczowe miejsce na ławie oskarżonych, które miałam już wkrótce zając, uderzenie sędziowskiego młotka, a na koniec — obskurną celę więzienną na Kleczkowskiej. I spacerniak, którego układ wymuszał mechaniczne krążenie w koło, do czego moja zapobiegliwa podświadomość najwyraźniej postanowiła zawczasu mnie przygotować. Zawzięcie maszerowałam teraz po swoim pokoju w tę i z powrotem, zupełnie tak, jakby jego ściany stanowiły barierę, której nie wolno mi było przekroczyć.

Gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę, wstrząsnął mną wewnętrzny sprzeciw. Natychmiast się zatrzymałam. Wysłałam do przedpokoju i przysiadłam na komódce. Wiedziałam, że muszę coś wymyślić, zanim ziści się moja straszna wizja.

Adam stanął naprzeciwko mnie i wbił we mnie pytające spojrzenie.

— Lempar zagroził, że jeśli pisnę dyrekcji choćby słówko na temat naszej rozmowy — powtórzyłam — powie, że to ja go nękałam. A robiłam to po to, by zataił w raporcie moje spóźnienie.

— Ale ty i tak to zgłosiłaś?

— Tak... — bąknęłam. — Miałam zamiar to zrobić — dodałam z pełną determinacją. — Niestety nie zdążyłam, bo... — Znów ściszyłam głos.

— Jak to nie zdążyłaś?!

— Powiedzmy, że miałam na głowie inne zmartwienia.

Ruchem głowy wskazałam na jeszcze do niedawna zagubiony, a potem szczęśliwie odzyskany obraz zawieszony na ścianie tuż ponad moją głową.

— Zamierzałaś cokolwiek zrobić w kwestii tego złamasa?

— Oczywiście! — potwierdziłam, próbując podnieść swoją wiarygodność oczami rozszerzonymi do granic możliwości. — Nawet byłam dzisiaj w szkole, żeby pomówić o sprawie z dyrekcją. To znaczy... byłam już niedaleko, ale kiedy zobaczyłam tłum szturmujący budynek, stwierdziłam, że to nie jest dobry moment...

— I ten tłum cię nie zdziwił? O ile się orientuję, to w waszej szkole trwa przerwa semestralna. Co mieliby tam robić ci wszyscy ludzie?!

— Masz rację, mamy przerwę w kursach. Ale szkoła jest otwarta, szczególnie że trwa rekrutacja na kolejny semestr...

— I ty pomyślałaś, że... to są nowi klienci „UrbanClass”, tak? — Adam z trudem zachował powagę.

— A wiesz, że miałam solidne podstawy, żeby tak myśleć? — Próbowałam się bronić, choć od początku doskonale wiedziałam, że to wytłumaczenie było wyjątkowo mało prawdopodobne. — Nie dalej, jak dwa tygodnie temu, taki stan rzeczy zapowiedziała nam dyrekcja. Dzięki warsztatom z coachem mieliśmy wyprzedzić wszelką konkurencję! Pamiętam jak dziś, kiedy szefowe mówiły, że nowi kursanci już wkrótce będą walić do „UrbanClass” drzwiami i oknami.

— Chyba potraktowałaś te słowa zbyt dosłownie — skrytkował Adam, nie mogąc powstrzymać rozbawienia, w które wprawiły go moje słowa. Zdradzały go rozweselone oczy.

Cóż, prawda była taka, że każdy pretekst był dobry, by rozmowę z dyrektorką odłożyć na później. Bałam się, co może z tego wszystkiego

wyniknąć, a co gorsza, nie byłam gotowa na ponowną konfrontację z trenerem.

— Czyli jeszcze nikomu o tym nie powiedziałaś, zgadza się? — zapytał znów Adam.

— No... niezupełnie. — Wnętrzem dłoni potarłam kark. — Wie o tym jeden z lektorów, Krzysiek. Wpadłam na niego niedługo potem. Krzysiek od razu zauważył, że coś mnie gnębi. Zapytał, co się stało, no to mu powiedziałam...

— Zaraz, a Krzysiek to przypadkiem nie jest ten wasz szkolny plotkarz, o którym już nieraz mi mówiłaś?

— Bez przesady, wszyscy lubimy od czasu do czasu trochę poplotkować.

— Czyli możemy śmiało zakładać, że prędzej czy później sprawa i tak wyjdzie na jaw.

Dziennikarz skrzyżował ręce na torsie. Na swoim, jak mniemam, wysportowanym torsie, którego subtelny kontur rysował się pod cienkim materiałem T-shirtu.

— No coś ty, kto jak kto, ale Krzysiek nie puści pary z ust — odparłam, z trudem oderwawszy wzrok od klatki piersiowej Adama. — Ufam mu.

— Nie musi. — Zdmuchnął z czoła opadający kosmyk włosów. — Jesteś pewna, że nikt przypadkiem niczego nie podsłuchał? A może monitoring coś zarejestrował? Zakładam, że w waszej szkole są kamery.

A niech to. Adam miał rację. To było bardziej niż pewne, że w taki czy inny sposób wkrótce wszystko się wyda!

Rozdział 2

Krzysiek zatelefonował do mnie góra kwadrans później — tuż po tym, jak komisarze opuścili jego mieszkanie.

— Marta...? Jest gorzej, niż myślałem! Właśnie wyszły ode mnie gliny!

— Od ciebie? A po co oni do ciebie przyszli?

— Też się zdziwiłem! Szczerze mówiąc, myślałem, że zainteresują się przede wszystkim tobą.

— Co...!? — Oburzyłam się.

— A ty co? Z choinki się urwałaś!? Nie wiesz, że wieści w naszej szkole szybko się rozchodzą?

To pytanie zabrzmiało niedorzecznie, zwłaszcza że, według mojej wiedzy, obciążające mnie poszlaki z całej szkoły znał dotąd jedynie Krzysiek?!

— Więc ciebie też podejrzewają, tak? — Zignorowałam jego wysublimowaną aluzję.

— Teraz już tak.

— Co to znaczy „teraz”? Mów, coś zmalował...

— Zaczęło się od mielonki.

— Od czego? — Skrzywiłam się.

— Znaczą się, od kiełbasy. Chociaż nie. To się zaczęło dużo wcześniej... Od zakładu chłopaków...

— Jakiego zakładu? Jakich chłopaków?!

— Moich współlokatorów. Ciągłe robią jakieś kretyńskie zakłady. To studenci, rozumiesz? Chcą się bawić, a poza tym jara ich rywalizacja...

— No i?

— No i chodzi o to, że... — zawahał się — ...oni... jakby ci to...? Powiedzmy, że moi kumple kolekcjonują... tego, no... oznakowanie

drogowe — wypluł wreszcie. — Kumaszc?

— Eee...?

Krzysiek ciężko sapnął.

— Ojeju, no kradną te znaki! Wiesz, dla fun'u...

— Co?! Kto dla fun'u kradnie znaki drogowe?!

— No przecież mówię: moi skretyniali współlokatorzy!

— Rzeczywiście dziwnych masz znajomych — chrząknęłam. — Ale co to ma do rzeczy?

— Ano ma, ma! I to bardzo wiele! Chłopaki trzymają te znaki u nas na chacie, w przedpokoju. Czaisz? No więc wyobraź sobie, że wbija do mnie policja, żeby rozeznac się, kto ja jestem i czy ze mną wszystko aby na pewno tenteges, bo jak nie, to może warto by się było mną zainteresować? A może akurat mam coś na sumieniu, na przykład przedwczesne odejście trenera?

— Chcesz mi powiedzieć, że przywłaszczenie oznakowania drogowego czyni cię podejrzanym w sprawie Lempara? Okej, może nakryli was na czymś nielegalnym, ale w świetle tego, co mają na mnie, raczej i tak możesz spać spokojnie — prychnęłam. — No a ta... czekaj... mielonka...? Co do tego wszystkiego ma jakaś mielonka!?

Krzysiek przełknął ślinę.

— Rano robiłem sobie kanapki. Chciałem obłożyć je kielbasą, ale nóż był tak tępy, że kiedy próbowałem ją pokroić, skubana się rozpląszczyła i wylał z niej cały środek. I zamiast plastrów kielbasy miałem na chlebie mielonkę...

— Serio...?

— No, poważnie ci mówię!

— Krzysiek! Co mnie obchodzi kielbasa, z której zrobiłeś mielonkę na chleb!?

— Daj mi powiedzieć...! Po południu postanowiłem naostrzyć nóż. A że wygrzebałem osełkę, to stwierdziłem, że nie zaszkodzi zająć się też pozostałymi. Skąd miałem wiedzieć, że policja do mnie przyjdzie!? — jęknął. — Wszystko leżało na blacie, ułożone w rzędzie: trzy noże

kuchenne, cztery do obierania warzyw, trzy do serów i dwie pary nożyczek! Szkoda, że nie widziałaś ich min, kiedy weszli do kuchni. Typiara chciała zawinąć mnie od razu, ale jej partner powiedział, że to za mało...

— Za mało ostrych narzędzi?!

— Jakich ostrych narzędzi...? Tępe były, przecież mówię! Ty mnie w ogóle słuchasz? Temu glinie chodziło o to, że te poszlaki o niczym nie świadczą. I miał zresztą rację...

— I co było dalej?

— Jak chłopaki przyszli do domu, to kazali im oddać te znaki.

— I co? Oddali?

— Żartujesz!?

— No to co zrobili? Powiedzieli, że to ich własność!?

— A gdzie tam! Tamci nie chcieli ich zabrać. Kazali odnieść je na miejsce. Odnieść i z powrotem zamontować. No wiesz, przywrócić zniszczone mienie do poprzedniego stanu.

— I oni poszli to zrobić?

— Jeszcze nie. Opracowują strategię, bo... to wcale nie jest taka prosta sprawa. Jakby ich teraz jakiś przypadkowy patrol przyłapał albo ktoś by na nich uprzejmie doniósł, że majstrują przy oznakowaniu, to im te ich wygłupy jeszcze pójda w pięty...!

— A ty?

— Co ja? Ja nie mam z tym nic wspólnego!

— Chodzi mi o policję.

— Nic. Ostatecznie sobie poszli. Ale wiesz co? Jest jeden szkopuł, który zastanawia mnie w tym wszystkim. To znaczy, cała ta sprawa jest strasznie podejrzana, ale jest jedna rzecz, która szczególnie nie daje mi spokoju... Podobno trupa znaleźli w piątek — powiedział w zamyśleniu — ale z jakiegoś powodu informację o morderstwie ujawniono dopiero dzisiaj. Nie wydaje ci się, że coś musi być na rzeczy, skoro zarówno Olszakowa, jak i gliny, trzymały tę sprawę w tajemnicy blisko trzy dni?

— Szczerze mówiąc, pierwsze słyszę, że to się stało w piątek...

Czerwona lampka alarmowa zamrugała mi gdzieś z tyłu głowy (właściwie była to niebieska lampka, podobna do koguta na dachu radiowozu, który był już w drodze na Kampinoską. Wizualizacji tej towarzyszył charakterystyczny akompaniament policyjnej syreny).

— A ty skąd o tym wiesz? Chyba nie od nich? Przecież wysłałeś mi SMS-a o tym, co się stało w „Urban-Class”, jeszcze zanim do ciebie przyszli...?

Nie mam pojęcia skąd, ale Krzysiek o każdej sprawie zawsze miał najświeższe informacje z nieznanym nikomu, poza nim samym, źródłem.

— Na razie nie mogę powiedzieć — mruknął — ale to pewne.

Pożegnałam się z Krzyśkiem i odłożyłam smartfon na blat komódki.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę mimowolnie zaczęłam rozmasowywać sobie skronie. Choć w gruncie rzeczy czułam się nie najgorzej, a pod moją czaszką nie ćmił nawet najdrobniejszy ból, to istnej migreny dostałam kilka minut później, gdy wprost do mojego ucha zawył dzwonek domofonu zawieszzonego na ścianie tuż obok.

Podniosłam słuchawkę.

— Policja. — Ktoś beznamiętnym tonem głosu odezwał się po drugiej stronie. — Chcemy rozmawiać z panią Martą Jaworską.

Zalała mnie fala paniki, mimo że (przynajmniej w kwestii śmierci trenera) miałam przecież czyste sumienie.

Niezdolna do tego, by rzucić choć słowo w stronę towarzyszącego mi dziennikarza, spojrzałam w lustro wiszące przy wejściu do kawalerki. Szybkim ruchem dłoni wygładziłam pofalowane kosmyki sterczące wokół mojej twarzy. Jednocześnie pozbyłam się z ust śladu grymasu zdradzającego przerażenie, które naraz mnie ogarnęło.

Drzwi mieszkania otworzyłam z miną wystudiowaną i pozbawioną wszelkiego wyrazu, lecz ta zrzędniała mi natychmiast, gdy zza zakrętu półpiętra klatki schodowej wyłoniła się postać znajomej funkcjonariuszki. W krok za nią podążał jakiś mężczyzna.

— Jak się cieszę, że znów panią widzę, pani Jaworska! — Komisarz Justyna Zaremba podniosła na mnie wzrok, a przez jej wargi przemknął jadowity uśmiech.

Stalowe tęczówki śledczej przewierciły mnie na wylot. I choć była pełnia lata, po kościach przeszedł mi siarczysty mróz.

Rozdział 3

Nozdrza i czubek nosa komisarz Justyny Zaremby kilka razy ostentacyjnie się poruszyły. Wiedziałam, że jej udział w śledztwie nie wróżył niczego dobrego. Bałam się, choć przecież policja z założenia powinna dawać obywatelom poczucie bezpieczeństwa.

— Coś mi tu śmierdzi... — stwierdziła policjantka po chwili intensywnego węszenia.

— Ale przecież pani komisarz jeszcze o nic nie zapytała, a ja niczemu nie zaprzeczyłam...! — próbowałam oponować.

— A masz czemu zaprzeczać? — Podobnie jak poprzednim razem, bez pardonu zaczęła zwracać się do mnie per ty.

— Gdzież bym śmiała!?

— Mówię o tym zapaszku... — powiedziała policjantka i znów pociągnęła nosem.

— To z rur — odezwał się stojący w progu pokoju Adam. — Urok starej willi. — Skrzyżował ręce na torsie i wysunął dolną wargę, by zdmuchnąć pukiel, który opadł mu na czoło.

— O! Sami znajomi! — Usta policjantki wykwitły lisim uśmiechem. — Jeszcze nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że znów spotykam was razem... — zawiesiła na moment głos — ...ale widzę, że urządziliście sobie sąsiedzką schadzkę? Jaka szkoda, że muszę ją przerwać. — Zrobiła przesadnie smutną minę, lecz po chwili jej twarz nabrała poprzedniej powagi. — Na szczęście wiesz, gdzie są drzwi — zwróciła się do Adama.

Uniesioną brodą, szybkim ruchem głowy wskazała mu wyjście, a jej włosy, związane w dorodny kucyk i zamasyżycie rzucone w powietrze, omiotły mi twarz.

Kichnęłam.

— Zaczekam w redakcji — chrząknął Adam i posyłając mi pokrzepiające spojrzenie, wyszedł na klatkę schodową.

Gdy drzwi kawalerki się zamknęły, komisarz Zaremba przeszła do meritum swojej wizyty w moim, jak dotąd sądziłam, bezpiecznym azylu. Wbiła we mnie pytający wzrok, na co ja instynktownie rozszerzyłam powieki i kilkukrotnie zamrugłam.

— Jak to jest... — wreszcie się odezwała — ...że kiedy w śródmieściu pojawia się kolejny trup, dziwnym trafem akurat ty przewijasz mi się w sprawie? Przypadek...?

— Nie sądzę! — zarechotał dotąd milczący drugi z funkcjonariuszy.

Wymienili z Zarembą drwiące spojrzenia.

— Domyślasz się, co nas tu sprowadza? — policjantka znów spoważniała, zwracając się ponownie do mnie.

W odpowiedzi lekko wydełam usta i uniosłam ramiona.

— Trener się wam przekręcił. Oczywiście nie sam z siebie. Ktoś mu uprzejmie pomógł. A my chcemy ustalić, kto i dlaczego to zrobił. To jak...? Zaprosisz nas do środka?

Nie czekając na moje przyzwolenie, minęła mnie i ciągnąc za sobą ogon zdecydowanych perfum, weszła w głąb kawalerki, zupełnie tak, jak gdyby było to jej własne mieszkanie.

Omiotła pokój czujnym spojrzeniem, wyminęła stary wentylator i wygodnie rozsiadła się na sofie.

Speszona jej śmiałym zachowaniem, skierowałam swój wzrok na drugiego z funkcjonariuszy. Ten, z twarzą pokerzysty, ruszył z miejsca i w lekkim rozkroku stanął po lewej stronie Zaremby, tarasując drzwi balkonowe, a tym samym pozbawiając mnie możliwości ewentualnej ucieczki. Kciuki zahaczył o szeroki pasek w swoich spodniach typu cargo. Grając bodyguarda Zaremby, którego w całym swoim jestestwie śledcza zupełnie nie potrzebowała, jawnie wzięła jej stronę.

Zrozumiałam, że w tym rozdaniu ani myślał występować w roli dobrego gliny. Raz jeszcze spojrzałam to na Zarembę, to na jej służbowego partnera. Szybko przekalkulowałam, jaką postawę powinnam przyjąć w

zaistniałej sytuacji. Ostatecznie postanowiłam skupić się na policjantce, bo to niewątpliwie ona grała w tym duecie pierwsze skrzypce.

Chciałam dać jej do zrozumienia, że — z uwagi na to, że to nie ja jestem morderczynią! — niczego się nie obawiam, toteż nonszalancko zajęłam miejsce na fotelu obrotowym stojącym przy biurku, ustawionym w pewnej odległości naprzeciwko kanapy, na której siedziała Zaremba. Dzięki temu nasze twarze znalazły się na jednym poziomie.

Niestety, tym samym zachowałam od obojga funkcjonariuszy widoczny dystans. Potem bezwiednie splotłam ręce na klatce piersiowej, a nogi ściśle skrzyżowałam. I choć nie dysponowałam żadnymi informacjami istotnymi dla śledztwa, mowa mojego ciała bez wątpienia sugerowała, że — wedle sugestii telewizyjnej reporterki — personel „UrbanClass”, w rzeczy samej, ma w tej sprawie coś do ukrycia. Ze mną na czele, ma się rozumieć.

Nieświadoma niekorzystnego światła, jakie na siebie rzuciłam, wymieniłam spojrzenia z obojgiem policjantów, wysyłając im sygnał, że czekam na pytania i na wszystkie z chęcią odpowiem.

— Proszę powiedzieć — pierwszy odezwał się mężczyzna — czy tego dnia widziała pani w „UrbanClass” coś podejrzanego?

— Rzeczywiście, była taka rzecz — odparłam po chwili namysłu. — Do budynku szkoły wchodziło dwóch uczniów.

— To faktycznie głęboko niepokojący sygnał — skomentowała Zaremba.

— Proszę wziąć pod uwagę okoliczność, że było to już po rozpoczęciu przerwy semestralnej...

— Wy, pracownicy oświaty, macie jednak specyficzne poczucie humoru — prychnęła.

— Mam podobne odczucia względem niektórych jednostek aparatu państwa...

— Nie przyszłszy tu na prywatkę — warknęła ostrzegawczo Zaremba. — Mamy też innych klientów do obrobienia. Dlatego pozwól — zwróciła się do swojego partnera — że to ja będę zadawać pytania. — Spojrzała znów na mnie. — Mów, co robiłaś w ubiegły piątek. Interesuje nas

pierwsza część dnia, powiedzmy, tak do godziny czternastej. Aha, chyba nie muszę cię pouczać, żebyś nie pomijała żadnego szczegółu?

Pozbawiona wszelkiego wyboru, zgodnie z życzeniem funkcjonariuszki zaczęłam opowiadać o tym, co pamiętałam z tamtego poranka. Zaremba, wysłuchując moich zeznań, co jakiś czas ostentacyjnie ziewała, poklepując dłonią szeroko otwarte usta. Z ogromnym zainteresowaniem lustrowała za to aksamitną tapicerkę zajmowanej sofy, usłojenie parkietu podłogowego, a także wzory, w jakie spletały się gałązki paproci na wiszących w oknie zasłonach.

Tymczasem ja robiłam wszystko, by odwrócić uwagę śledczych od poszlak, które bez dwóch zdań działały na moją niekorzyść. Pech chciał, że byłam w szkole tego feralnego dnia. Wprawdzie o tym, że dzień ten dla Piotra zakończył się tragicznie, nie miałam pojęcia — właściwie aż do teraz. Policjanci zdawali się w to jednak szczerze powątpiewać.

Dlatego w odpowiedzi na zastrzeżenie śledczej, abym nie pomijała żadnych szczegółów, niezwykle drobiazgowo (nawet jak na mnie) nakreśliłam funkcjonariuszom to, jak wyglądał mój piątkowy poranek.

Rozpoczęłam od tego, że jeszcze wtedy kompletnie nieświadoma wyroku kasacji, jaki w sprawie mojej starej toyoty kilka godzin później miał wydać mechanik, pojechałam do pracy tramwajem linii dziewięć, zaś w trakcie blisko dwudziestominutowej podróży z Borka do Rynku rozmyślałam nad swoimi bieżącymi sprawami. Nie omieszkłam wykorzystać sposobności, by nadmienić, że to właśnie wtedy szykowałam się do wizyty na komendzie, by podrzucić policji materiały, do jakich przypadkowo dotarliśmy ze znajomymi dziennikarzami przy okazji własnego śledztwa. Dokumenty te, jak się wkrótce potem okazało, stanowiły kluczowy dowód obciążający grupę przestępczą, którą rozpracowywała akurat komisarz Justyna Zaremba. Dzięki nim mogła osadzić podejrzanych w areszcie od ręki, a tym samym zamknąć dochodzenie i cieszyć się kolejnym sukcesem, umacniającym jej pozycję wśród wrocławskich gliniarzy. Teraz natomiast wyraz twarzy policjantki sugerował, że w jej pamięci pojawiła się ciemna smuga, a ta wymazała wszelki ślad przysługi, jaką przed kilkoma dniami oddaliśmy jej z

Adamem. Lub jakby udział w tamtej sprawie brała jakaś inna komisarz Justyna Zaremba, nie zaś ta, której nazwisko już w czasach mojej wczesnej młodości wywoływało popłoch wśród wrocławskich bandziorów, a która — ku mojemu niedowierzaniu — obecnie zajmowała miejsce na mojej osobistej sofie i wysłuchując moich zeznań, świdrowała mnie surowym wzrokiem. Ostentacyjnie owijała wokół palca swoje lśniące włosy związane w imponujący koński ogon, zupełnie jakby występowała na planie reklamy jakiegoś cud-szamponu, nie zaś prowadziła śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci warszawskiego konsultanta oświatowego, Piotra Lempara, którego parszywą postać miałam (nie)przyjemność poznać.

Zbliżałam się już do końca swego przydługiego wywodu. Jednocześnie żywiłam nadzieję, że swoim wrodzonym gadulstwem zdołam uspić czujność obojga funkcjonariuszy. Finał swoich wynurzeń okrasiałam zupełnie beznamiętnym napomknięciem o tym, że gdy około południa byłam zajęta opróżnianiem mojej imiennej szafki w pokoju nauczycielskim z pewnych przedawnionych dokumentów, ktoś niespodziewanie przerwał mi tę nieodpłatną działalność z prośbą o chwilę poufnej rozmowy.

— To ci dopiero!? Wy to macie ciekawe życie w tej szkole! — sarknęła znużona Zaremba, tym razem oceniając jakość swojego manicure'u. — Ale o tym już wiemy. Wracamy z ploteczek z twoim kolegą, Krzysztofem Braciakiem. — Od niechcienia rzuciła okiem na zapiski w swoim notatniku śledczym. — Czego Lempar od ciebie chciał?

— Krzysiek państwu nie powiedział? — Nabrałam powietrza do płuc.

— A on co? Szkolne gumowe ucho?

Gumowe, nie gumowe — tak czy siak odetchnęłam z ulgą, upewniwszy się, że Krzysiek nie wyjawiał nikomu mojego sekretu.

Ja niestety nie miałam wyboru. Musiałam powiedzieć policji prawdę.

— Szantaż? — zainteresowała się wreszcie pani komisarz, a w jej oczach błysnął ognik tryumfu. — Nie można było tak od razu? — Wymieniła usatysfakcjonowane spojrzenie ze swoim partnerem. — A dlaczego tego nie zgłosiłaś? Był ku temu jakiś powód?

W żyłach zastygła mi krew. Wyglądało na to, że moje koszmarne wizje miały wkrótce się ziścić, a ja już niebawem zostanę wtrącona do wilgotnego lochu i w towarzystwie wyszczerzonego kościotrupa spędzę w nim resztę swoich dni!

Staralam się nie dać po sobie poznać zdenerwowania, pomimo dojmującego wrażenia, jakby ta rozmowa zmierzała w jednym kierunku.

Wnet wyzbyłam się wszelkich złudzeń: policjantka nie miała zamiaru dawać mi taryfy ulgowej. A fakt mojej obywatelskiej przyzwoitości, o której przed momentem subtelnie jej przypomniałam, najwyraźniej puściła w niepamięć wraz z chwilą mojego wyjścia z komendy na Podwału, gdzie przed kilkoma dniami doszło do naszego pierwszego spotkania.

— Byłam w szoku — powiedziałam wreszcie. — Potrzebowałam chwili, żeby ochłonąć.

— A torebkę nosisz? — Zaremba nagle zmieniła temat.

— Chce pani komisarz powiedzieć, że coach zginął od uderzenia damską torbą!?

Zaremba zmrużyła powieki.

— Wprawdzie używamy w pracy stosunkowo ciężkich podręczników...

— ...które nosicie w torebkach?

— Niektóre dziewczyny, owszem. Zwłaszcza te, które z wyprzedzeniem przygotowują się do kolejnych zajęć.

— I ty też...?

— A nie, ja to akurat idę zwykle na żywiol. A książki trzymam w szafce, w pokoju nauczycielskim.

Funkcjonariuszka wypuściła powietrze nosem.

— Wie pani, boję się przepukliny. Jeszcze by się okazało, że musiałabym iść na zwolnienie i kto by wtedy uczył? Zresztą, ja też, nie powiem. Przecież potrzebuję pieniędzy na czynsz...

— O to się akurat nie martw. Przecież my chcemy dobrze — powiedziała pobłaźliwie. — Pomyśl, możemy załatwić ci państwowy kwaterunek, i to z wyżywieniem! Ile tutaj płacisz? No powiedz, dwa koła?

Nie odpowiedziałam.

— To miałaś ze sobą tę torebkę, czy nie?

— Nie... — Rzuciłam skonsternowane spojrzenie drugiemu z policjantów. — Wszystkie moje rzeczy zostały w pokoju nauczycielskim... No, może poza okularami?

— Czyli nosisz okulary, tak?

— Zgadza się, zerówki.

Zaremba zamrugła.

— A w kieszeniach coś miałaś, czy goła poszłaś?

— Wypraszam sobie!

— Och, pardon! Miałam oczywiście na myśli gołe ręce i puste kieszenie.

— Nie miałam żadnych kieszeni! Byłam w sukience.

— Ktoś może to potwierdzić?

Jeszcze nie rozumiałam, do czego zmierzała, lecz mimo to czułam, że próbuje zapędzić mnie w kozi róg, zupełnie tak jak podczas naszego poprzedniego spotkania. Teraz jednak moje położenie przedstawiało się znacznie gorzej niż wtedy.

O ile w przypadku tamtej afery komisarze nic na mnie nie mieli, tak tym razem to, że Lempar szantażował mnie przed swoją śmiercią, paradoksalnie działało właśnie na moją niekorzyść. Tym, że w rzeczywistości to ja byłam ofiarą, śledczy zdawali się w ogóle nie kłopotać.

— Tego dnia w szkole widziało mnie na pewno dwoje innych lektorów, ale czy to potwierdzą? Trudno powiedzieć... Nie sądzę, żeby któreś z nich zwróciło uwagę na mój ubiór. Może koleżanka będzie pamiętać?

— Nazwiska — zażądała funkcjonariuszka.

Wyciągnęła dłoń w kierunku swojego partnera, a ten wsunął do niej długopis, który dotąd tkwił za jego uchem.

— Agnieszka Wincek i Krzysztof Braciak, o którym, zresztą, pani komisarz już wspomniała. — Ruchem ręki wskazałam notatnik śledczej, spoczywający teraz na dzielącym nas stoliku kawowym. — Ale Krzyśka raczej nie ma co pytać. Wie pani, ponoć przeprowadzono wśród mężczyzn

taki eksperyment dotyczący ich spostrzegawczości. Panowie byli umawiani na randkę w ciemno. Przychodziła jakaś kobieta i po chwili rozmowy wychodziła do toalety. I oni nie zauważali, kiedy ona wracała w zupełnie innym ubraniu! Ale nie to było najlepsze! Okazało się to bez znaczenia, czy zmieniło się ubranie, czy też jego właścicielka... Oni kompletnie nie widzieli różnicy, rozumie pani?

Funkcjonariuszka z politowaniem podniosła brew, po czym rzuciła szybkie spojrzenie swojemu partnerowi, na co ten wzruszył ramionami.

— Domyślam się — Zaremba zwróciła się znów do mnie — że wzburzona z powodu oferty, jaką miała złożyć ci ofiara, po powrocie do pokoju nauczycielskiego postanowiłaś się komuś zwierzyć? — Policjantka wróciła do meritum, tym razem cynicznie udając współczucie wobec tego, co mnie spotkało, choć w rzeczywistości o mój stan emocjonalny dbała jak pies o piątą nogę. — Powiedziałaś kolegom o całym zajściu, prawda?

— Nie do końca — zaprzeczyłam. — Agnieszka poszła do domu zaraz po moim powrocie ze spotkania z trenerem. Z pewnych względów nie chciałam ujawniać jej treści naszej rozmowy. Za to Krzysiek od razu się zorientował, że musiało przytrafić mi się coś przykrego. Zapytał, co się stało, więc o wszystkim mu opowiedziałam...

— A koleżanka nie zainteresowała się, czego dotyczyło twoje spotkanie z trenerem? — Zaremba uniosła brwi w teatralnym zdumieniu. — Zdaje się, że żywiła pewne uczucia, a może nawet i nadzieje w stosunku do ofiary? To chyba logiczne, że w takiej sytuacji chciałyby wiedzieć, co było powodem tego, że tuż przed planowanym wyjazdem z Wrocławia Lempar poprosił na słówko akurat ciebie?

Zaremba była naprawdę dobra w te klocki. Choć dopiero zaczęła przesłuchiwać potencjalnych świadków zajścia, to jej dotychczasowe ustalenia w całej sprawie już teraz były szalenie szczegółowe, skoro wiedziała nawet o wyimaginowanym romansie Agi!

— To prawda — przyznałam. — Była ciekawa, czego chciał ode mnie trener. Powiedziałałam, że pytał którądy na dworzec.

— Na osobności?

— Agnieszka jakoś nie dociekała.

— A dlaczego nie powiedziałaś jej prawdy?

— Jest bardzo wrażliwa. Na pewno wyrzucałyby sobie, że nie poznała się na coachu...

— Sądzisz, że Wincek przejęłaby się wiadomością o propozycji, jaką złożyła ci ofiara? — podchwyciła Zaremba.

— Mogłaby jedynie poczuć zażenowanie wobec tego, że niewłaściwie ulokowała swoje uczucia — doprecyzowałam. — Ale czy to ma jakiś związek ze sprawą?

— To ja zadaję pytania. — Policjantka przypomniała władcym tonem. — A czy istnieje możliwość, że Wincek w jakiś inny sposób dowiedziała się o propozycji, jaką złożyła ci ofiara? — drażyła.

— Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

Byłam pewna, że Aga o niczym nie wie, a tym bardziej, że nie miała niczego wspólnego z całą sprawą!

— Rozumiem. — Zaremba pokiwała głową. — A czy nie było tak, że wraz z Krzysztofem Braciakiem chwilę po jej wyjściu wymieniliście kilka uwag na temat twojego spotkania z ofiarą?

— Tak było, ale nie sądzę, żeby to miało...

— A gdybym ci powiedziała, że ściany w waszej szkole mają uszy?

— Też mi odkrycie! Zaraz? Co pani komisarz insynuuje...?

— Czy gdyby za drzwiami ktoś stał (pytam czysto hipotetycznie), mógłby usłyszeć rozmowę toczoną wewnątrz? — konsekwentnie budowała swoją wersję zdarzeń.

— Nie mam pojęcia, rozmawialiśmy naprawdę cicho. Poza tym jakie to ma znaczenie?

— Widzisz... — Śledcza założyła nogę na nogę, a dłonie splotła na kolanie. — Już niejedną raz morderczynią okazywała się zazdrosna kobieta...

— Agnieszka morderczynią?! — wykrzyknęłam. — W życiu!? Nie byłaby w stanie zgnieść stopą najmniejszego robaczka, a co dopiero zrobić krzywdy... dorosłemu mężczyźnie!

— Hmm — sapnęła głośno Zaremba, udając zamyslenie. — Tak sądzisz?

Wreszcie podniosła się z sofy. Założyła ręce na krzyżu i zaczęła powoli krążyć wokół mnie, osnuwając obłoczkiem elektryzującego zapachu perfum, w których, przed wizytą na Kampinoskiej, niewątpliwie wzięła długą i relaksującą kąpiel.

Po chwili symulowanej zadumy policjantka podjęła na nowo:

— A jak zareagował Krzysztof Braciak na to, co wyjawiałaś mu w kwestii niemoralnej propozycji denata?

— Oburzył się. To chyba oczywiste?

— Masz rację, dla nas też jest to oczywiste — przyznała. — Podobnie jak to, że chcąc wymierzyć sprawiedliwość, w afekcie lub w drodze nieszczęśliwego wypadku, twój kolega mógł dopuścić się czynu zabronionego.

— Krzysiek?! — zapowietrzyłam się. — To nie on jest mordercą!

— Czyżby? — Zaremba nachyliła się nade mną, zmrużyła powieki, a jej oczy na moment zamieniły się w dwie wąskie kreseczki. — Skąd ta pewność?

Wzruszyłam ramionami.

— Po prostu to wiem — odparłam, próbując przybrać opanowany ton głosu. — Zarówno Krzysiek, jak i Agnieszka są niewinni. Znam ich. Żadne z nich nie byłoby zdolne do popełnienia tak strasznej zbrodni!

— Mówisz o swoich przypuszczeniach? A może po prostu wiesz, kto jest winien...? — Funkcjonariuszka nie przestawała świdrować mnie swoimi stalowymi tęczęwkami.

— Gdybym wiedziała, kto stoi za śmiercią trenera, sama zgłosiłabym to policji. Pani komisarz powinna o tym wiedzieć! — Wyprostowałam się na krześle. — Po co miałabym zwlekać aż do państwa wizyty tutaj?

— Spokojnie, do wszystkiego dojdziemy — zapowiedziała Zaremba.

Odstąpiła ode mnie, po czym na znak zakończonego przesłuchania skinęła w stronę swojego policyjnego partnera.

Mężczyzna postąpił kilka kroków w kierunku wyjścia i zatrzymał się w progu przedpokojem. A ja uświadomiwszy sobie, że właśnie zyskałam odrobinę czasu, by spróbować oczyścić swoje imię, w duchu

odetchnęłam. Jednak Zaremba ociągała się z opuszczeniem poddasza. Przez chwilę, nie ruszając się z miejsca, byстрыm okiem skanowała wnętrze. Wreszcie podeszła do biurka i ostentacyjnie nachyliła się ponad jego blatem. Twarz zbliżyła do kilku wyblakłych fotografii z instaxa, które niedawno przykleiłam w tym miejscu do ściany taśmą papierową.

Jedna z nich przedstawiała kadr uchwycony w ogrodzie mojego rodzinnego domu na Sępolnie.

Tak wiele bym dała, żeby wrócić do tej zastygłej chwili i do towarzystwa dziadków. Niestety, echa tamtego wieczoru milkły pośród blednących zdjęć. Dziadkowie dawno przenieśli się do innego wymiaru, a ja tkwiłam tu — na Kampinoskiej — osaczona przez dwoje funkcjonariuszy, ze złowrogimi atrybutami władzy przy paskach, których widok przyprawiał mnie o trudną do poskromienia chęć wdrożenia cichej akcji ewakuacyjnej. Jednak główne wyjście z mieszkania tarasował postawny partner Zaremby. Wprawdzie pozostawał jeszcze balkon, ale... wiedziałam, że i tą drogą nie umknęłabym daleko.

Śledcza łypnęła w kierunku przeszkłonych drzwi i powoli przesunęła wzrok na mnie. Aż przestałam mrugać!

Zaremba ponownie zwróciła twarz do zdjęć. Tym razem zaczęła lustrować to z zeszłego sylwestra. Motywem przewodnim imprezy, na którą z tej okazji wybrałyśmy się wraz z Basią, był serial „Przyjaciele”. Basia ucharakteryzowała mnie na Monicę Geller, a sama, ze względu na swoje długie blond włosy, przebrała się za Phoebe, choć w rzeczywistości znacznie bardziej pasowała do niej postać Rachel.

Policjantka wymownie mruknęła. Ze zmrużonymi powiekami, zabrała się do studiowania zdjęcia ze świetlicy schroniska w Górach Sowich, do którego w zeszłym roku wybraliśmy się z kadrą „UrbanClass” na ostatni weekend listopada. To właśnie wtedy, wskutek przegranego ze mną zakładu, Krzysiek zapuścił swojego francuskiego wąsa.

— Masz wielu ciekawych znajomych... — powiedziała wreszcie Zaremba. — Widzę, że niektórzy z nich interesują się wróżbami...?

— Czy ja wiem? W andrzejki chyba wielu ludzi się nimi interesuje? Przecież i tak nikt nie bierze tego na poważnie?

Zaremba westchnęła. Wreszcie, oderwawszy wzrok od zdjęć, wyprostowała się i manifestacyjnie rozejrzała wokół. Powolnym krokiem okrążyła pomieszczenie, a ostatecznie stanęła w progu otwartego na oścież balkonu i, jakby ciut przychylniejszym tonem, zapytała nieoczekiwanie:

— Trenujesz coś?

Ruchem głowy wskazała moje sneakersy do joggingu, które akurat wietrzyłam na zewnątrz. Weszło mi to w nawyk, po tym jak któregoś popołudnia, zaraz po bieganiu i szybkim prysznicu, zaległam na sofie, a wkrótce potem poczułam jakiś podejrzany zapaszek, pędzony przez cug powietrza tuż przy podłodze, i bijący najpewniej od szafki na obuwie w przedpokoju.

— Staram się biegać, kiedy tylko mam czas — potwierdziłam nieśmiało.

— Ruch to zdrowie — pochwaliła mnie policjantka. — Ale trzeba pamiętać też o rozciąganiu. — Spojrzała na mnie krytycznym okiem. — Robisz to, prawda?

— Tyle o ile... — Zawstydyłam się. — Nie zawsze pamiętam...

— A próbowałaś jogi? W połączeniu z medytacją i aromaterapią ma podobno głęboko relaksacyjne działanie, nie mówiąc o...

— Eee... — Zmarszczyłam nos. — To nie dla mnie.

Komisarz Justyny Zaremby również nie podejrzewałam o takie zainteresowania, choć nie dało się ukryć, że jej wizyta w moim mieszkaniu ujawniła zupełnie inne oblicze policjantki, niż to, które do tej pory znałam, a przynajmniej — jak je sobie dotąd wyobrażałam.

Natomiast jeśli o mnie chodziło, to owszem, zdarzyło się, że uczestniczyłam w zajęciach dla początkujących joginów. Wiosną, wraz z dziewczynami z „UrbanClass”, za namową jednej z nich wybrałyśmy się na dni otwarte do studia jogi w sąsiedztwie naszej szkoły. Same ćwiczenia rzeczywiście okazały się niezwykle odprężające, jednak prowadzący, do którego wtedy trafiłyśmy, był zbyt wschodnio uduchowiony jak na moje oczekiwania. Zawiodła moja zdolność adaptacji, dlatego szybko opuściłam.

Zaremba pokiwała głową, a ja pomyślałam, że jeszcze moment i gliny będę miała z głowy. Z narastającym uczuciem ulgi podniosłam się z krzesła i stanęłam w progu pomiędzy pokojem a przedsionkiem. Z kolei śledcza, wyglądając na zewnątrz, ostatni raz omiotła spojrzeniem mój balkon, po czym ruszyła w ślad za swoim policyjnym partnerem. Minąwszy mnie, nagle zatrzymała się w pół drogi.

— Aha, jeszcze jedno... Wprawdzie to drobiazg, ale muszę zapytać. Po tym jak wyszliście z Lemparem z pokoju nauczycielskiego, dokąd poszliście? — rzuciła kurtuazyjnie.

Poczułam, jak ziemia rozstępuje się pod moimi stopami. Wnet zrozumiałam sens wyrafinowanej gry policjantki.

Nabrałam powietrza.

— Ponieważ w całej szkole trwały porządki, a w salach wykładowych był remanent — mamrotałam drżącym głosem — weszliśmy na moment do biblioteki dydaktycznej...

Zaremba powoli odwróciła się w moją stronę i, udając zaskoczenie, podniosła brwi.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś ostatnią osobą, która według naszej wszelkiej wiedzy tego dnia wraz z ofiarą przebywała właśnie w tym miejscu? Przypomnę, że wkrótce potem, dziwnym trafem, akurat w szkolnej bibliotece znaleziono nieboszczyka! I teraz uwaga, hit! — Jej egzaltacja rosła z każdą upływającą sekundą. — Okoliczności zajścia wraz z sekcją zwłok wykazały, że do zgonu Lempara doszło pomiędzy dwunastą a trzynastą trzydzieści, a więc dokładnie wtedy, kiedy przebywał właśnie w twoim towarzystwie... Tadam! Jeśli dodamy do tego fakt, że Lempar próbował cię szantażować...

Prawa dłoń Zaremby sięgnęła do kabury, z której wyglądały stalowe kajdanki.

— Sama rozumiesz — zakończyła z satysfakcją.

Rozdział 4

Pomimo jawnej groźby zatrzymania mnie pod zarzutem samowolnego posłania trenera na tamten świat, komisarz Zaremba wraz z towarzyszącym jej funkcjonariuszem ostatecznie opuścili moją kawalerkę.

Przed wyjściem zastrzegł jednak, żebym przypadkiem nie próbowała ulotnić się z miasta. W związku z domniemaniami, jakie policja żywiła wobec mojej osoby, w świetle ujawnienia kolejnych dowodów (do których, jak zapewniła mnie Zaremba, z całą pewnością dotrą lada dzień), wkrótce miałam zostać poproszona o złożenie oficjalnych wyjaśnień na komendzie. Na tę funkcjonariuszka miała nadzieję zawezwać mnie już niebawem drogą proceduralną, z uwzględnieniem wszystkich wynikających z tego faktu honorów: od jej osobistej eskorty, po połyskujące bransoletki, jakimi przyozdobiłaby moje nadgarstki. A całej tej ceremonii towarzyszyłyby wtóry tryumfujących trąb jerychońskich.

Gdy tylko drzwi kawalerki zamknęły się za śledczymi, zatelefonowałam do mojej przyjaciółki, by obwieścić jej wiadomość o nowej kabale, w jaką niniejszym się wpakowałam.

— Świetnie! Z popiołu w sam środek ognia! — skwitowała Basia i zapowiedziała swoje rychłe przybycie pod mój aktualny adres.

Tymczasem ja na samą myśl o tym, że już wkrótce moje zakwaterowanie na urokliwym poddaszu zabytkowej willi na Borku może ulec preistoczeniu w obskurną celę w areszcie śledczym na Podwalu, dostałam istnego skrętu kiszek.

Na posiłki w osobie Basi postanowiłam poczekać razem z Adamem w biurze pod czwórka. W wyniku prezorności, której wyuczyłam się przy okazji hecy z zaginionym obrazem, po wyjściu z kawalerki zamknęłam drzwi na wszystkie spusty.

Ocucona przyjemnym chłodem murów starej willi, zupełnie nieświadoma tego, co czeka mnie tuż za rogiem, zeszałam po schodach klatki schodowej na półpiętro. I wtedy zobaczyłam jakąś obcą postać, majstrującą przy zamku drzwi jednego z mieszkań na drugiej kondygnacji. A więc jednak: w okolicy grasują złodzieje. Wiedziałam! Szkoda tylko, że rabuś umknął uwadze przenikliwej komisarz Zaremby, która opuściła budynek zaledwie kilka minut wcześniej. Cóż, jak to mówią: najciemniej pod latarnią.

Już miałam wycofać się na paluszkach, by cichcem zatelefonować do śledczej z prośbą o jej natychmiastowy powrót na Kampinoską, co ta bez wątpienia uczyniłaby z przyjemnością, żywiąc przeświadczenie, że w obawie przed surowym wyrokiem sądu, przed oblicze którego zamierzała zawlec mnie już wkrótce, postanowiłam jednak się przyznać. Niestety, ledwie drgnęłam, a wiszącą wokół ciszę rozdarło przeraźliwe skrzypnięcie starej drewnianej podłogi.

Intruzka najpierw podskoczyła w miejscu, a następnie odwróciła się w kierunku, z którego dobiegł ten zdradliwy odgłos. Skrzyżowały się nasze spojrzenia. I draka gotowa.

Najpierw chciałam udać, że to spotkanie nie wzbudziło we mnie żadnych podejrzeń; jak gdyby nigdy nic spokojnie minąć nieproszonego gościa, zniknąć za drzwiami redakcji, by po chwili wrócić w asyście dziennikarzy śledczych i wraz z nimi przyskrzynić włamywaczkę. Przekazalibyśmy ją w ręce dochodzeniówki, która wnet przypomniałaby sobie, że i ja, i oni, stoimy po tej samej stronie barykady.

Tymczasem pulchna kobieta wzięła się pod boki, stanęła po środku przejścia i ani myślała mnie przepuścić. Zatrzymałam się tuż przed nią. W moje nozdrza wśliznął się subtelny aromat wanilii. Zaburczało mi w brzuchu.

Zamierzałam wyminąć napastniczkę z lewej strony, ale ta się przechyliła, skutecznie odcinając mi drogę. Spróbowałam z drugiej, niestety i tym razem się przeliczyłam. Jak zawodowe piłkarki kiwałyśmy się dobre pół minuty. Wreszcie stanęłam nieruchomo, by czmychnąć bokiem, gdy tylko intruzka wykona kolejny ruch.

Niestety ona postanowiła wziąć się na podobny sposób. Stoczyłyśmy ze sobą pojedynek na spojrzenia. Wreszcie moja ręka ostentacyjnie sięgnęła do kieszeni po tkwiący w niej smartfon.

„Dość tego” — pomyślałam. „Dzwonię po Zarembę”.

Pewność mojej przeciwniczki momentalnie się ulotniła. Przeczując, co się święci, kobieta wyciągnęła jedną nogę do tyłu. Nim zdążyłam ją wyminąć, by pozbawić jej możliwości pryśnięcia w dół klatki schodowej, ta — zupełnie jakby czytała mi w myślach — rzuciła się do ucieczki.

Niewiele myśląc, wcisnęłam telefon z powrotem do kieszeni i, w przyplywie brawury, wszczęłam pościg za damskim rzezimieszkiem.

Na pierwszym piętrze zahaczyłam o drzwi redakcji. Dramatycznym wrzaskiem wywołałam oczekującego mnie dziennikarza i popędziłam dalej, w dół.

Adam wyskoczył na korytarz, a ja usłyszałam za sobą pełne przerażenia pytanie:

— Marta!? Co się dzieje!?

Nie miałam czasu na tłumaczenia.

Wypadłam przez drzwi wejściowe budynku w nadziei, że włamywaczka nie zdołała mi nawiać.

Całe szczęście sprawiedliwość była po mojej stronie. Wyglądało na to, że dezserterka dostała zadyszki. Zdumiona spostrzegłam ją, ukrywającą się pośród sterty jakiegoś bałaganu, walającego się pod ogrodzeniem willi.

Rozpędzony Adam zatrzymał się niemal na moich plecach i ponownie zapytał:

— Co jest...?

— Mamy nieproszonego gościa — rzuciłam cicho, nie odrywając wzroku od kobiety czającej się pod płotem.

Adam zmarszczył brwi. A ja, pełna determinacji, ruszyłam w kierunku intruzki.

Oblana pąsem dziewczyna, raz po raz nerwowo zerkała na zegarek. Znów zatrzymałam się tuż przed nią, a zdeorientowany dziennikarz stanął zaraz obok.

— Przepraszam... — nieznajoma odezwała się cicho i wbiła wzrok w swoje dłonie, nerwowo je pocierając. — Nie chciałam zakłócać spokoju lokatorów...

— No jasne! Zamierzała pani załatwić sprawę po cichu!? — Wzięłam się pod boki i kiwnęłam głową w kierunku willi.

— Właściwie... — ucięła kobieta, po czym zwróciła się w stronę ulicy, konsekwentnie unikając kontaktu wzrokowego ze mną i towarzyszącym mi dziennikarzem. — Przepraszam, czekam na kogoś... — wymamrotała po chwili milczenia. — To wszystko przez to, że... — Naraz się ożywiła, skierowała na nas roziskrzone spojrzenie i poderwała się na równe nogi. — Spadacie mi jak grom z jasnego nieba!

Osobiście, w rzeczy samej, czułam się tak, jakby przed momentem, na klatce schodowej uderzył we mnie piorun!

— Znacie właścicieli? — Pulchna blondynka wskazała willę lekko uniesioną brodą.

— Owszem — odparłam. — Ale, jak pani wie, akurat nie ma ich na miejscu. — Wymownie uniosłam brwi.

Intruzka ciężko westchnęła.

— No tak... — Podrapała się w tył głowy. — Czyli jednak będę musiała zaczekać na Adriana. — Zrezygnowana z powrotem usiadła na jednej z toreb leżących na ziemi. — Chyba że znacie jakiegoś ślusarza, który mógłby mi pomóc...

— We włamaniu?!

— Włamaniu? — powtórzyła jak echo. Dziwne, że to słowo nie wybrzmiało w moich uszach w tej samej intonacji jeszcze kilka razy.

Kobieta zaniósł się śmiechem.

— Nie...! — powiedziała nieco bardziej ośmielona. — Wprowadzamy się tutaj. Ja i mój mąż.

Spojrzałam na Adama. Ten kiwnął głową w moją stronę i wyszczerzył zęby. Spurpurowiałam.

Dobrze, że nie zdążyłam naprzykrzyć się komisarz Zarembie, która aktualnie polowała przecież właśnie na mnie.

— Wprowadzacie się? To dlaczego pani uciekała?

— Bo mnie pani goniła. — Założyła ręce na biuście.

— Ale pani pierwsza zaczęła uciekać!?

— Kobięca intuicja. — Wzruszyła ramionami. — Adrian, mój mąż — ciągnęła — jest już w drodze, nie mógł szybciej. A ja postanowiłam zabrać się razem z ekipą przeprowadzkową...

Omiotłam wzrokiem ustawione wokół kłamoty.

— Usługa nie obejmowała wniesienia — uściśliła. — Kiedy usłyszałam, ile sobie za to życzą, to spuściłam ich na drzewo! Sama sobie wniosę, łaski mi nie robia!?! Więc zaczęłam od kilku drobiazgów, a te większe gabaryty zostawiłam sobie na potem. Niestety ledwie wniosłam na górę dwie pierwsze reklamówki, a tu nagle: trrrrach! Zatrzasnęłam w mieszkaniu klucz razem ze swoją torebką i telefonem! A ten, jak na złość, się rozdzwonił! To pewnie Adrian, biedaczek. Pewnie myśli, że coś mi się stało. — Wreszcie opanowała rozbiegane spojrzenie, jak gdyby doznała nagłego olśnienia. — Chwila! — wykrzyknęła. — Mogę zadzwonić do niego od was?

— No pewnie. — Bez namysłu wyjęłam telefon z kieszeni szortów. — Proszę dzwonić.

Blondynka chwyciła mój smartfon i pospiesznie wystukała na jego ekranie jakiś numer.

— Misiu? To ja — wyszeptała do słuchawki. — Długo jeszcze? Drzwi się zatrzasnęły, musisz mi otworzyć!

— Zrobiła krótką pauzę. — Och Misiu, nie szukaj igły w stogu siana, tylko dociśnij gaz do dechy! Czekam, pa!

Oddała mi telefon, po czym rozejrzała się wokół i, czarując nas szerokim uśmiechem, ponownie się podniosła. Gdy wyciągnęła rękę w naszym kierunku, znów poczułam zapach słodkiej wanilii.

— Klaudia, miło mi — przedstawiła się.

Jej poczerwieniała ze wstydu twarz zaczęła wracać do naturalnego koloru.

— Marta. — Odwzajemniłam uścisk jej dłoni. — Mieszkam pod siódmką, na poddaszu. A to jest Adam, pracuje... To znaczy, razem pracujemy w redakcji pod czwórką. — Wyprostowałam się dumnie, a Adam podał rękę nowej sąsiadce.

— Redakcja...? Tutaj? — Aż jej się oczy zaświeciły.

— Cudownie, uwielbiam ploteczki! — Rozochociona zatarła ręce i znów zajęła miejsce na jednej z przeprowadzkowych toreb, tak jakby spodziewała się tego, że czas oczekiwania na przyjazd męża umilimy jej pikantnymi rewelacjami ze świata lokalnych gwiazd.

— Nie zajmujemy się... — chrząknęłam — ...rozrywką.

Słowo „tanią”, które cisnęło mi się na usta, przełknęłam, by nie urazić nowej sąsiadki.

— Prowadzimy internetowy portal informacyjny ukryte.pl. Znasz? Zajmujemy się wyłącznie poważnymi tematami — dodałam z satysfakcją.

— Zagadki kryminalne też są super! — odpowiedziała entuzjastycznie. — Może zaczekacie ze mną na Adriana?

— W porządku... — sapnęłam i zrezygnowana szepnęłam do Adama: — Dziesięć minut i tak nic nie zmieni w moim aktualnym położeniu.

Otaksowałam wzrokiem rzeczy rzucone pod ogrodzeniem i, wybrawszy na swoje siedzisko pudło z napisem „Biznespol”, ze zwieszonymi ramionami usiadłam obok Klaudii.

— Nasze sprawy mają się aż tak źle? — zapytał cicho Adam.

Przykucnął przy mnie i dotknął dłonią mojego nadgarstka.

Przebiegł mnie przyjemny dreszcz. Niestety niemal natychmiast w głowie znów zadudniła mi natrętna myśl o tym, że komisarz Zaremba niebawem ozdobi te nadgarstki państwową biżuterią, a potem pozbawi mnie wszystkiego, z moim niedoszłym chłopakiem na czele.

Przyjemne mrowienie pod skórą znienacka przemieniło się w rój igieł, które wściekle kłuły teraz całe moje ciało.

— Oczywiście, gliny myślą, że to ja...! — wydusiłam, ledwie poruszając ustami.

Z nerwów zaczęłam przygryzać paznokiec prawego kciuka.

— Ty?! — Adam i Klaudia wykrzyknęli niemal w tej samej chwili.

Jednocześnie spojrzeliśmy pytająco na nową sąsiadkę.

— O cokolwiek cię podejrzewają, zakładam, że jesteś niewinna? — Blondynka rzuciła beztrąsko. — Od razu widać, że dobrze ci z oczu patrzy!

— Tak powiedzieli? — Adam skierował wzrok z powrotem na mnie. — Że podejrzewają właśnie ciebie?

— Rzekomo to ja, jako ostatnia, widziałam się z Lemparem! — wybuchnęłam zbulwersowana, nie dbając o to, że naszej rozmowie przysłuchuje się ktoś postronny.

Przypomnienie spotkania z policją, którego przebieg nakreśliłam Adamowi, a siłą rzeczy i nowej sąsiadce, przywróciło poprzednie uczucie duszności.

— Spokojnie, to klasyczna zagrywka policji — ocenił dziennikarz. — Można się było tego spodziewać, szczególnie po Zarembie. Znasz ją. Sugeruje, że podejrzewa właśnie ciebie, a tak naprawdę czeka jedynie na twoją reakcję. Liczy na to, że jeśli coś wiesz, to to ujawnisz, byle tylko ratować własny tyłek.

— Sęk w tym, że ja nic nie wiem! — wykrzyknęłam wzburzona.

— Gliny sprawdzają teraz każdy trop — powiedział łagodnie Adam. — A to jest po prostu ich stara taktyka śledcza.

— Oczywiście, że ta Siekiera się zgrywa, Adam ma rację — wtrąciła Klaudia.

— Kto...?

— Zresztą, nawet gdyby rzeczywiście miała cię posadzić, to wiesz, zawsze to kolejny punkt do wzbogacenia życiowego doświadczenia, no nie? — powiedziała nonszalancko.

— Co...?! — jęknęłam.

— A tak w ogóle — Adam puścił uwagę Klaudii mimo uszu — to skąd policja wie, że rzekomo to właśnie ty, jako ostatnia, widziałas się z trenerem?

— Tego mi nie powiedzieli — wydełam usta — ale domyślam się, że wiedzą to, bo sprawdzili szkolny monitoring...

Wypowiedziawszy te słowa na głos, zdałam sobie sprawę, że jeśli komisarze faktycznie przejechali już taśmy, oznacza to, że prawdziwy winowajca w jakiś sposób przemknął niezauważony pod okiem kamer, zainstalowanych w „UrbanClass”.

— Czyli jako ostatnią osobę w towarzystwie coacha prawdopodobnie widzieli ciebie, ale monitoring nie zarejestrował momentu samej zbrodni. — Adam zdawał się czytać mi w myślach. — Gdyby było inaczej, już dawno ujęliby faktycznego sprawcę. A to oznacza, że poza poszlakami, które... — chrząknął — ...wprawdzie nie działają na twoją korzyść, policja nie dysponuje żadnymi dowodami świadczącymi przeciwko tobie. A ponieważ wiemy, że takich nie znajdzie — wyprężył się i zaplótł ręce na torsie — to naprawdę nie masz się czym przejmować. Nie mogą cię oskarżyć na podstawie samych domniemań.

Doprawdy, chciałam mu wierzyć. Niestety, Adama nie było przy tym, jak Zaremba opiekowała mnie na ruszcie własnej wersji zdarzeń. Poza tym nie byłam pewna, czy policjantce zależało na schwytaniu prawdziwego mordercy, czy po prostu szukała kozła ofiarnego, któremu, bez większego wysiłku, mogłaby przypiąć łatkę opatrzoną napisem „winny”, za co reszta policyjnego światka wyniosłaby ją na ołtarze skutecznej walki z przestępczością.

Zaduma nad faktyczną motywacją komisarz Zaremby pochłonęła mnie do tego stopnia, że nawet nie spostrzegłam, że przed ogrodzenie podjechał jakiś samochód. Zorientowałam się dopiero wtedy, kiedy moich uszu dobiegł dźwięk klaksonu. Zwróciłam się w tamtą stronę, pełna nadziei, że wreszcie zjawiała się moja przyjaciółka. Basia wprawdzie nie posiada własnego auta, ale w tamtym momencie był to szczegół, którym nie zaprzętałam sobie głowy.

Za ogrodzeniem zarysowała się tymczasem masywna sylwetka granatowego forda, zaś za kierownicą pojazdu — postać chudego rudzielca.

— To Adrian! — Ucieszyła się na jego widok Klaudia i natychmiast poderwała.

— Misiu! — zawołała, gdy drzwi samochodu trzasnęły, pchnięte nogą tyczkowatego rudzielca. — Ale się nam trafiło...! Jak ślepej kurze ziarno! — Zachichotała, podbiegając do mężczyzny. — Nasza nowa sąsiadka bierze udział w tej szkolnej aferze, o której od rana trąbią w radiu! Marta pracuje w „UrbanClass”. — Wskazała na mnie, wzięła męża pod ramię i przyprowadziła do nas.

Zdobyłam się na słaby uśmiech i wyciągnęłam rękę do nowego sąsiada.

— Wyobraź sobie — ciągnęła Klaudia, zwracając się do męża — że Marta знаła tego nieboszczyka. Mało tego, policja twierdzi, że to ona jako ostatnia spotkała się z tym facetem!

Mąż Klaudii łypnął na mnie niespokojnie i dość niechętnie podał mi rękę. Poblądł, czy mi się zdawało?

— Nie, no coś ty!? — Klaudia dała mu kuksańca w bok. — Marta jest niewinna! — Roześmiała się głośno.

Nowy sąsiad uścisnął dłoń Adama, lecz równocześnie nie przestawał czujnie mnie obserwować.

— Weź te rzeczy i chodź mi otworzyć — powiedziała Klaudia, wskazując dwie największe walizki spośród całej sterty przeprowadzkowego bałaganu.

Wtedy za moimi plecami rozległ się znajomy głos.

— Jest i nasza „kryminalistka”.

Muszę przyznać, że ton mojej przyjaciółki zakrawał na kiepski dowcip. Basia weszła do ogrodu przez furtkę za moimi plecami. Obróciłam się w jej stronę, wstałam z zajmowanego miejsca i od razu padłam w jej troskliwe objęcia. Jednak z powodu zdobiących jej sukienkę strusich piór, które sterczały na wszystkie strony i strasznie mnie łaskotały, zaraz się z nich wyswobodziłam.

— Cześć, Tymeek — przywitałam się z chłopakiem Basi. — Co to za strój? — Znowu zwróciłam się do przyjaciółki, jednocześnie próbując wypluć piórko, które przykleiło mi się do języka. — Wybieracie się dokądś?

— Nie — sapnęła Basia. — Akurat robiłam wietrzenie garderoby, ale po twoim telefonie musiałam rzucić wszystko w cholerę...

To by tłumaczyło, dlaczego na stopach mojej przyjaciółki dumnie prezentowały się gumowe klapki, zamiast jakichś szykownych sandałów na szpilce.

Basia wbiła we mnie krytyczne spojrzenie.

— Dobrze, że akurat był u mnie Tymek i mógł mnie podrzucić — zaczęła. — W coś ty się znowu wplątała? Najpierw dilerzy, a teraz to — powiedziała ciut zgrywnie, lecz szybko się zreflektowała, spostrzegłszy malujące się przerażenie w oczach rudzielca, który wchodząc po schodach do budynku, zatrzymał się w pół drogi i, zalęknięty, spojrzał w naszym kierunku. — Rozumiiałabym, gdyby policja podejrzewała mnie lub Kudłacza... — zaśmiała się Basia — ...ale ciebie? Czy oni w ogóle potrafią odróżnić ofiarę od sprawcy? Mało, że ten bydlak próbował cię szantażować?!

— Otóż to.

Łypnęłam na nowego sąsiada w obawie, że i ten lada moment przedwcześnie wyruszy w podróż do wieczności.

— Co?! — oburzyła się Basia. — Chcesz mi powiedzieć, że zdaniem policji to był twój motyw?!

Przewróciłam oczami i w milczeniu podniosłam karton z napisem „Biznespol”, który jeszcze przed momentem służył mi za siedzisko, a teraz jego pokrywa prezentowała lekkie wgniecenie w kształcie moich pośladków.

Zdawało mi się, że usłyszałam za plecami słabe „nie trzeba”, które mogło paść z ust rudzielca, ale kiedy się odwróciłam, faceta nie było już na schodach, zaś w drzwiach budynku mignął mi blond kucyk Klaudii.

Wraz z przyjaciółmi pozbieraliśmy część rzeczy pozostawionych przy ogrodzeniu willi i zanieśliśmy je do mieszkania na drugim piętrze.

Kiedy wszyscy czworo znaleźliśmy się na poddaszu, Basia na nowo zaczęła się gardłować.

— Czy ci policjanci powariowali? Takie chuchro jak ty miałyby dać radę dorosłemu, postawnemu mężczyźnie?!

Adam i Tymek spojrzeli po sobie i w milczeniu pokręcili głowami, by wyrazić weto wobec niedorzecznych insynuacji organów ścigania.

— Niby jak...!? — dopytywała Basia.

Wzruszyłam ramionami.

— Lepiej myśl, co zrobić, żeby im udowodnić, że jestem niewinna — jęknęłam, po czym bezwładnie opadłam na sofę.

W powietrze wzbija się pachnąca chmurka perfum komisarz Zaremby. Wyglądało na to, że ich ognista woń zadomowiła się w tapicerce mojej kanapy, by ustawicznie przypominać mi, że jestem na muszce. I to czyjej?!

— Musimy coś wymyślić, zanim policja weźmie mnie na dobre w obroty — wymamrotałam.

Adam kucnął przy mnie, odgarnął mi z czoła kosmyk włosów i powiedział:

— Głowa do góry, znajdziemy jakiś sposób.

— A tak w ogóle, to kto i dlaczego mógłby chcieć śmierci tego faceta? — zainteresowała się Basia, zbliżywszy się do nas. — Nie licząc oczywiście mnie i Kudłacza po tym, jak dowiedzieliśmy się, co ten palant ci zrobił!

Tymek sięgnął po wsunięty pod biurko obrotowy fotel na kółkach. Usadowiwszy się w nim, w milczeniu zbliżył się do naszej trójki.

— Na szczęście nic mi nie zrobił — powiedziałam słabo, po czym chwyciłam chusteczkę, którą podał mi Adam.

— Ale chciał!? — zachnęła się moja przyjaciółka.

— Basia zadaje dobre pytania — przyznał dziennikarz. — Czy twoim zdaniem ktoś ze szkoły mógł być z jakiegokolwiek powodu wrogo nastawiony do Lempara?

— Wrogo...? — zacięłam się. — Spośród całej kadry tylko ja i Krzysiek nie przepadaliliśmy za trenerem. Reszta chyba go lubiła — powiedziałam, po czym głośno zatrąbiłam nosem w chusteczkę.

— Wygląda na to, że jednak nie wszyscy, skoro ktoś go kropnął i nie byłaś to ani ty, ani ten Krzysiek. — Tymek włączył się z kwaśnym

stwierdzeniem.

— A właściwie dlaczego ty i Krzysiek go nie lubiliście? — Chciał wiedzieć Adam. — Mielicie jakiś szczególny powód, czy po prostu różnica charakterów?

— Chyba to drugie — mruknęłam. — Coach od początku robił na nas... — zastanowiłam się przez chwilę — ...fałszywe wrażenie.

— Fałszywe? Co masz na myśli?

— Sama nie wiem, po prostu nie wzbudzał naszego zaufania. Zresztą, wcale się nie pomyliliśmy.

— I jesteś pewna, że ten Krzysiek nie...

— Oczywiście! — przerwałam Adamowi. — Nie mam wątpliwości, że Krzysiek jest niewinny, tak samo jak ja!?

Basia przysiadła na oparciu sofy, uważając, by zdobiące jej kieckę strusie piórka zbyt nie się wygniotły. W geście zadumy dotknęła brody palcem wskazującym.

— Czyli oprócz waszej dwójki musiał być ktoś jeszcze, kto nie pałał sympatią do tego waszego coacha — orzekła. — Tyle że ten ktoś najwyraźniej skrzętnie ukrywał swoje uczucia przed resztą...

— Ktoś miałby go nie lubić aż do tego stopnia? — Aż mi się źrenice rozszerzyły. — Przecież my go prawie w ogóle nie znaliśmy! Facet przyjechał do Wrocławia raptem dwa tygodnie temu. To chyba trochę za mało czasu, żeby w obcym mieście zdążyć tak bardzo zaleźć komuś za skórę i...

— Zaraz... — Adam wszedł mi w słowo. — Jesteś pewna, że nikt z personelu go wcześniej nie znał? Może miesza fakty, ale zdawało mi się, że wspominałaś coś o waszej wicedyrektorce. Czy to przypadkiem nie ona ściągnęła go do „UrbanClass”?

— Podobno...

— Jeśli tak było, to właściwie dlaczego jej wybór padł akurat na niego? W okolicy naprawdę nie ma żadnych porządných specjalistów z waszej branży? Musiał przyjechać ktoś aż z Warszawy?

— Naprawdę nie orientuję się w tym, jak wygląda proces rekrutacji trenerów, nigdy nie...

— Myślisz, że coach i wicedyrektorka mogli znać się już wcześniej? — Basia zwróciła się do Adama.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedziałam za niego, ale moje słowa padły w próżnię.

— W takim razie należałoby prześwietlić tę kobietę — kontynuowała Basia, a ja dostrzegłam w jej oku znajomą iskrę, która wyraźnie mówiła, że moja przyjaciółka zgłasza się na ochotnika.

Tymek założył ręce na piersiach i zgromił Basię srogim spojrzeniem, ta jednak machnęła ręką.

— No i świetnie, mamy pierwszy trop — inicjatywę Basi podchwycił Adam. — Grunt to ustalić motyw.

Rozdział 5

Szukając pokrzepienia w słodkiej lemoniadzie, stałam na balkonie i tępym wzrokiem wpatrywałam się w dachy starego Borka. Wieczne niebo pokrywała cienka warstwa puszystych obłoków, skąpanych w różowo-pomarańczowym blasku zachodzącego słońca.

Odjęłam pustą butelkę od ust, otarłam je wierzchem dłoni i weszłam do mieszkania.

Szkoło odstawiłam na stolik kawowy, z którego zgarnęłam telefon. Ikonka Messengera informowała o nowej wiadomości. Zmarszczyłam brwi, widząc aktywność na szkolnym czacie grupowym, który kilka tygodni temu utworzyłam dla moich uczniów, by przypomnieć im o upływającym terminie zgłaszania prac na konkurs organizowany przez „UrbanClass”. Zwycięzca miał otrzymać bon na pięć lekcji dowolnego kursu językowego z oferty szkoły. Ostatecznie wygrała siostrzenica dyrektorki, która — wiem z pewnego źródła — i tak miała u nas darmową naukę.

„Ktoś wie coś o tym konsultancie?” — dopytywała jedna z kursantek.

„Tylko tyle, że ponoć wykończył go ktoś ze szkoły. Ale przypał...”

„Kogo obstawiacie?”

„To bankowo któraś z lektorek! Założę się, że to ta, która na swojej lekcji pokazowej odwalila przed ziomkiem największą popelinę. Kojarzycie jakieś fakapy?”

Jeśli pójść tym tropem, wszelkie podejrzenie padłoby oczywiście na mnie!

„Proszę, bez pomówień” — zaoponowałam, nerwowo przesuując palce po wirtualnej klawiaturze.

„O, dzień dobry!” — przywitało się ze mną kolejno kilkoro uczniów.

„Ej, ja nie chcę nic mówić, ale to się stało w bibliotece, tak?” — głos zabrał jeden ze starszych chłopaków. „Ostatnio kilka razy byliśmy tam z Emilem. Ten typiarz z Wawki cały czas tam przesiadywał, no nie Emil?”

„Jak widać, nie on jeden!” — Koleżanka z tego samego kursu, wkleiła prześmiewczą buźkę.

„O!? Czyli jednak wiecie, gdzie jest biblioteka?” — wtrąciłam. „To dlaczego ja przez cały kurs nie mogłam się doprosić, żebyście wypożyczyli repetytorium z zadaniami do egzaminu!?”

„Właśnie!? Co was tak do biblioteki ciągnęło...?”

„Nie co, tylko kto!?”

„Sprawę mieliśmy...” — odpisał Emil.

„Ja też widziałem, jak ten koleś z Wawy bajerował nową bibliotekarę” — potwierdził Bartek, jeden z największych gagatków wśród kursantów UrbanClass.

„Następny stały bywalec szkolnej biblioteki...!”

„Tylko że ja nie dlatego...”

„A niby dlaczego?”

„Przeprowadzaliśmy z chłopakami z grupy pewien eksperyment...”

„Jaki eksperyment?”

„Czytelniczy...”

„O!? I co wam wyszło?” — zainteresowałam się.

„Że biblioteka w UC jest zbędna! Nikt nie wypożycza z niej książek, tak jak myśleliśmy”.

Posypały się żarty. Ale ja nie byłam w nastroju do tej błazenady, dlatego gdy upewniłam się, że nie zdobędę od tych ananasów żadnych sensownych informacji, pożegnałam się i odłożyłam telefon.

Usiadłam w fotelu przy biurku i zabębniłam palcami w blat. Po chwili namysłu wysunęłam szufladę. Przebiegłam spojrzeniem po grzbietach notesów, które kilka tygodni wcześniej podczas przeprowadzki ulokowałam w tym miejscu. Zatrzymałam wzrok na krótkim pasku czerwieni, wieńczącym notatnik śledczy z zapiskami z tajnej misji, jaką niedawno wszczęłam z racji wybuchu afery z zaginionym obrazem.

Jeszcze kilka dni temu poszłabym z każdym o zakład, że los nie mógłby bardziej ze mnie zadrwić. By zmanifestować swoje absolutne w tym względzie przekonanie, gotowa byłabym podłożyć pod nóż nawet własną rękę. Teraz czułam jego lodowate ostrze na swoim gardle i wiedziałam, że wystarczy jeden błędny ruch, by jego przeszywający chłód się we mnie wbił.

Przełknęłam ślinę, a dźwięk trawiącego mnie przerażenia odbił się od ścian kawalerki głośnym echem. Powędrowałam opuszkami palców dalej, aż w końcu dotarłam do gładkiej, materiałowej oprawy. Jej czern idealnie oddawała stan, który aktualnie ogarniał moją duszę. Szarpnęłam brulion energicznym ruchem ręki. Srebrzące się w świetle zachodzącego słońca brzegi kartek błysnęły mi przed oczami, jak miecz gotowy do boju.

Natychmiast zabrałam się do wnikliwej analizy sytuacji. Na pierwszej stronie notesu wypisałam wszystkie osoby, jakie były zamieszane w nagłą śmierć trenera.

Szybko poczułam się zupełnie jak Kopciuszek grzebiący w popiele w poszukiwaniu ziaren grochu. Niestety, nie nadlatywały żadne gołąbeczki, ani tym bardziej turkaweczki — choć i one żyją przecież w niektórych częściach Wrocławia — by pomóc mi wykonać to niemożliwe zadanie.

Kadra wraz z uczniami „UrbanClass”, których liczebność sięgała z pewnością co najmniej siedemdziesięciu osób, stanowiła zaledwie wierzchołek góry lodowej. Na teren szkoły równie dobrze mógł wtargnąć ktoś postronny, zwłaszcza że budynek, w którym mieści się nasza placówka, dzielimy z kilkoma innymi instytucjami. Do tego kooperujące z „UrbanClass” firmy zewnętrzne, jak choćby ochrona, utrzymanie porządku, sklepik szkolny oraz współpracujący z nim catering. I pewnie znalazłoby się jeszcze paru innych usługodawców, którzy mogli być tamtego dnia na miejscu.

Nie miałam pojęcia, jak prowadzi się dochodzenie w sprawie morderstwa, ale jedno było pewne — w pierwszej kolejności musiałam wrócić na miejsce zbrodni.

Rozdział 6

Następnego dnia wczesnym rankiem (a przynajmniej nim nastało południe) zatelefonowałam do dyrektorki „UrbanClass” i bez zbędnych ceregieli oznajmiłam:

— Dzień dobry, chciałabym złożyć donos w pewnej kwestii.

Liczyłam, że wskutek tak zdecydowanego postawienia sprawy szefowa zawezwie mnie do szkoły, gdzie przy odrobinie szczęścia zamierzałam wdrożyć prywatną działalność wywiadowczą.

Gdy dyrektorka połknęła zarzucony przeze mnie haczyk, poczułam, że los znów mi sprzyja.

Policja zabezpieczyła już ślady na miejscu zdarzenia, w związku z czym „UrbanClass” została ponownie otwarta, choć na życzenie dochodzeniówki jeszcze przez kilka najbliższych dni wyłączona z użytku miała pozostać biblioteka oraz znajdująca się na jej zapleczu toaleta dla personelu.

W oku zakręciła mi się łezka na wspomnienie żartów, które, nie bez kozery, jeszcze niedawno stroiliśmy sobie w gronie lektorów na temat naszej prywatnej świątyni dumania. Udając się na stronę, mogliśmy czytać książki zabrane z mijanych po drodze regałów.

Teraz czynny pozostawał jedynie uczniowski wucet. Cóż, w gruncie rzeczy i w nim można było to i owo poczytać, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę latrynalnia zdobiące jego ściany.

„Po lekcjach skocz do pasmanterii w Feniksie, kup metr gumy do gaci, naciągnij i strzel sobie w łeb” — sugerował jeden z napisów.

Ach, będzie mi tych gagatków brakowało...!

Otrząsnąwszy się z nostalgicznego wspomnienia, włożyłam jedną z letnich sukienek nabytych niedawno za namową Basi (nie musiała mnie

długo przekonywać, wystarczył jeden argument: „Co włożysz na randkę z Adamem, kiedy wreszcie cię na nią zaprosi!?”).

Przejrzałam się w lustrze przy wejściu. W duchu pochwaliłam gust przyjaciółki, po czym wyszłam z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Na drugim piętrze spotkałam nową sąsiadkę.

— A co ty masz taką zwarzoną minę? — zapytała.

— Wybieram się do „UrbanClass”...

— No, tak, rozumiem... — Pokiwała głową. — Słuchaj, a nie myślałaś nigdy o zatrudnieniu się w innej branży? Jesteś jeszcze wprawdzie młoda, całe życie przed tobą, ale nie oszukujmy się, praca w szkole nie roztacza przed tobą szerokich perspektyw, wiesz o tym?

Zamurowało mnie.

— Wreszcie zaczęłabyś przebywać w gronie osób bliższych ci ilorazem inteligencji, nie mówiąc o poziomie rozwoju emocjonalnego. A po zakupieniu wacików w najtańszej drogerii — omiotła moje dłonie przelotnym spojrzeniem — zostałyby ci jeszcze na lakier do paznokci i zmywacz. Pomyśl o tym. — Postukała się palcem w skroń. — No i nie musiałabyś mieszkać w służbówce na strychu...

— Spokojnie, nie jest tak źle. — Nabrałam powietrza do płuc. — „UrbanClass” to prywatna szkoła, nie jakaś tam państwówka — zaoponowałam. — Poza tym ja naprawdę lubię tę pracę! Niestety, teraz wszystko wskazuje na to, że nasza wspólna przygoda dobiegła końca. I to wcale nie dlatego, że jestem na celowniku policji. Nawet jeśli złapią sprawcę, szkoła prawdopodobnie i tak zostanie zamknięta... Kto by chciał się uczyć w takim miejscu!?

— Tu się z tobą zgodzę — podchwyciła Klaudia. — Co nieco o waszej placówce słyszałam. W mediach nie mówią o niczym innym. I wiesz, co myślę? Ktoś wyświadczył wam przysługę! Dzięki niemu te kompromitujące próby ratowania waszej szkoły wreszcie się zakończą!

— To nie tak!? Oni wszystko... wyolbrzymiają!

— To miłe z twojej strony, że bronisz imienia firmy nawet w tak jednoznacznej sytuacji. Twoja lojalność wobec pracodawcy jest naprawdę

godna podziwu. Ale powiem ci coś: nie warto poświęcać się tak dla sprawy. Każdy szef, zapytany o sprawy kadrowe, powie ci to samo, czyli że nie ma ludzi niezastąpionych. Radzę ci, obrócić to stwierdzenie w drugą stronę, a dobrze na tym wyjdiesz. Nie ta firma, to inna. Ot, co!

— Zobaczymy, jakoś trzeba będzie ten bałagan ogarnąć...

— Właśnie, à propos bałaganu. Już prawie się urządził, brakuje nam tylko kilku roślin. Możesz polecić jakiś sprawdzony sklep ogrodniczy?

— Sklep ogrodniczy...? — zastanowiłam się na głos. — O, wiem! Mama Kudłacza, to znaczy mojego kumpla, ma pracownię florystyczną. Dam ci do niego numer. Na pewno znajdziesz u nich coś w sam raz.

— Świetnie! Zapiszesz mi? — Podała mi telefon.

— Jasne. Może być „Marek — Kuferek”? „Kuferek” to nazwa tej kwiaciarni.

— Pewnie, super. Dzięki! Nie zatrzymuję cię dłużej.

Zrobił to jednak ktoś inny.

Na parterze spotkałam panią Wandę spod dwójki pod eskortą jej szylkretowej kotki Józki. Wnioskując z kilku miniproduktów kosmetycznych, prezentujących się na dnie jej wiklinowego koszyka na zakupy, babcia wracała właśnie z drogerijnych łowów.

— O, Marta, dobrze, że cię widzę! Ty wiesz, co się tu wyprawia? — Zbliżywszy się do mnie, nieznacznie ściszyła głos.

Koszyk postawiła na posadzkowym lastryku w holu. Józka oparła o jego brzeg przednie łapki i poruszając nozdrzami z zaciekawieniem zlustrowała jego zawartość. Raz po raz zwilżała koniuszkiem języka swój nosek, by wychwycić wszystkie nuty zapachowe, jakie nosiły zapasy poczynione tego ranka przez jej opiekunkę. Po chwili intensywnego węszenia, kotka wróciła na podłogę i trzymając wysoko zadarty ogon, trąciła łebkiem łydkę swojej pani.

— Wyobraź sobie — mówiła emerytka — że Szpakowski wynajął jedno z tych mieszkań, co na drugim piętrze dotąd puste stały. Boże drogi, kogóż ten łajdak nam tu sprowadził!? — Jedna z pomarszczonych dłoni zastygła

na jej policzku. — Co on, nie widział, z kim umowę najmu podpisuje? No osioł dardanelski...!

Mimowolnie podniosłam pięść do ust. Miałam nadzieję, że sąsiadka spod szóstki wróciła już do swojego mieszkania i że nie dotarły do niej niepochlebne słowa emerytki, skierowane przecież pod adresem jej i jej męża.

— Będą z tego kłopoty, zobaczysz — ciągnęła pani Wanda.

Kotka raz i drugi otarła się o jej nogi.

— Już się tutaj różne indywidua zaczęły kręcić. Wiem, co mówię, sama widziałam. Wprawdzie nie od razu się zorientowałam, kto zacz, ale że niezbyt sympatycznie wyglądali, to przejście im zagrozić chciałam — konfidencjonalnie zbliżyła dłoń do ust — a miałam czym, bo akurat wycieraczkę zamiatałam. — Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. — Co mi się tu będą jakieś typy spod ciemnej gwiazdy pałętać? Wtedy tych dwoje pokazało mi swoje legitymacje. Policja kryminalna. — Pospiesznie się przeżegnała. — O matko i córko! Tak się przestraszyłam, że rakiem do mieszkania wróciłam!

— Śledczy byli u mnie — natychmiast naprostowałam błędne założenia staruszki.

Twarz pani Wandy niespokojnie drgnęła.

— U ciebie...? — zawahała się. — Jak to?! Dziecko, co ty mówisz?!

— Być może słyszała już pani o tej tragedii w „UrbanClass”, wrocławskiej szkole, która prowadzi kursy językowe dla młodzieży?

— Co miałam nie słyszeć? Pewno, że o wszystkim wiem. Od wczoraj na regionalnej tylko to w koło Macieju nadają!

— Pracuję tam.

— Ty...? W telewizji regionalnej...? — W oczach staruszki błysnęła ekscytacja. — To dlaczego nic wcześniej nie mówiłaś? Wolno zapytać, jakie masz tam zajęcia? — Babcia uśmiechnęła się jurnie.

— Chodzi mi o tę szkołę. Uczę angielskiego.

Emerytka ze świstem wypuściła powietrze z płuc.

— Naprawdę? A ja myślałam, że ty sama jesteś jeszcze uczennicą...

— Jestem już po studiach. — Uniosłam lekko podbródek.

Pani Wanda omiotła mnie sceptycznym spojrzeniem.

A beztroška Józia kręciła coraz bardziej intensywne ósemki wokół jej łydek, ocierając się o nie raz jednym, raz drugim bokiem.

— Policja była u mnie — powtórzyłam. — Jestem potencjalnym świadkiem w sprawie. Znałam nieboszczyka.

Uznałam, że lepiej nie wspominać o tym, że przy okazji jestem główną podejrzaną dochodzeniówki. To mogłoby jedynie utwierdzić panią Wandę w przekonaniu, że Szpakowski sprowadził do willi mętny element społeczny.

Pozostawiwszy emerytkę z życzeniami dobrego dnia, udałam się na pobliski przystanek MPK, skąd wyruszyłam w podróż do centrum, a konkretnie pod adres „UrbanClass”.

W pierwszej kolejności skierowałam się do szkolnej portierni, w myśl tego, że dozorczy zwykle doskonale orientują się w aktualnościach strzeżonego obiektu. Na porannej zmianie zastałam Żanetkę, która w interesującej mnie sprawie miała jednak niewiele do powiedzenia, gdyż feralnego dnia jej dyżur — podobnie jak we wszystkie dni powszednie — skończył się w południe, kiedy to zastąpił ją drugi ze stróży, pan Tadzik. Musiałam uzbroić się zatem w cierpliwość i poczekać do dwunastej, by zamienić z nim kilka słów.

Do spotkania z dyrektorką miałam jeszcze pół godziny, dlatego dysponując odrobiną wolnego czasu, postanowiłam zajrzeć do pokoju nauczycielskiego, choć w gruncie rzeczy nie miałam większych nadziei na to, że kogokolwiek tam spotkam.

Tymczasem czekało mnie miłe zaskoczenie. Przy stole ustawionym w centralnej części pomieszczenia siedziały dwie spośród moich szkolnych koleżanek i, jak gdyby był to normalny dzień zajęć, plotkowały przy porannej kawie. A jej aromat przeszywał unoszący się w powietrzu kurz zmieszany z pudrowym zapachem kobiecych perfum. Brakowało jedynie owocowego placka, stojącego zwykle na stole, w który wedle niepisanej zasady każdy z lektorów kolejno zaopatrywał nasze grono. Przyznaję się bez bicia — czasem cichcem wynosiłam ciasto dla moich uczniów jako

wariację na temat przysłowiowej marchewki. Eksponowałam je na swoim biurku, od czasu do czasu jawnie delektując się jego zapachem, a obietnica wspólnej konsumpcji skutecznie motywowała gałgany do aktywnego udziału w lekcji.

Teraz, gdy weszłam do pokoju nauczycielskiego, dziewczyny natychmiast umilkły.

Co, do diaska!? Czy one też mnie podejrzewały?!

— Cześć! — przywitałam się mimo wszystko, zerknąwszy na nie kątem oka.

Zbliżyłam się do swojej imiennej szafki, symulując, że powodem mojej wizyty w murach „UrbanClass” jest zawartość tejże. Niby pod nosem, jednak wystarczająco głośno, by usłyszały mnie koleżanki, rzuciłam:

— Ale tu pusto...

Odpowiedziała mi cisza.

— ...i chyba tak już zostanie — ciągnęłam, nonszalancko gmerając w szafce.

Nagle poczułam pod palcami coś niepokojąco miękkiego.

— Co masz na myśli? — odezwała się Kamila, lektorka hiszpańskiego.

— No wiesz... — Wyjawszy z szafki trącające pleśnią zawiniątko, trzasnęłam metalowymi drzwiczkami i z obrzydzeniem cisnęłam do śmietnika pozostałość po mojej kanapce z goudą, którą przez nieuwagę musiałam zostawić tu ostatniego dnia przed przerwą semestralną, kiedy — o ironio! — robiłam porządki w swoich rzeczach. Dobrze, że odkryłam swoje uchybienie, zanim przez szpary szafki opatrzonej moim nazwiskiem zaczęła wyłaniać się bujna flora i fauna.

Umyłam ręce pod kranem w rogu sali, po czym podeszłam do stołu, przy którym siedziały dziewczyny. Na pozór od niechcienia zajęłam jedno z wolnych krzeseł ustawionych wokół.

— Chyba nietrudno się domyślić, że po takiej aferze nie będzie zbyt wielu chętnych do podjęcia nauki w murach naszej szkoły... — powiedziałam. — Wątpię, żeby ktokolwiek był aż tak zdeterminowany, by

ryzykować własnym życiem — rzuciłam koleżankom wymowne spojrzenie. — Zwłaszcza że wybór kursów jest we Wrocławiu ogromny.

— To okropne, co przytrafiło się Piotrowi! — jęknęła Beata, nowa bibliotekarka „UrbanClass”.

Poprawiła na nosie oprawki okularów, podkreślając jej duże, granatowe oczy, po czym spłotła palce na kubku z kawą.

— Tak, to straszne... — Na moment spuściłam wzrok i ramiona. — Ale wyobrażacie sobie, że sprawca może być wśród nas? — Uniosłam teatralnie powieki i ponownie spojrzałam na koleżanki.

Obie wyglądały na wystraszone.

— Co prawda policja nie wyklucza tego, że zbrodni mógł się dopuścić ktoś obcy, ktoś, kto niepostrzeżenie wdarł się na teren szkoły... — na moment przerwałam, badając twarze obu dziewczyn — ...ale nie zmienia to faktu, że przecież muszą przesłuchać też wszystkich pracowników. U was też już byli? — Próbowałam nawiązać między nami nic porozumienia, subtelnie dając koleżankom do zrozumienia, że gramy do tej samej bramki i w zaistniałej sytuacji musimy trzymać się razem.

— Naprawdę był z Piotra sympatyczny facet — odezwała się zadumana Beata. — Wesoły, inteligentny... Przystojny też, nie powiem. Zawsze po zajęciach chętnie zaglądał do biblioteki...

— Do biblioteki...? — zapytałam z przekąsem.

— Fajnie nam się gadało. — Wzruszyła ramionami. — Raz nawet wyskoczyliśmy na wspólny lunch. Nie wolno?

— Byliście aż tak blisko...?

Kamila była chyba tak samo zaskoczona jak ja.

— Daj spokój, a ty i Krzysiek nigdy nie spotykaliście się poza pracą? — Beata odbiła piłeczkę. — Czy to coś znaczy?

— A rozmawialiście o innych osobach ze szkoły? — Zignorowałam jej docinek.

— Jakby nie było lepszych tematów...

— Piotr o nikogo z nas cię nie wypytywał? Sam też nic nie mówił?

— Nie... Co to za pomysł?

— Nie wiem, może był zwyczajnie ciekawy — mruknęłam.

— Chociaż... Wiesz co? — Beata przyłożyła palec do ust, tak jakby nagle coś się jej przypomniało. — Raz podśmiewał się z Agnieszki Wincek...

— Co...?! Niby dlaczego?

Beata uniosła oczy i głośno sapnęła.

— Powiedział, cytując: „Ta grubaska chyba na coś liczy...”.

— Prostack! — prychnęłam.

— Ale nie drażyłam tematu. Po prostu mnie aż zamurowało.

— To kiedy widzieliście się ostatni raz?

— W czwartek... W piątek biblioteka była już oficjalnie zamknięta, a ja miałam wolne.

Pokiwałam głową i skierowałam swój wzrok na Kamilę.

— W piątek robiłam porządki w sali multimedialnej... I nie, nie zauważyłam tego dnia niczego niepokojącego... — urwała i rzuciła szybkie spojrzenie w stronę umywalki w rogu sali.

Ciężko westchnęła.

— To znaczy... Była taka jedna rzecz. — Na moment zawiesiła głos. — Ale to jeszcze o niczym nie świadczy — zastrzegła.

Odruchowo odgarnęła z czoła mieniącą się złotymi refleksami grzywkę wystającą spod materiałowej opaski, która oplatała jej włosy.

— Możesz zdradzić, co to było? — zapytałam.

— Nie chcę siać plotek...

— Nie przesadzaj, tu chodzi o bezpieczeństwo nas wszystkich.

— Kiedy około trzynastej wreszcie uporałam się z tym bajzlem w multimedialnej — kontynuowała — kilka rzeczy przyniosłam tutaj, do swojej szafki. — Ruchem głowy wskazała rząd metalowych boksów, w którym znajdował się również ten, który chwilę wcześniej ocalałam przed samoistnym przeistoczeniem w scenografię z „Jumanji”. — Był tu Krzysiek. — Kamila przełknęła ślinę. — Stał przy umywalce, coś szorował...

— Szorował...? — Zdumiałam się. — Ale co?

— Właśnie nie wiem... — odpowiedziała. — Jak tylko wszłam, natychmiast zakręcił kran. W pośpiechu zebrał swoje rzeczy i jak

poparzony wypadł na korytarz! Cały czas był odwrócony do mnie plecami, tak jakby koniecznie chciał coś ukryć...

— Krzysiek...? — Zmarszczyłam brwi.

— To zachowanie było naprawdę dziwne. A chyba wszyscy wiedzą, że Krzysiek nie pałał do Piotra szczególną sympatią, prawda?

— A ty?

— Co ja?

— Czy go lubiłaś?

— Piotra? — Wzruszyła ramionami. — A co ja mogę o nim powiedzieć? W przelotnym kontakcie sprawiał normalne wrażenie. Ale w przeciwieństwie do niektórych — zerknęła na Beatę, nieznacznie podnosząc jedną z brwi — nie zdążyłam go zbyt dobrze poznać. A ty?

— Ja, na szczęście, też nie — ucięłam. — Czekacie na dyrektorkę? — Zmieniłam szybko temat.

Odpowiedziały jednocześnie:

— Tak.

— Nie.

— Z tobą Wysocka też chciała rozmawiać? — chciała wiedzieć Kamila.

— Nie, Olszakowa. A ty, Beata? Dlaczego przyszłaś?

— Ja...? — Zawahała się. — Tak, jak mówiłam, w piątek nie było mnie w szkole, po prostu chciałam... dowiedzieć się o sprawie czegoś więcej.

Gdy wyszłam na korytarz, wskazówki na tarczy zegara zawieszono tuż pod sufitem wskazywały już prawie jedenastą trzydzieści, dlatego od razu skierowałam się do gabinetu dyrektorki. A właściwie do sekretariatu, z którym sąsiadowało królestwo Jolanty Olszak, i przez który należało przejść, aby przedostać się do jej biura.

Sekretariat, podobnie jak wiele innych zakamarków „UrbanClass”, świecił teraz dojmującą pustką, choć mimo to wypełniał go ten sam niby kawiarniany zapach co zwykle. W związku z trwającą w placówce przerwą międzysemestralną, urzędująca tu zwykle pani Renia mogła być na urlopie lub, co gorsza, po wybuchu afery z coachem oraz z wynikającą z

niej kiepską sytuacją, w jakiej nieoczekiwanie znalazła się firma, obecnie nie miała zbyt wiele pracy.

Weszłam z uczuciem żalu, by przejść do gabinetu dyrektorki. Wtedy zmiarkowałam, że prowadzące do nich drzwi są otwarte na oścież. Instyktownie znieruchomiałam, gdy dobiegły mnie odgłosy toczony tam rozmowy.

Rozdział 7

— Lena, kobieta, która sprząta u nas w domu... — rozpoznałam głos wicedyrektorki, Bożeny Wysockiej — ...strasznie się przez to wszystko pochorowała. Nie wiadomo, czy w ogóle do nas wróci. Już od dwóch tygodni nie mogę znaleźć nikogo na jej miejsce, a tu zaraz przyjdzie jesień i zostanę z brudnymi oknami!? — żaliła się pani Bożenka. — Pocieszam się myślą, że dzień będzie coraz krótszy, a po ciemku brudu nie widać. Gorzej ze stertą świeżego prania, która niedługo sięgnie sufitu, a ja nie mam kiedy tego wszystkiego uprasować...!

Musiałam chwycić byka za rogi. Stanęłam w progu biura szefowej i cicho zakasłałam, by zaanonsować swoje przybycie.

— Dzień dobry — przywitałam się z obiema paniami.

— Przepraszam, że się wtrącam, ale zdaje się, że szuka pani pomocy domowej? — zwróciłam się do wicedyrektorki, która zajmowała miejsce za biurkiem szefowej, usłanym jak zwykle stosem jakichś dokumentów.

Kobieta musiała zjawić się dosłownie chwilę przede mną, bo na jej nosie wciąż tkwiły duże okulary przeciwsłoneczne, zaś jej głowę i szyję okalała apaszka. Pani Bożenka wyglądała jak prawdziwa włoska diva. Albo jak ktoś, komu zależy na tym, by, z jakiegoś powodu, występować incognito.

— Pani Jaworska...!? — Zanim wicedyrektorka zdążyła mi odpowiedzieć, odezwała się szefowa.

Z dezaprobatą wykrzywiła usta, na obrysie których odznaczała się resztką pomadki pozartej przez nią najpewniej wraz z drugim śniadaniem.

— No wie pani...? — mlasnęła. — Los naszej szkoły nie jest jeszcze przesądzony. Rozumiem, że może się pani obawiać utraty źródła dochodu,

ale zapewniam, że zrobię wszystko, żeby ocalić „UrbanClass”. Tymczasem, proszę spróbować powściągnąć swoją desperację.

— Posłała mi znaczące spojrzenie sponad okularów, które tkwiły mniej więcej w połowie jej nosa.

— Nie chodzi o mnie — natychmiast ją uspokoiłam. — Tak się składa, że moja znajoma akurat szuka dorywczej pracy. Jeśli pani chce... — znów zwróciłam się do zakamuflowanej wice — ...to mogę was skontaktować. Jestem pewna, że będzie pani zadowolona z usług Basi. To profesjonalistka — dodałam przekonująco.

— Pani Marto, spada mi pani jak z nieba — powiedziała słabo wicedyrektorka.

Powolnym ruchem ręki zdjęła okulary przeciwsłoneczne, a tym samym odsoniła sińce rysujące się pod jej dolnymi powiekami.

— Ma pani mój numer telefonu, prawda? — zapytała. — Proszę przekazać go znajomej. Niech do mnie zadzwoni, to się umówimy.

Uwolniła głowę z oplatającej ją apaszki. Po jej nienagannym uczesaniu, do którego byłam przyzwyczajona, nie było teraz śladu.

Cały ten osobliwy kamuflaż wydawał mi się zupełnie bezcelowy. I bez niego trudno było rozpoznać w niej kobietę, którą znała cała szkoła.

— Zdaje się, że chciała pani ze mną o czymś rozmawiać? — odezwała się tym razem Olszakowa.

— Tak — odparłam — choć nie jestem pewna, czy ma to jeszcze jakieś znaczenie, skoro...

— Wszystko ma teraz ogromne znaczenie! — Dyrektorka weszła mi w słowo.

— No dobrze, w takim razie... tak się składa, że... — język mi skołowaciał. — W ubiegły piątek... — aż zaschło mi w ustach — ...trener poprosił mnie o chwilę rozmowy na osobności...

Szefowa zamrużyła kilka razy, po czym powoli opadła na fotel stojący tuż za nią. Rozdzielał on regał ze szkolnymi dokumentami i biurko, przy którym zwykle pracowała. Teraz siedziała tam Wysocka.

— Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... — oblałam się pąsem — ...cóż, powiem wprost: coach złożył mi niemoralną propozycję — wyplułam. — Chodziło o te oceny pracy, które miał wystawić każdemu z lektorów na zlecenie pani dyrektor...

Oczy szefowej zamieniły się w dwa okrągłe spodki.

— Słucham...?! — Podniosła głos. — Co pani mówi?! Jakie oceny...? Kto mu kazał?!

Zwróciła się w stronę wicedyrektorki i utkwiała w niej pytające spojrzenie.

— To ty zleciłaś Lemparowi sporządzenie opinii na temat naszych nauczycieli?

Wicedyrektorka wzdrygnęła się na krześle.

— Opinie...? — wymamrotała. — Nie, akurat o to go nie prosiłam...

— To bydlę! — syknęła szefowa.

Skierowałam wzrok na panią Bożenkę, która również wyglądała na wstrząśniętą.

— Co za łajdak i oszust!? — Dyrektorka poderwała się i zaczęła krążyć po swoim gabinecie. — Pani Marto, ale do niczego nie doszło? — Zatrzymała się na wprost mnie i przyjrzała mi się badawczo. — Przepraszam... — Natychmiast się zreflektowała. — Chciałam zapytać, czy nic się pani nie stało?

— Nic.

— To dobrze. Proszę mi wierzyć, bardzo żałuję, że ten, pozał się Boże, konsultant nie dostanie za swoje!

Zastanowiła się przez chwilę.

— Cóż, choć można przyjąć, że sprawiedliwości stało się zadość — oceniła. — Ale nie ukrywam, że chętnie sama rozprawiałabym się z tym draniem!

— Uniosła zaciśniętą pięść, nie siląc się nawet na udawany żal. — W sali sądowej, ma się rozumieć — dodała w razie wątpliwości i szybko opuściła rękę.

Łypnęłam znowu na panią Bożenkę, która zdawała się podzielać punkt widzenia szefowej. Wyglądała zupełnie tak, jakby wnet wyzbyła się wszelkiej goryczy z powodu przedwczesnej śmierci coacha. A jeszcze przed momentem zgryzota zdawała się żywcem trawić ją od środka.

— Czy policja już u pani była? — zapytała po chwili dyrektorka. — Powiedziała im pani o tym, co zaszło?

— Tak, niestety podziało to na moją nie...

— Świetnie — przerwała mi szefowa. — Niech wiedzą, co Lempar miał za uszami. — Chwyła się pod boki. — To wszystko?

Znów posłała mi spojrzenie sponad okularów, które zsunęły się jej z nosa. Jednocześnie dała mi do zrozumienia, że jeśli nie mam dla niej żadnych dodatkowych rewelacji, to moją wizytę w swoim królestwie uważa za zakończoną.

— W takim razie: dziękuję. Niech pani będzie tak uprzejma i zamknie za sobą drzwi. Muszę wykonać jeden telefon.

Potulnie wycofałam się do sekretariatu. A ponieważ był pusty, zatrzymałam się pod drzwiami gabinetu szefowej. Musiałam zaspokoić swoją ciekawość i przekonać się, z kim i w jakiej sprawie się skontaktuje.

Kiedy padło nazwisko Zaremby, na moment wszystkie tkanki mojego ciała zeszytywniały. Wyglądało na to, że dyrektorka chciała się upewnić, że w związku z obciążającą mnie poszlaką śledcza podjęła już mój trop.

Wobec takiego obrotu spraw, w obawie przed tym, że szefowa nakryje mnie na myszkowaniu, postanowiłam czym prędzej czmychnąć z jej terytorium. Lecz gdy odwróciłam się na pięcie, ze zgrozą odkryłam, że ktoś odciął mi jedyną drogę ucieczki.

Rozdział 8

— Pani szuka pani dyrektor? — Sekretarka przyszpiliła mnie podejrzliwym wzrokiem.

Postąpiła kilka kroków naprzód.

— Pani Olszak...? — Cofając się, przybrałam niewinny wyraz twarzy. — Ależ skąd, czekałam na panią. — Kilkukrotnie zamrugłam.

W odpowiedzi jedna z brwi kobiety poszybowała wysoko w górę, podczas gdy druga wykrzywiła się ku dołowi.

Dźwigając naręczce teczek na dokumenty, tęga sekretarka wgramoliła się za biurko ustawione tuż przy drzwiach gabinetu szefowej. Wyglądało na to, że, wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom, pani Renia była tego dnia w pracy, a teraz najpewniej wróciła ze szkolnego archiwum. Dopiero w tym momencie spostrzegłam ukrytą w kącie biurka filiżankę z niedopitą kawą.

— Słucham? W czym mogę pomóc?

— Przyszłam po zaświadczenie o zatrudnieniu w „UrbanClass”...

Gdy tylko wysunęłam ten idiotyczny wniosek, zważywszy na okoliczności zaraz zdałam sobie sprawę z własnego bezmózgowia. Tymczasem krzaczasta brew sekretarki wznosiła się coraz wyżej. Jeszcze chwila, a wyszłaby poza linię czoła.

— To znaczy, chodzi o dokument... — zaczęłam sapać — ...eee... potwierdzający... datę mojego zatrudnienia... — lawirowałam — ...oraz to, że jako lektorka angielskiego przepracowałam ostatnie dwa lata...

— Rzeczywiście... — westchnęła sekretarka — ...to może się przydać. Lada dzień będę musiała sporządzić co najmniej jeszcze dziesięć podobnych zaświadczeń.

Spoczęła na swoim biurowym fotelu, udając, że nie widziała, jak jeszcze przed chwilą nachylałam się w kierunku drzwi gabinetu

dyrektorki. Przyniesione skoroszyty położyła na blacie i sięgnęła po bloczek samoprzylepnych fiszek. Sporządziwszy krótką notkę z moim nazwiskiem, oderwała wierzchni karteluszek i umieściła go na ścianie po swojej lewej stronie.

— Niestety, dziś mam zbyt wiele pracy — powiedziała. — Proszę przyjść jutro około trzynastej. Do tej pory stosowne zaświadczenie powinno być gotowe.

Zmrużyła powieki i przez chwilę w milczeniu mierzyła mnie wzrokiem. Pożegnałam się i czym prędzej opuściłam sekretariat.

Gdy wyszłam na korytarz, dochodziło już południe. Pan Tadzik powinien obejmować właśnie wartę w szkolnej portierni, dlatego ruszyłam w tamtą stronę. Zamierzałam wypytać go o szkolny monitoring, a zaraz potem ewakuować się z „UrbanClass”, zanim na miejscu zjawiłaby się komisarz Zaremba, by pod pretekstem zachodzącego niebezpieczeństwa mataczenia w śledztwie przewencyjnie zawinąć mnie na „dołek”.

— Pani kochana...! — Stróża wyraźnie ucieszyły ploteczki. — Będą ze trzy tygodnie, jak ten szajs znowu zaczął szwankować — powiedział, kiedy zagadnęłam go o kamery. — Od jakiegoś czasu ciągle się to dziadostwo psuło. Niby był techniczny, miał sprawdzić, o co chodzi, ale... — Wzruszył ramionami. — Zaraz, jak to mówią...?

I w Paryżu... nie zrobią z owsa ryżu? No, niby facet sprawdzał, grzebał, ale okazało się, że to wszystko jest już całkiem do kitu! Tyle dobrego, że firma się przyznała. Powiedzieli, że umowę chcą rozwiązać. To po to był tu ten facet od demontażu. Z początku się dziwiłem, że dyrektorka się zgodziła, ale teraz... — Machnął ręką. — Na co komu ta kupa złomu, jak słuchy chodzą, że zamkną cały ten nasz bajzel w cholere?

— A kiedy on był? Ten od demontażu? Pamięta pan?

— A pewno, że pamiętam! — Podniósł czoło naznaczone siatką zmarszczek. — Takich rzeczy się nie zapomina. Pani kochana, przecież on był akurat w ten dzień, co ten warszawiak nam tu kitę odwalił!

Wytrzeszczyłam oczy.

— Tak? A o której?

— Wszystko mam dokładnie zapisane. — Poklepał zeszyt, w którym swój autograf musiały złożyć osoby postronne, wchodzące na teren szkoły.

Przerzucił kilka kartek i wreszcie odszukał tę z datą ubiegłego piątku.

— O, jest. — Wskazał palcem jedyną linijkę z tamtego dnia. — J. Kwiecicki. Zameldował się u Żanetki jeszcze przed jedenastą, a wyszedł o trzynastej czterdzieści pięć, już na mojej zmianie.

Zamrugalam. Byłoby dobrze, gdyby Zaremba jednak pofatygowala się do „UrbanClass”. W przeciwnym razie znów będę musiała odwalić za dochodzeniówkę całą robotę!

— A policja o tym wie?

— Pewno, że wiedzą. — Pan Tadzik dumnie wypiął pierś na znak tego, że osobiście o wszystkim ich poinformował. — Od razu im to nadałem, bo to przecież nie może być, żeby tego gościa kropnął ktoś od nas — dodał i na powrót rozsiadł się w fotelu.

Ciekawe, że znajomość tych okoliczności nie przeszkadzała Zarembie w tym, by mimo wszystko podejrzewać właśnie mnie.

Fuknęłam pod nosem.

— Jak nazywa się ta firma? — Wyjęłam z torebki notatnik.

— Best... Mo-ni-to-ring — wydukał dozorca, pochylając się nad zeszytem. — Pani pomaga policji? — Wskazał brodą mój bloczek śledczy.

— Ja!? Co pan... to znaczy... właściwie można tak powiedzieć. Chodzi o to, że policja ma już pewną teorię w całej sprawie, ale tak się składa, że ja wiem, że oni nie wiedzą...

— To oni już kogoś podejrzewają!? — przerwał mi dozorca.

— Tak, mnie.

Stróż zaniósł się śmiechem.

— Pani Marto, pani to się dowcip trzyma!

— Kiedy ja nie żartuję!

— Niechże się pani nie wygłupia!?! Tu trzeba być poważnym!

— A oprócz tego serwisanta... — odezwałam się po chwili — ...ktoś obcy jeszcze się tu kręcił?

— Nie. Znaczy się tak. Ale on jest akurat poza wszelkim podejrzeniem.
— Machnął ręką. — Zaraz jak zacząłem zmianę, był tu kurier, ale on do szkoły nawet nie wchodził. Zostawił mi jedną przesyłkę i tyle go widzieli.

— Kurier...? — Na wspomnienie afery z MEK-iem podskoczyło mi ciśnienie. — Jaki kurier!?

— DPD albo DHL... Nigdy nie mogę ich rozróżnić. A to jakaś różnica? Jak pani bardzo zależy, to mogę sprawdzić. Od jakiegoś czasu rejestr przesyłek prowadzimy. Dyrektorka kazała.

— Nie, nie trzeba, dziękuję.

— A pani... kogoś podejrzewa? — Znów mnie zagadnął.

— Na razie nie.

— To ja coś pani powiem w tajemnicy... — Ściszył głos i nachylił się do okienka dyżurki, dając mi ręką znak, żebym zrobiła to samo. — W piątek, jakoś po trzynastej, ze szkoły wychodził — urwał na moment i dyskretnie rozejrzał się wokół — ...Braciak. Ja nie wiem, ale on się tak jakoś dziwnie zachowywał.

— Krzysiek...? — wyszeptalam.

— Trzymał się tutaj, o tak... — przykrył dłonią nos i usta — ...jakby się z kimś pobił... Albo coś...?

* * *

Kiedy wyszłam ze szkoły, słońce wisiało już wysoko, zalewając swoimi promieniami całe miasto. Wstałam po butelkę chłodnej lemoniady do jednej z kawiarenek niedaleko szkoły, a w międzyczasie zatelefonowałam do Basi.

— Mam nadzieję, że w odmętach twojej garderoby znajdzie się coś, co mogłoby posłużyć za strój gosposi? — zagadnęłam przyjaciółkę, gdy jej głos zabrzmiał w słuchawce.

— No pewka! Wiesz, że wyczaruję z niej, co tylko zechcesz — Zachichotała. — Tylko... nie uważasz, że takie przebieranki mogłyby spodobać się jedynie jakiemuś staremu piernikowi?

— Co!? Zwariowałaś...! To ma być twój operacyjny kamuflaż.

— Mój...? Co to za pomysł?

— Załatwiłam ci przepustkę do domu wicedyrektorki. Mam nadzieję, że umycie kilku okien i uprasowanie paru rzeczy mieści się w ramach ostatniej przysługi, którą możesz wyświadczyć przyjaciółce, zanim ta przepadnie w czeluściach aresztu śledczego?

— A, o to chodzi... — Basia odpowiedziała filuternie. — Nie martw się! Nie pozwolę Zarembie cię przymknąć. Jeśli wicedyrektorka ma coś na sumieniu, to już wkrótce ją zdemaskujemy. Wyślij mi numer telefonu podejrzanej. — Przybrała konfidencjonalny ton. — Mogę u niej zacząć choćby dzisiaj.

Trzy przesunięcia palcem po wyświetlaczu smartfona wystarczyły, by przekazać Basi kontakt do Wysockiej, wicedyrektorki „UrbanClass”.

Zapłaciłam za napój na wynos, a zaraz potem sprawdziłam w przeglądarce internetowej adres siedziby „Best Monitoring”.

Od centrali firmy dzielił mnie raptem kwadrans pieszo. Pociągnęłam z butelki łyk lemoniady i naładowana świeżą energią ruszyłam przed siebie w kierunku placu Orłąt Lwowskich.

Nie uszłam zbyt daleko, bo mijałam dopiero pałac przy Szajnochy, w którym jeszcze do niedawna mieściła się biblioteka uniwersytecka, kiedy odezwał się mój telefon.

Gdy ponad ikoną akceptacji połączenia odczytałam imię Adama, serce zabiło mi mocniej.

— Jak twoja wizyta w „UrbanClass”? — zapytał od razu.

— Poza tym, że o popełnienie zbrodni w bibliotece podejrzewa mnie teraz też dyrektorka, moją akcję zwiadowczą można zaliczyć do udanych — powiedziałam ironicznie.

— To znaczy?

— Oprócz tego, że zorganizowałam przykrywkę dla Basi, dowiedziałam się kilku interesujących rzeczy.

— Na przykład jakich?

— Okazuje się, że Krzysiek przemilczał pewien istotny szczegół. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj ręczyłam za niego przed policją —

zachnęłam się. — Chociaż mam też inny typ. Od szkolnego dozorczy wiem, że dokładnie w tym samym czasie, kiedy doszło do morderstwa, na terenie szkoły przebywał ktoś postronny, a konkretnie jeden z serwisantów firmy obsługującej monitoring. Firmy, która, notabene, dopiero co wypowiedziała szkole umowę. Tego dnia wysłali kogoś do „UrbanClass”, żeby zdemontował sprzęt. Niby to nic wielkiego, ale wolę to sprawdzić.

— Aha. I co? Wiesz co to za firma?

— Tak, nazywa się „Best Monitoring”.

W głośniku rozległ się stłumiony odgłos kaszlu.

— Czekał... — Adam jakby z trudem złapał oddech.

— Jesteś pewna?

— No, jestem. Widziałam notkę w zeszycie wizyt, który prowadzi portiernia. A co? Kojarzysz kogoś od nich?

— Nie bezpośrednio.

— No to o co chodzi?

— Od kilku tygodni prowadzimy w ich sprawie jedno z naszych śledztw — wyparował.

— Tak? — Ucieszyłam się. — To się świetnie składa, bo akurat się do nich wybieram. Przy okazji mogę powęszyć też w waszej sprawie — rzuciłam z niezamierzoną brawurą w głosie. — Powinam zwrócić uwagę na coś szczególnego?

— Nigdzie nie pójdziesz — zaproponował Adam tonem nieznoszącym sprzeciwu. — A przynajmniej nie sama.

— Natychmiast się zreflektował. — Może być niebezpiecznie. Gdzie jesteś? Mógłbym cię zgarnąć.

— Właśnie mijam Zaulek Solny.

— Zaczekasz na mnie pod Nowymi Horyzontami? Będę tam w ciągu jakichś pięciu minut. Wracam z Teków, zaraz skręcam na Most Grunwaldzki.

— No pewnie, widzimy się — potwierdziłam.

Po chwili zatrzymałam się przed głównym wejściem do multipleksu. Na dużych przeszkleniach nadal wisiały kolorowe afisze, reklamujące

międzynarodowy festiwal filmów awangardowych, który jeszcze przed kilkoma tygodniami, jak co roku, ściągnął do Wrocławia tysiące miłośników sztuki filmowej z całego świata.

Obejrzałam swoje odbicie w szybie i w duchu podziękowałam Basi za jej troskę. To dzięki niej podczas nieoczekiwanego spotkania z Adamem wreszcie miałam się prezentować jak należy.

Koniec z szerokimi topami, w które do tej pory obfitowała moja garderoba. Basia w swojej przezorności postanowiła pozbyć się większości „worów”, w których chodziłam na co dzień. Bezceremonialnie wrzuciła je do kontenera z używaną odzieżą, ustawionego niedaleko willi. Na dnie szafy udało mi się zabunkrować dosłownie dwie sportowe koszulki. No, może ze trzy. Okej, zdołałam ocalić całkiem okazały stosik. Na szczęście moja przyjaciółka nie przewidziała tego, że część T-shirtów była akurat w praniu.

Gdy tak rozmyślałam nad uszczuploną zawartością mojej garderoby, w biegnącej wzdłuż chodnika zatoczce dla taksówek zatrzymał się czarny golf. Zza kierownicy samochodu pomachał do mnie Adam. Szybko zajęłam miejsce obok niego.

Dziennikarz omiótł mnie zadziornym spojrzeniem, po czym nachylił się i cmoknął w policzek. Spięłam raka i sięgnęłam po pas bezpieczeństwa.

— Dlaczego interesujecie się „Best Monitoring”? — zapytałam niby mimochodem.

Adam włączył lewy kierunkowskaz i spojrzął w boczne lusterko.

— Podejrzewamy, że to zorganizowana grupa przestępcza — odpowiedział i włączył się do ruchu.

Rozdział 9

— Grupa przestępcza?! — wykrzyknęłam.

Adam zerknął na mnie z ukosa i choć było to spojrzenie z rodzaju tych niespokojnych, widok jego szarozielonych oczu wywołał u mnie przyjemne mrowienie w dole brzucha.

— Skąd taki wniosek? — podjęłam po chwili.

— Zaczęło się od tego, że trzy miesiące temu więzienie na Kleczkowskiej, po pięciu latach odsiadki, opuścił Paluch, czyli Kazimierz Paluszkiewicz, recydywista wywodzący się z środowiska MMA.

— Serio?! Wyszedł z więzienia i zatrudnił się w firmie ochroniarskiej?
— Zrobiłam głupią minę. — To tak można?

— Hipotetycznie nie. — Adam zmienił bieg, gdy zawracaliśmy w kierunku pobliskiego placu Orłąt Lwowskich. — Oficjalnie nie podjął żadnej pracy zarobkowej. Utrzymuje, że wrócił na garnuszek swojej konkubiny, właścicielki niewielkiego zakładu fryzjerskiego na Psim Polu. Oficjalnie. Jednak podejrzewamy, że w rzeczywistości to pralnia brudnych pieniędzy Palucha. Anka — miał na myśli naszą redakcyjną koleżankę — musiała próbować dobrych kilka razy, zanim wreszcie zdołała się tam umówić. Miesiącami rzekomo nie było wolnych terminów. W rzeczywistości lokal świecił pustkami, a tylko czasem służył za miejsce spotkań towarzyskich konkubiny Palucha i jej psiapsiółek.

— Anka zrobiła wizję lokalną? — Domyśliłam się.

— Wiadomo. Ale lepiej jej o to nie pytaj.

— Dlaczego?

— Umówiła się na podcięcie końcówek, a... — Tu parsknął śmiechem.

— Niech zgadnę... Wyszła z włosami krótszymi o połowę?

— Coś w ten deseń. — Mrugnął do mnie.

— No dobra, ale co ma z tym wszystkim wspólnego „Best Monitoring”?

— Mniej więcej dwa miesiące temu firma zaczęła szturmować nowo powstające osiedla domków jednorodzinnych, położonych przy zachodniej granicy miasta. Jest to o tyle ciekawe, że jeszcze do niedawna świadczyła usługi jedynie większym instytucjom...

— Takim, jak na przykład „UrbanClass”...

— Dokładnie — potwierdził Adam. — Jeszcze kilka tygodni temu nie interesowały ich osoby fizyczne...

— To dlatego tak nagle rozwiązali umowę ze szkołą...?

— Na to wygląda. Firma zmieniła profil, kiedy przejął ją brat męża kuzynki konkubiny Palucha.

Zatrzymaliśmy się na światłach.

— Nadażasz? — Adam zwrócił twarz w moją stronę.

— Czekaj. Brat... męża... kuzynki... konkubiny... — mamrotałam pod nosem, wodząc w powietrzu palcem po niewidzialnym drzewie genealogicznym dziewczyny Palucha. — Okej, mam — potwierdziłam po chwili.

Samochód znów ruszył.

— Jesteśmy pewni, że to słup — ciągnął Adam — choć, prawdę mówiąc, Paluch mógł się bardziej postarać.

— Z całym szacunkiem, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. — Zaplotłam ręce na piersiach. — Równie dobrze nowy właściciel mógł mieć po prostu swój własny pomysł na tę firmę. Nie wydaje ci się?

— Nie, kiedy w pobliżu kręci się Paluch, skazany za wielokrotne napady, rozboje i wymuszenia! On i jego ludzie nie są zdolni do uczciwego zarabiania na chleb — sapnął. — Co ciekawe, włamy na tych osiedlach stały się plagą dopiero wtedy, kiedy „Best Monitoring” wdrożył tam wzmożoną akcję marketingową. Paradoks związku przyczynowo-skutkowego jest tu wyjątkowo wyraźny, nie sądzisz?

— Ja chyba jednak za wolno myślę...

— A słyszałaś o czymś takim jak „strategia generowania potrzeb”? Paluch i jego szajka wykreowali sztuczny problem tylko po to, by

wspaniałomyślnie wyjść pokrzywdzonym naprzeciw: oferują im odpłatne wybawienie z kłopotów, którym tak naprawdę to właśnie oni są winni! Sprytne, nie? Właśnie tak podaż tworzy popyt, a „Best Monitoring”, przy minimalnym nakładzie pracy, kręci interes isticie kokosowy — zakończył, gdy parkowaliśmy pod zabytkowym Dworcem Świebodzkim.

Posłałam Adamowi zaniepokojone spojrzenie.

— Chcesz mi powiedzieć, że trenera wykończyła zorganizowana grupa przestępcza!?

— Co...? Niczego takiego nie powiedziałem!

— Skoro jednak w szkole doszło do tak niecodziennego zajścia i, dziwnym trafem, w tym czasie w „UrbanClass” przebywał akurat ktoś z takich kręgów, to chyba możemy założyć, że jedno z drugim może mieć coś wspólnego? — Zaczęłam wodzić wzrokiem po malującej się za szybą fasadzie gmachu byłego dworca. — Nie wiem, jaki zatarg mógł mieć z nimi Lempar, ale czuję, że to jest jakiś trop... — powiedziałam w zamyśleniu, czując jak z ekscytacji przyspiesza mi puls. — Niech no tylko Zaremba się dowie, co odkryliśmy tym razem.

— Nie tak szybko. — Adam natychmiast stłumił mój entuzjazm. — Jako aspirująca dziennikarka śledcza musisz pamiętać, że pozory często mylą. — Odpiął pas bezpieczeństwa. — Dalej pójdziemy pieszo — oznajmił.

Budowlę, pełniącą jeszcze na początku lat 90. funkcję dworca, zostawiliśmy w tyle. Ruszyliśmy w stronę przejścia, ukrytego pomiędzy pobliskimi kamienicami, mieszczącymi się po zachodniej stronie gmachu nieczynnej stacji PKP. Tą drogą przedostaliśmy się na dawne perony, a dalej na torowisko — miejsce, w którym tutejsza linia kolei rozpoczynała niegdyś swój bieg, a które obecnie zajmuje Targowisko „Świebodzki”.

Cóż, nie przypuszczałam, że na naszą pierwszą niby-randkę wybierzemy się w tak mało romantyczne miejsce. Potężny i opustoszały w środku tygodnia plac targowy, oddzielony od biegnących po obu stronach ulic szeregiem zabudowań, sprawiał dość przygnębiające wrażenie. Ze względu na aktualne wykorzystanie tego miejsca torowisko pokrywa całe mnóstwo haczyków wyłamanych z wieszaków na odzież, którą, obok mydła i powidła, można nabyć tutaj w korzystnej cenie w każdą niedzielę.

Kształt metalowych uchwytów przywiódł mi na myśl znaki zapytania, zupełnie jak gdybyśmy ze ścisłego centrum naraz trafili wprost na terytorium wyrachowanego Człowieka-Zagadki. Tak przynajmniej jawił mi się Paluch, recydywista, o którym opowiedział mi Adam.

— Ładnie wyglądasz. — Adam odezwał się nagle, posyłając mi jeden z tych uśmiechów, które przyprawiały mnie o zawrót głowy. — Ty tak do pracy, co? — Puścił mi oko.

— Nie... — szybko ugryzłam się w język — ...to znaczy tak. Chociaż w czasie zajęć noszę jeszcze okulary-zerówki. — Wyszczrzyłam się. — Wiesz, o co chodzi...? Większość moich uczniów jest ode mnie niewiele młodsza. Muszę dbać o autorytet. — Wybuchnęłam śmiechem.

— Grunt to dobra taktyka. — Adam zadziornie szturchnął mnie pięścią w bok.

Speszona wbiłam wzrok w ziemię.

Widok usłanego pytajnikami gruntu, miarowo przesuwającego się pod moimi stopami, na moment zanurzył mnie w hipnotycznym transie. W głowie zaczęły wirować mi rozmaite myśli, lecz wśród nich przeważały te o przestępczym półświatku Wrocławia, który — wbrew mojej woli — po raz kolejny szturmem wdarł się do mojego, jeszcze do niedawna, dość statycznego życia.

Ocknęłam się dopiero po dłuższej chwili, kiedy w okolicy biodra wyczułam delikatne vibracje, a zaraz potem dobiegł mnie wtórujący im dzwonek smartfona.

Zważywszy na okoliczności, w jakich aktualnie się nurzałam, nie był to dobry moment na rozmowę, dlatego zamierzałam powiedzieć Kudłaczowi, że oddzwonię do niego później.

— Ty! Marta! W telewizji gadają o twojej szkole!?

— powiedział zaaferowany Marek, gdy tylko odebrałam.

— Tak, to możliwe, ale teraz nie...

— Ale jaja! — Podeksycytowany wszedł mi w słowo.

— Przyszła kryska na matyska, no nie?

— Trudno zaprzeczyć... Słuchaj, jestem teraz trochę zaj...

— Czyli wychodzi na to, że ktoś nas wyręczył? — Kudłacz znów nie dał mi dokończyć.

— „Nas”, czyli kogo?

— No, mnie i Baškę. Przecież mówiliśmy...

— Daj spokój, to nie czas na dowcipy. Sytuacja jest poważna.

— Czyli już wiadomo, kto i dlaczego to zrobił, tak? Albo... czekaj... Oni jeszcze nie wiedzą, ale ty się wszystkiego domyślasz... — Zaniepokoił się.

— Nie do końca.

Nie chcąc wdawać się w dłuższą rozmowę ani na ten, ani na żaden inny temat, pospiesznie nakreśliłam Kudłaczowi swoje dotychczasowe ustalenia w kontrze do tego, jak całą sprawę postrzegala policja.

— No co ty, nie uwierzę, że gliny naprawdę sądzą, że takie chuchro jak ty mogłoby dać komukolwiek radę!

— parsknął Kudłacz.

— Dzięki, Marek.

— Oni serio myślą... — Kudłacz nie mógł się uspokoić — ...że mogłaś mieć z tym coś wspólnego?

— Rzekomo byłam ostatnią osobą, w towarzystwie której przebywał trener...

— Co?! — Naraz oprzytomniały Kudłacz wrzasnął mi do ucha. — To jakiś absurd!? Nie mogłaś być ostatnią osobą, skoro to nie ty go zabiłaś!

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że w świetle insynuacji policji nie mogłam wykluczyć, iż tamtego dnia morderca przemknął gdzieś tuż obok mnie. Wzdrygnęłam się, lecz jednocześnie nie mogłam sobie przypomnieć, czy wracając ze spotkania z trenerem przypadkiem nikogo nie mijałam w drodze z biblioteki do pokoju nauczycielskiego.

— Policja jest niestety innego zdania.

— No to co teraz zrobisz? Przecież musisz jakoś oczyścić się z podejrzeń!?

— Adam, Basia i ja pracujemy nad tym — ucięłam, rzuciwszy przelotne spojrzenie mojemu towarzyszowi.

Adam postukał palcem wskazującym w lewy nadgarstek, imitując stukanie w cyferblat zegarka. Ruchem ręki poprosiłam go o jeszcze chwilę cierpliwości. Przystanęłam z zamiarem uprzejmego, lecz zdecydowanego pożegnania się z Kudłaczem.

— Mogę wam jakoś pomóc? — zapytał Marek.

— Na razie chyba nie, ale dzięki, że pytasz. W razie czego dam ci znać.

— No jasne, jak coś, walcie do mnie jak w dym.

— Dzięki — powtórzyłam. — A teraz muszę...

— Macie już jakiś plan działania?

Przestąpiłam z nogi na nogę.

— Basia ma prześwietlić wicedyrektorę „UrbanClass”. Z kolei ja i Adam zamierzamy przyjrzeć się takiemu jednemu... Właśnie do niego idziemy, dlatego muszę kończyć.

— A, dobra, to nie przeszkadzam.

— No to nara.

— Czekaj! Ostatnie pytanko. Mam do ciebie sprawę...

Podniosłam błagalnie oczy ku niebu.

— Pytaj, byle szybko.

— Dzwoniła do mnie twoja sąsiadka.

— Kto...?

— Chce zamówić w „Kufierku” kilka roślin do domu.

— Aaa... — Przypomniałam sobie, że numer Kudłacza podałam rano Klaudii, nowej lokatorce willi.

— Masz może pomysł, co mogłoby się jej spodobać?

— Marek, to naprawdę nie może poczekać?! Zresztą... — Machnęłam ręką, uznając, że im szybciej załatwimy tę kwestię, tym prędzej będę mogła wrócić do przerwanej akcji. — Dlaczego nie zapytałeś o to samej zainteresowanej?

— Pytałem — chrapanął Kudłacz. — Powiedziała, że, cytuję: „Tego kwiatu jest pół świata”. — Wybuchnął śmiechem. — I że ona nie wie. Liczy na moją intuicję. Czaisz?! — Rozognił się. — Istnieje coś takiego jak „męska intuicja”? Słyszałem o kobiecej, ale o męskiej?

— No to może poradź się mamy? — zasugerowałam, zerkając na zegarek. — W końcu jest profesjonalistką.

— Poradziłbym się — odparł — gdyby nie to, że akurat jest na urlopie. Pojechała z psiapsiółką na dwa tygodnie do jakieś górskiej dziczy. Oczywiście na terenie całego ośrodka, jak na złość, nie ma zasięgu — stęknął.

— W każdym razie „Kuferek” jest oficjalnie zamknięty. Oficjalnie, bo muszę regularnie do niego zaglądać i podlewać kwiaty — nieco zniżył głos, a ja łypiąc na Adama stojącego w odległości kilku kroków ode mnie, teatralnym ruchem ręki złapałam się za głowę.

— Masakra, nie sądziłem, że to jest takie skomplikowane...? — Kudłacz trajkotał dalej. — Dobrze, że przed wyjazdem mama mnie uprzedziła, że w każdą doniczkę jest wetknięty kartonik z instrukcją obsługi danej rośliny. Gdyby nie to, codziennie podlewałbym je wszystkie wodą z kranu, jak leci. Nawet nie chcę myśleć, jak wyglądałyby po dwóch tygodniach takiego traktowania!

— Marek...! — nieco podniosłam głos, by przywołać go do porządku.

— A tak, mówiłaś, że się spieszysz. No to jak będzie?

— Przybrał szelmowski ton głosu. — Poradzisz mi coś?

— Marek, naprawdę chciałabym ci pomóc, ale ja też nie znam się na kwiatkach! — powiedziałam, na co Adam zaśmiał się pod nosem. — Z nazw rodzajowych znam tylko fikusa, marantę i dracenę, choć w sumie nie jestem przekonana, czy to na pewno te rośliny, o których myślę... — zawiesiłam głos. — Dasz sobie radę, wierzę w ciebie. Ja mam teraz inną robotę, kończę.

— No nic, w takim razie pójdę do „Kufereka” i wybiorę coś na chybił trafił. Oby moja selekcja przypasowała twojej koleżance. — Głośno zarzął mi do ucha.

Przewróciłam oczami i wrzuciłam telefon z powrotem do torebki.

Po kilku minutach marszu wzdłuż starych zabudowań, oddzielających tory od krzewiącej się wokół tkanki miasta, wreszcie dotarliśmy do siedziby „Best Monitoring”.

Centrala firmy mieściła się w wyniszczonej upływem czasu, murowanej składnicy kolejowej ze specyficzną zewnętrzną rampą przeładunkową. Wejście znajdowało się u szczytu kilku prowizorycznych stopni, połączonych z platformą magazynową. Choć fasada budynku nie należała do zachęcających, wewnątrz biura prezentowało się całkiem schludnie, nie licząc przenikającego go charakterystycznego, ciut zatęchłego zapaszku.

Fotel za biurkiem ustawionym naprzeciwko drzwi wejściowych zajmowała młoda brunetka odpowiedzialna za obsługę interesantów. Akurat rozmawiała z kimś przez telefon. Nie, nie w sprawach służbowych – właśnie składała zamówienie na catering obiadowy z dowozem.

Na rozpiętej za jej plecami ścianie wyeksponowano kilka certyfikatów potwierdzających najwyższą jakość usług świadczonych przez firmę. O, ironio! W końcu krótkiego korytarzyka na lewo od wejścia do budynku rysowała się przyciemniona sylwetka szklanych drzwi, a za nimi – firmowa stacja monitorowania alarmów. Kto by przypuszczał, że ten niepozorny magazyn był w rzeczywistości istnym centrum dowodzenia wszechświatem!? Piętrzące się aż po sufit monitory wizyjne raz po raz ukazywały kolejne ujęcia z kamer zainstalowanych najpewniej w nieruchomościach klientów.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała recepcjonistka, gdy skończyła rozmawiać przez telefon.

– Dzień dobry. – Przywitałam się jako pierwsza. – My do pana Kwie...

– Państwo są z policji? – Nim zdążyłam wymienić nazwisko serwisanta, dziewczyna omiotła nas przytomnym spojrzeniem.

– Policja? Tutaj? – Udałam zdziwienie. – To wasza firma jest dla nas trochę jak policja. – Zamrugalam niewinnie. – Dlatego tu jesteśmy. Czujemy, że tylko wy możecie nam pomóc.

– Tak się składa... – odezwał się Adam – ...że dostaliśmy w spadku dom na obrzeżach miasta. – Objął mnie ramieniem.

A niech mnie! Mogłam wykorzystać okazję i – oczywiście dla dobra sprawy – zrewanżować mu się tym samym. Nie wiadomo, kiedy mogła

nadarzyć się kolejna okazja, by znów zatopić się w jego uścisku! Ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam wykonać nawet najdrobniejszego ruchu.

— Planujemy drobny remont...

Gdy jego dłoń musnęła mój obojczyk, wszystko zaczęło we mnie cudownie mięknąć.

— Niestety, w trakcie prac... — ciągnął — ...nie będzie nas na miejscu i, szczerze mówiąc, trochę obawiamy się włamywaczy. Tyle się teraz o tym słyszy... — Delikatnie przygarnął mnie do siebie, a opierając moje plecy o swój tors, oplótł barkiem moją szyję.

Zrobiło mi się gorąco. Oszalającym zapach cedru na moment oderwał mnie od rzeczywistości. Zupełnie, jakbym raptem znalazła się w innym wymiarze, a moje ciało zaczęło dryfować w błogim niebycie.

Lecz nagle kątem oka spostrzegłam ruch w okolicy przeszklonych drzwi na końcu korytarzyka po lewej. Mimochodem zerknęłam w tamtą stronę i... zniewalający urok chwili przysł.

Widok łysego tłuściocha w skurczonym podkoszulku, który stał teraz w uchylonych drzwiach, gwałtownie mnie ocucił. Wprawdzie nie widziałam jego twarzy, bo był odwrócony tyłem. Chyba rozmawiał z kimś, kto siedział w głębi pomieszczenia, i kogo również nie mogłam dostrzec z tej perspektywy. Ale to nie towarzystwo tej dwójki wzbudziło moje zainteresowanie. Raptem zorientowałam się, że sieć monitorów, których widok wyłaniał się wcześniej zza przyciemnionej szyby, to po prostu trójwymiarowy obraz zajmujący jedną ze ścian, i emitowany przypuszczalnie przez projektor multimedialny.

Szturchnęłam Adama, żeby i on spojrzał w tamtym kierunku. Niestety, nie zareagował. A przynajmniej nie w sposób, w jaki miał to zrobić.

— Państwa serwisant... — mówił dalej, obejmując mnie jeszcze ściślej — ...na czas remontu doradził nam montaż monitoringu z usługą całodobowego nadzoru oraz z dojazdem grupy interwencyjnej w razie potrzeby.

Tymczasem spaślak odwrócił się w naszą stronę, lecz kiedy spostrzegł przy recepcji parę intruzów w osobie Adama oraz mojej, natychmiast zawrócił.

— Chcielibyśmy poprosić o wycenę, ale najpierw ktoś z firmy musiałby obejrzeć dom — tłumaczył recepcjonistce Adam. — Byliśmy umówieni na kontakt z jednym z państwa pracowników, niestety jego wizytówka gdzieś się nam zawieruszyła...

— Jak nazwisko? — zapytała dziewczyna, sięgając dłonią do tacki, na której wyeksponowano wizytówki pracowników firmy.

— Kwiecicki — odpowiedziałam, oderwawszy wzrok od migającego za szklanymi drzwiami obrazu.

Recepcjonistka przejrzała bileciki, jednak nie znalazłszy pośród nich tego właściwego, znów pochyliła się nad laptopem.

— Moment... — rzuciła nam przelotnie.

Kilka razy zastukała długimi paznokciami w klawiaturę i zaklikała komputerową myszą.

— Aha, Warszawa... — mruknęła w końcu — ...to będzie jeden z tych nowych... — mówiła do samej siebie.

Wraz z obrotowym fotelem na kółkach przesunęła się w stronę szafki usytuowanej tuż za nią i zanurkowała ręką w otwartej przesyłce kurierskiej stojącej na blacie.

— Jeszcze nie zdążyłam tego rozpakować — tłumaczyła.

Po chwili przeszukiwania paczki wydobyła z niej zafoliowany plik kartoników. Zerwała plastik i wysunęła jedną z wizytówek. Pomieszczenie wypełnił zapach świeżego papieru oraz farby drukarskiej.

Raptem odzyskawszy władzę w ciele, machinalnie sięgnęłam po tkwiący w wyciągniętej dłoni bilecik.

Rozdział 10

— Ty też to słyszałeś? — wyszeptalam do Adama, gdy tylko oddaliliśmy się kilkunaście kroków od wyjścia z „Best Monitoring”. — Czy recepcjonistka nie powiedziała przypadkiem, że gość jest z Warszawy?

— Bąknęła coś w tym stylu...

— Rozumiesz, co to znaczy?! — krzyczałam niemal bezgłośnie.

By wyrazić swój sceptycyzm, dziennikarz lekko wykrzywił usta, a dłoń wsunął do kieszeni spodni.

— Żartujesz?! — Zmarszczyłam czoło. — Wpadliśmy na trop mordercy Lempara, to pewne! — wypaliłam. — Facet przyjechał tu z Warszawy, zgadza się? Tak samo jak trener mojej szkolnej kadry! Czyli mogli znać się już wcześniej, nie sądzisz? Do tego sam powiedziałeś, że ta firma może mieć powiązania ze zorganizowaną grupą przestępczą! — zaczęłam wyliczać. — A widziałeś wewnątrz tego pomieszczenia za szybą...?

— Chodzi ci o monitory wizyjne?

— Jakie znowu monitory!? Czyli nie widziałeś. To atrapa! Obraz wyświetlony na ścianie z projektora!

— Serio? Z daleka i zza przyciemnionej szyby wyglądało to bardzo realistycznie. Choć w sumie od początku się dziwiłem, że trzymają tyle kosztownego sprzętu w takim miejscu...

— Mielicie co do nich nosa — oceniłam. — Jedna wizyta w ich „siedzibie” i od razu widać, że to jakaś lipa!

Po chwili zastanowienia zapytałam:

— Myślisz, że to od nich Kwiecicki dostał zlecenie na Lempara? — Zmrużyłam powieki. — Nie, w to nie wierzę. Równie dobrze to wszystko może być czystym przypadkiem... Skoro facet pofatygował się do Wrocławia aż z Warszawy, pewnie załatwił własne porachunki... — myślałam na głos.

— Wyszujesz całkiem ciekawe hipotezy. — Adam uśmiechnął się pod nosem i nonszalancko kopnął jeden z haczyków leżących na ziemi.

— Trzeba facetowi przyznać... — niewzruszona pytlowałam dalej — ...nieźle sobie to wszystko wykombinował. Aby zapewnić sobie niezawodną przepustkę na teren szkoły, wcielił się w rolę serwisanta sprzętu wizyjnego. Idealna przykrywka! Dzięki temu nie tylko zdobył pretekst, żeby wejść do „UrbanClass”, ale jako rzekomy pracownik firmy ochroniarskiej wzbudził pełne zaufanie portierki, która przepuściła go bez zająknięcia. — Gestykulowałam żywiłowo, raz po raz zerkając na Adama. — A kiedy było już po wszystkim, jak gdyby nigdy nic ulotnił się z miejsca zbrodni, bo kto by przypuszczał, że ten niepozorny facecik jest w rzeczywistości kimś zupełnie innym niż specjalistą, za którego się podaje! To się nazywa zbrodnia doskonała!

— To trochę daleko idące wnioski, nie uważasz? — Adam na próżno próbował ostudzić mój zapał.

— Jak policja mogła się tym wszystkim nie zainteresować?! — Nie odpuszczałam. — Znowu musimy odwalić całą robotę za nich! — Rzuciłam Adamowi poirytowane spojrzenie, na co on nieznacznie podniósł brwi. — Tak samo było z MEK-iem i „Kormoranem”. — Uściśliłam, gwoli przypomnienia. — W końcu to dzięki nam przymknęli dilerów?

— Trochę im pomogliśmy, to fakt. — Dziennikarz mruknął skromnie.

— Będziemy musieli dokładnie prześwietlić tego... — spojrzałam na wizytówkę, którą dała nam recepcjonistka — ...inżyniera Józefa Kwiecickiego. — Bilecik wsunęłam do swojego notatnika śledczego.

Jeszcze nie wiedziałam, w jaki sposób należałoby się za takie przedsięwzięcie zabrać, ale liczyłam na to, że pozostali dziennikarze wkrótce zdradzą mi te najbardziej przydatne triki detektywistyczne.

Tymczasem, kierując się w stronę tunelu, którym wcześniej przedostaliśmy się na rozciągający się za nim plac, znów dotarliśmy do nieczynnych peronów. Przytłumione dźwięki muzyki, dobiegające z budynku zabytkowego dworca, z każdym krokiem stawały się coraz wyraźniejsze, podobnie jak odgłosy zaaranżowanej w tym miejscu gwarnej hali restauracyjnej.

— Pomyślmy... — powiedział Adam. — Za to teraz... Co powiesz na szybki lunch? — Zachęcająco kiwnął głową w stronę knajp ulokowanych nieopodal.

Zatrzymałam wzrok na otwartych na oścież drzwiach byłej restauracji dworcowej i rozstawionych przed nią stolikach, przy których posilali się goście.

Do wielu rzeczy trzeba mnie było długo namawiać, ale do jedzenia — nigdy.

Wnętrze historycznego gmachu kolejowego bardzo się zmieniło, odkąd byłam tu ostatni raz. Teraz mieściła się w nim popularna komitywa gastronomiczna serwująca potrawy z najróżniejszych zakątków globu. Ściany hali, udekorowane oryginalnymi gzymsami i łukami, aktualnie dopełniał kolor butelkowej zieleni. Część knajpianych stoisk sytuowała się we wnękach pomiędzy potężnymi wewnętrznymi filarami, wspierającymi wysokie sklepienie, a ich bufety pokrywała czarna blacha falista. Lady wieńczyło miodowe drewno, podobne do tego, z którego wykonano blaty wysokich stołów barowych. Całości dopełniał subtelny akcent florystyczny. Z góry sączyło się nienachalne światło reflektorów zamontowanych na metalowych stelażach w połowie wysokości hali.

Zamówiliśmy dania kuchni orientalnej i z jedzeniem wyszliśmy na zewnątrz. Pogoda późn sierpniego popołudnia rozpieszczała i była idealną oprawą wspólnego posiłku. Zajęliśmy miejsca przy ostatnim z wolnych stolików.

Z przyzwyczajenia sięgnęłam po telefon, chcąc położyć go na blacie przed sobą. Na wyświetlaczu spostrzegłam nową wiadomość SMS. Odczytałam ją przelotnym spojrzeniem i w odpowiedzi wcisnęłam kciuka w górę, po czym odsunęłam smartfon na bok.

— Twoja koncepcja względem udziału Kwiecickiego w sprawie... — wznowił Adam — ...jest całkiem interesująca. Powiedziałbym nawet, że nosi pewne znamiona prawdopodobieństwa. Niestety posiada jeden zasadniczy mankament.

— Niby jaki? — zapytałam nieco urażona, wkładając do ust porcję chińskiego makaronu z warzywami.

— Myślisz, że zabójca dałby się wpisać do rejestru wizyt, który jasno wskazuje na to, że był na terenie szkoły dokładnie w czasie, kiedy dokonano zbrodni? — zapytał.

Dziewczyny siedzące przy sąsiednim stoliku obrzuciły nas ciekawskimi spojrzeniami.

— Podobno każdy przestępca, prędzej czy później, popełnia jakiś błąd. — Nie pozostałam mu dłużna, ścisząc nieco głos. — Poza tym, może to jest zamierzony element jego wyrafinowanej gry? Zresztą, sam fakt jego wizyty w szkole to jedynie kiepska poszlaka. Jeszcze wczoraj mi mówiłeś, że to za mało, żeby kogoś przytknąć... A jak możemy się domyślać, policja na razie też nie dysponuje żadnymi dowodami świadczącymi jednoznacznie przeciwko Kwiecickiemu. Gdyby było inaczej, zamiast tracić czas na mnie, Zaremba już dawno dobrałaby się do skóry właśnie jemu!

Grupka podsłuchujących nas dziewczyn zaczęła ostentacyjnie świdrować mnie wzrokiem. Poirytowana, łypnęłam w ich stronę, a one po cichu wymieniły między sobą kilka uwag. Padła nazwa „UrbanClass”.

A niech mnie!?

— Nie jestem przekonany — powiedział dziennikarz. — Na razie jeszcze nic nie wskazuje na winę Kwiecickiego. Ale za to może facet wie coś w sprawie obecnej działalności „Best Monitoring”? Tak czy inaczej nie zaszkodzi go sprawdzić. Kto wie, świadomie lub nie, a nuż powie nam coś ciekawego? — Adam puścił do mnie oko i zabrał się za konsumowanie swojej porcji.

Prychnęłam, choć jednocześnie nie potrafiłam poskromić dobrego humoru, w który naraz wprawiła mnie jego zuchwałość.

— Poczekaj, jeszcze przyznasz mi rację — rzuciłam do niego figlarnie. — Do kwestii MEK-a i „Kormorana” z początku też odnosiłeś się sceptycznie.

Adam posłał mi zadziorny uśmiech, lecz po chwili spoważniał.

— W nocy trochę poszperałem na temat Lempara.

— Zmienił temat, ponownie zniżając głos do szeptu.

— Po jego aktywności w internecie, i zdjęciach, które zamieszczał w mediach społecznościowych, wnoszę, że był z niego typowy casanova. Wygląda na to, że i podczas wizyty we Wrocławiu miał nadzieję na jakąś niezobowiązującą przygodę... — Rzucił mi jednoznaczne spojrzenie.

— Źle trafił — fuknęłam. — Coś jeszcze rzuciło ci się w oczy?

Adam pokręcił głową.

Gdy po skończonym posiłku wróciliśmy do samochodu, Adam zaproponował, że odwiezie mnie na Kampinoską. Poza tym w redakcji podobno i tak czekała na niego jakaś robota.

Wyjechaliśmy z parkingu, skręciliśmy w Tęczową i minawszy dzielnicę Grabiszyn, po niespełna dziesięciu minutach dotarliśmy na stary Borek.

Przez całą drogę Adam raz po raz posyłał mi kokieteryjne spojrzenia. Bombardowana tymi milczącymi zalotami zamierzałam zaprosić go do siebie na poddasze, gdzie w sprzyjających okolicznościach moglibyśmy kontynuować omawianie naszego śledztwa. Choć w gruncie rzeczy moglibyśmy na moment o wszystkim zapomnieć i po prostu się całować! Nie wiadomo, czy i kiedy mogłaby się nadarzyć kolejna ku temu okazja.

Jednak kiedy zatrzymaliśmy się pod willą na Kampinoskiej, w końcu ulicy spostrzegłam znajomą postać. Tęga dziewczyna stała w miejscu z rękoma wspartymi na biodrach i błędziła wzrokiem po okolicznych budynkach.

— Agnieszka...!?! — krzyknęłam w jej stronę, wysiadając z auta.

— O!?! Cześć Marta! — Szeroko uśmiechnięta Aga ruszyła w moim kierunku. — Byłam niedaleko i uznałam, że nie zaszkodzi odwiedzić kumpeli z pracy w jej nowym mieszkaniu. Ale fuks! Już myślałam, że na darmo nadrobiłam drogi — powiedziała z ulgą, po czym się nachyliła i cmoknęła mnie w policzek. — Ładnie wyglądasz — szepnęła. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? — Spojrzała znacząco na Adama.

— Nie, skąd... — skłamałam przez grzeczność, odgarniając z czoła grzywkę.

— Świetnie. — Agnieszka się wyprostowała.

Lustrując dziennikarza ciekawskim okiem, zapytała:

— A czy twój tajemniczy znajomy to...?

— Adam — przedstawił się, potwierdzając jej przypuszczenia.

— Aga, miło mi. — Podała mu rękę. — Czy ty przypadkiem nie jesteś dziennikarzem śledczym?

— Aspirującym.

— Marta dużo mi o tobie opowiadała. — Posłała mi porozumiewawcze spojrzenie i szturchnęła w ramię.

— Mam nadzieję, że mówiła tylko te dobre rzeczy. — Adam mrugnął do mnie.

— Poza tym, że początkowo podejrzewałam cię o kleptomanię... — wyszczerzyłam się — ...opowiadałam o tobie znajomym w samych superlatywach — potwierdziłam, po czym zwróciłam się znów do Agnieszki: — To co? Dasz się zaprosić na górę?

— Pewka, przecież po to tu jestem!

Adam pożegnał się z nami na pierwszym piętrze przy drzwiach redakcji.

Rzuciwszy torebkę na blat komódki w przedsiionku kawalerki, weszłam do pokoju. Włączyłam stary wentylator i otworzyłam na oścież drzwi balkonowe, by rozgonić wiszący w powietrzu zaduch.

— Napijesz się czegoś? — zapytałam, wskazując Agnieszce miejsce na sofie.

— Chętnie — potwierdziła. — Może być woda z cytryną, jeśli masz. To jeden z niewielu owoców, które są dozwolone na mojej obecnej diecie.

— Akurat cytryn ci u mnie dostatek.

Na stoliku kawowym postawiłam napełniony dzbanek wraz z dwiema szklankami, do których rozlałam wodę. Usiadłam na krześle obrotowym i razem z nim zbliżyłam się do kompletu wypoczynkowego i w stronę Agnieszki.

— Słyszałam, że policja też już u ciebie była — zaczęła Aga.

Potwierdziłam ruchem głowy.

Agnieszka, rozejrzawszy się przelotnie po pokoju, wnętrzem dłoni pogładziła aksamitną tapicerkę kanapy.

— Ciebie też podejrzewają? — zapytała niby mimochodem.

— Masz na myśli policję? Taa, zdaje się nawet, że aktualnie plasuję się na szczycie ich topki — sarknęłam.

— No to witaj w klubie. — Agnieszka nieznacznie uniosła jedną ze szklanek jak do toastu. — A ty jaki miałaś motyw? — Założyła nogę na nogę. — Bo mnie obciąża fakt, że Piotr początkowo wpadł mi w oko... Policja nie przyjmuje moich tłumaczeń, że to nic, bo właśnie w piątek zesłam się ze swoim eks i że to mi pomogło wybić sobie z głowy trenera. To było jeszcze rano, a przecież facet wyciągnął kopyta dopiero po południu! — Napila się wody. — A oni mi mówią, że to podejrzane...! Wpierają mi, że tak szybko nie można się odkochać! Wyobrażasz sobie!? Policja matrymonialna, kurde bele...! Jeśli tak wygląda u nich typowanie morderców, to nie chcę wiedzieć, jakie przewinienia mają na swoim koncie więźniowie, których te asy doprowadzają do aresztu! — Zniosła się krótkim, ironicznym śmiechem, lecz szybko wróciła do meritum. — Tylko mi nie mów, że do ciebie przyczepili się z powodu piątkowego spotkania z coachem, a konkretnie tego, co ci wtedy zainsynuował.

— Czyli o tym, że Lempar chciał mnie zaszantażować, wie już cała szkoła?

— Cała...? — Aga spojrzała w sufit.

— A właściwie kto tobie powiedział?

— No... nikt... — Agnieszka na moment zawiesiła głos. — Niechący podsłuchałam, jak mówiłaś o tym Krzyškowi... — Spuściła wzrok.

Zmierzyłam ją zdumionym spojrzeniem, na co ta spasowała na twarzy i dekolcie.

— Przepraszam... — Po chwili znów podniosła na mnie oczy. — Wiem, że głupio zrobiłam, ale byłam strasznie ciekawa, o czym trener chciał z tobą rozmawiać. Bałam się, że to mogło mieć jakiś związek ze mną...

— Z tobą?! — wykrzyknęłam.

Nie rozumiałam, dlaczego Agnieszce mogła przyjść do głowy podobna myśl?!

— No to dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć, o czym gadaliście? — Odbiła piłeczkę. — Dlatego po tym, jak wyszłam z pokoju nauczycielskiego, na moment zatrzymałam się przy niedomkniętych drzwiach — wyznała bez najmniejszej żenady.

Komisarz Justyna Zaremba dobrze kombinowała. Byłam pełna uznania wobec jej trafnej hipotezy w kwestii wścibstwa mojej koleżanki, które policjantka zainsynuowała mi podczas wczorajszego przesłuchania.

— Fiu... — gwizdnęłam. — No dobra, a gliny skąd o tym wiedzą?

— No... — Agnieszka niespokojnie się poruszyła — ...sama im to powiedziałam.

A nie, Zaremba jednak nie jest aż tak błyskotliwa.

— Nigdy wcześniej nie byłam przesłuchiwana przez policję. — Agnieszka wbiła we mnie zatroskany wzrok. — Ba, w życiu nie dostałam żadnego pouczenia, nie mówiąc nawet o mandacie! Pierwszy raz miałam do czynienia z mundurowymi! Dlatego z góry byłam na przegranej pozycji. No a oni wyciągnęli ze mnie, co tylko chcieli!

— Faktycznie — przyznałam. — Ale ta szczerść może zadziałać na twoją niekorzyść. — Posłałam jej krytyczne spojrzenie. — Co nie zmienia faktu, że to niedorzeczne, żeby ci imputowano, że to ty jesteś morderczynią!? — Oceeniłam. — Szczególnie że to mnie próbował szantażować coach...

— Dziękuję, że tak mówisz — powiedziała Agnieszka i nachyliwszy się do mnie ponad blatem dzielącego nas stolika, chwyciła mój nadgarstek, tak jakby to ode mnie zależało, czy śledczy ostatecznie postawią jej zarzuty.

Nieco skrępowana, delikatnie poruszyłam ręką, by dać jej do zrozumienia, że ten gest sprawił mnie w zakłopotanie. Agnieszka cofnęła dłoń i nerwowym ruchem chwyciła szklanekę, z której ponownie się napiła.

Po chwili kłopotliwej ciszy, nieznacznie zatuszowanej natrętnym buczeniem wentylatora, Agnieszka podniosła się z kanapy i powolnym krokiem zaczęła krążyć po pokoju, oglądając z udawanym zainteresowaniem umeblowanie i dekoracje.

— Dobrze ci się tutaj mieszka? — zapytała kurtuazyjnie.

— Póki co nie narzekam.

— Zazdroszczę ci. Też bym chciała mieszkać sama. Współlokatorzy mają swoje zalety, ale nie ma to jak odrobina prywatności.

Zatrzymała się przy zdjęciach wiszących na ścianie nad biurkiem, zupełnie tak, jak zrobiła to poprzedniego dnia komisarz Zaremba.

— O!? To przecież z naszego szkolnego wyjazdu!? — Wskazała palcem jedną z fotografii i nachyliła się, by się jej przyjrzeć. — Dobrze, że przygarnęłyście mnie wtedy z... czekaj, jak się nazywała nasza poprzednia bibliotekarka...? Nie, nie mów! Ja wiem! Matyllda...?

— Tak, Matyllda — potwierdziłam.

— Właśnie. Matko, nie wytrzymałabym w jednym pokoju z tą od hiszpańskiego. Jak można wylewać na siebie tyle perfum? Do dziś pamiętam, jak mnie mdliło. — Wzdrygnęła się i przeszła do przedpokoju. — To któryś z tych obrazów zginął ci przy przeprowadzce? — Wskazała na parę płócien wiszących nad komódką.

— Tak, ten większy. — Skrzyżowałam ręce na piersiach.

— Ty to masz szczęście. Gdyby coś takiego przytrafiło się mnie, nie byłoby szans, żebym go odzyskała. Fatum to moje drugie imię — sapnęła i skwaszona uniosła kącik ust. — Jeśli coś może pójść, to na pewno pójdzie źle.

— Prawo Murphy'ego.

— Może? Dlatego już się pożegnam, zanim ten facet zepsuje wszystkie środki lokomocji, którymi mogę dostać się z powrotem na Gaj — roześmiała się. — Dobrze, że mój stary-nowy chłopak potrafi to i owo naprawić. Gdyby nie on, marny byłby mój los...

Po jej wyjściu sporządziłam w bloczku śledczym lakoniczną notatkę. Gdy sprzątałam szkło ze stolika, odezwał się mój telefon. Kliknęłam ikonkę Messengera, na którym pojawiła się nowa wiadomość. Pisał Arek, jeden z moich uczniów, z którym po skończonym kursie przeszliśmy niedawno na ty.

„Ale przypał z tym konsultantem” — zaczął. „A miałem się zapisać na kolejny semestr...”. — Tu wkleił prześmiewczą buźkę. „Ale jak gliny zamkną tego psychola, który go sprzątnął, to może starzy mnie puszczać. Wiadomo coś więcej?”

„Hej Arek, niestety na razie nie wiem nic ponadto, co podają media”.

„Nie chcę nic mówić, ale raz widziałem, jak z tym typiarzem kłóciła się pani Wysocka”.

„Jak to? Jesteś pewien, że się kłócili?”

„Raczej! Wice trzymała go za rękaw marynarki i coś do niego sapała, a on próbował ją zbyć. To wyglądało trochę tak, jakby koleś chciał wymiksować się z jakichś wcześniejszych ustaleń. Ale nie wiem, o co im chodziło. Szybko mnie zauważyli, no to się zawinęli”.

Wysocka...? Kłóciła się z Lemparem? To mogłoby oznaczać, że ta heca z ocenami pracy wcale nie była wymysłem coacha... Nie... To jakiś absurd. Po co wicedyrektorka miałaby zlecać mu coś takiego?

Pełna sceptycyzmu schowałam telefon do kieszeni. Myśl o tym, że dwa pietra niżej, w redakcji, czekał na mnie Adam, nie pozwoliła mi zaprzątać sobie głowy tak wątpliwymi hipotezami.

Ogarnięta dziwnym drżeniem ciała, które pomimo upału nieprzerwanie towarzyszyło mi już od kilku godzin, zeszałam po schodach na pierwszą kondygnację budynku. Stałam przed drzwiami biura, poprawiłam włosy i chwyciłam za klamkę.

Adam wychylił się przez futrynę kuchennych drzwi, zupełnie jakby się mnie spodziewał.

— Agnieszka już poszła? — zapytał.

— Taa. — Zamlaskalam i ruszyłam w jego stronę zadowolona, że wreszcie będziemy mieć chwilę sam na sam.

Niestety dziennikarz miał już towarzystwo. Za stołem w głębi siedział redaktor Walczewski i pił popołudniowe espresso, którego aromat poczułam już w wejściu. Szef przeglądał archiwalne roczniki jakiegoś czasopisma kryminalnego. Adam stał przy dystrybutorze wody, opierając

się o niego ramieniem. W drugiej ręce trzymał w połowie napełnioną szklanke.

— Napijesz się? — Kiwnął głową w stronę urzędnika.

— Dzięki. — Zaprzeczyłam ruchem głowy.

Walczewski, lustrując mnie badawczym spojrzeniem, wskazał miejsce przy stole.

Posłusznie usiadłam.

— Morderstwo w „UrbanClass”? — zapytał, podsuwając okulary w kierunku brwi. — Co to za historia? Podobno wizytę w tej sprawie złożyła ci wczoraj dochodzeniówka?

Rozdział 11

Uderzyła mnie fala gorąca, której bynajmniej nie wywołał upał sierpniowego popołudnia. Wieści o moich kłopotach zdawały się rozprzestrzeniać szybciej niż plotki o tym, jakoby we Wrocławiu wreszcie miało powstać metro.

— Owszem, była. — Mimowolnie rzuciłam Adamowi zaniepokojone spojrzenie. — I to nie byle kto, bo pofatygowała się do mnie sama komisarz Justyna Zaremba! Już miała zwinąć mnie na dołek, ale ostatecznie postanowiła dać mi szansę oczyszczenia się z zarzutów. Choć, być może, nie do końca taka była jej intencja...? Powiedziała, że gdy tylko zgromadzi kilka formalnych dowodów działających na moją niekorzyść, wkrótce po mnie wróci — wyznałam szczerze, jednak wyraz twarzy redaktora sugerował, że ten wziął moje słowa za zwykły dowcip.

— Spokojnie. — Mrugnął do mnie Walczewski. — Domyślam się, że to nie ty pozbyłaś się audytora. I jestem pewien, że komisarz Zaremba też doskonale o tym wie.

Zmrużyłam jedno oko i pokiwałam głową na boki.

— Tak czy siak poszłam dziś do szkoły... — Palcem wskazującym przeciągnęłam po szyi.

— ...I nie tylko do szkoły — podchwycił Adam. — Marta ustaliła, że w sprawę może być zamieszany nie kto inny, jak serwisant „Best Monitoring” — poinformował redaktora, ponownie napełniając szklankę wodą.

— O, proszę!

Wyraźnie zainteresowany Walczewski zamknął czasopismo i odsunął je na bok. Wsparł się łokciami o blat stołu i nieznacznie nachylił.

— Dlatego wspólnie złożyliśmy im spontaniczną wizytę — ciągnął Adam. — Wiesz, że w starych magazynach kolejowych przy Świebodzkim

urządzili sobie całkiem przyzwoitą siedzibę? Mają tam nawet sfingowaną stację monitorowania alarmów!

Naczelnny zaniósł się śmiechem.

— Tak, widziałem — przyznał. — Swoją drogą, przydałoby się jakoś sprytnie to udokumentować... — Zmrużył powieki. — A co z tym technikiem, który był w „UrbanClass” w dniu popełnienia zbrodni?

— Józef Kwiecicki. Przebywał w szkole nie tylko w dniu, ale i w czasie zdarzenia — doprecyzowałam. — Niestety, dzisiaj nie zastaliśmy go w firmie. Ale i tak zamierzamy dokładnie go prześwietlić. Co ciekawe, facet zatrudnił się w „Best Monitoring” całkiem niedawno, a według słów recepcjonistki, do Wrocławia przyjechał z Warszawy, podobnie jak nasz nieboszczyk. W świetle potencjalnych powiązań z Paluchem...

— ...nie zaszkodzi mu się przyjrzeć — dokończył Grzegorz. — Jaki macie na to plan?

— Spróbujemy się z nim umówić, mamy na niego namiary — powiedział Adam i zajął ostatnie wolne miejsce przy stole. — Dostaliśmy w spadku dom na przedmieściach. — Szczercząc zęby, zawadiacko szturchnął mnie w bok. — Chcemy zamontować w nim kamery, wiesz o co chodzi. — Szelmowsko kiwnął głową w stronę Walczewskiego.

— Masz na myśli jakieś konkretne przedmieścia? — redaktor zapytał w żartobliwym tonie.

— Myślę o takiej wsi, zaraz za południowo-zachodnią granicą miasta. Wilkszyn. „Best Monitoring” jeszcze go nie opanował, a powstaje tam sporo nowych domów. Są też oczywiście stare zabudowania, więc miejsce jest dla nas jak znalazł.

— Mogą się połączyć... — przyznał Grzegorz. — Swoją drogą, słyszałem, że zaczął nieruchomości nabywać w Wilkszynie niedawno nasz komendant wojewódzki...

— A ty skąd masz takie informacje? — Zdumiał się Adam.

— Ma się znajomych, to tu, to tam. — Redaktor uciął dyplomatycznie. — No to pięknie. — Raz jeszcze spojrzął to na mnie, to na Adama. — Plan jest. Dajcie znać, jak będziecie mieć jakiś konkret. Albo jakbyście potrzebowali mojej pomocy.

Walczewski wrócił do lektury czasopism, których studiowanie przerwało mu moje przyjsście. Tymczasem Adam zaproponował, że pokaże mi redakcyjny pokój kreatywnej pracy.

Z zaproszenia dziennikarza skorzystałam nader ochoczo. Wyszliśmy do przedpokoju, z którego skręciliśmy do pierwszego z pomieszczeń po prawej. Podzielone na kilka funkcjonalnych stref wnętrze prezentowało się imponująco. Najbliżej wejścia lokowały się stanowiska indywidualne, a dalej — komplet reprograficznego sprzętu biurowego. Urządzenia emitowały charakterystyczny, wątlý szum, a powietrze przenikał dobiegający zapach papieru z recyklingu. Ścianę wzdłuż zajmował rząd regałów na dokumenty i wszelkie publikacje specjalistyczne. Adam sięgnął po jedną z ustawionych na półce teczek, a z biurka przy drzwiach zgarnął notebooka.

W środkowej części pomieszczenia wytyczono przestrzeń pracy wspólnej. Znajdował się w niej duży stół z dostępem do gniazd sieciowych i wygodnymi fotelami wokół. Na ścianie u szczytu mebla wisiała tablica interaktywna do gromadzenia, grupowania i opracowywania materiałów śledczych. Była uruchomiona, zupełnie jakby jeszcze chwilę wcześniej ktoś przy niej pracował, lecz z jakiegoś powodu oderwał się od swojego zajęcia, pozostawiając na blacie stos skoroszytów i odręcznych notatek.

— To akta „Uzdrowiska”, jednego z bieżących śledztw redakcji — powiedział Adam, zupełnie jakby czytał mi w myślach.

Zrobiłam skonsternowaną minę.

— Grzegorz pracuje nad tą sprawą już dobrych kilka lat. Przy wylocie z Wrocławia stoi taki hotel — wyjaśnił. — Średniej wielkości, na pierwszy rzut oka całkiem przyzwoity. Ale to tylko pozory. Jest to, de facto, meta okolicznych gangusów. I nie tylko. Oprócz tego, że to najprawdopodobniej pralnia brudnych pieniędzy, na neutralnym gruncie spotykają się tam osoby z bardzo różnych, często wrogich sobie środowisk. Wiesz, co mam na myśli?

— Mafia...?

Przeszył mnie dreszcz, lecz gdy po chwili zatrzymałam wzrok na przytulnym kąciku wypoczynkowym, zaaranżowanym w głębi, poczułam,

że tu jesteśmy bezpieczni. Kojące promienie popołudniowego słońca muskały listki roślin skupionych przy oknie. Po ich rąbkach ześlizgiwały się na sofę — gustowną, pikowaną i pokrytą aksamitną tapicerką w głębokim granacie. Po blacie stolika kawowego przebiegały eteryczne cienie, padające z drzew w ogrodzie. Wokół leżały puszyste poduchy podłogowe. Tuż nad parkietem kołysał się materiałowy sak z miękkim siedziskiem u dołu — gniazdko w sam raz na popołudniową sjestę.

— Kanapa? — zapytał Adam i kiwnął głową w stronę mebla pod oknem.

Ciut onieśmielona zajęłam wskazane miejsce.

— Tu będzie nam wygodnie. — Adam usiadł tuż obok mnie, po turecku.

Jedno z kolan oparł na moim udzie.

— Co będziemy... robić? — zapytałam nieco drżącym głosem, a moje policzki zaczęły nabierać kolorów rozkwitającej piwonii.

— Zabawimy się... — dziennikarz rozchylił usta w niepokornym uśmiechu — ...w detektywów. — Na czoło opadł mu kosmyk włosów.

Przygryzł dolną wargę i otworzył laptopa.

— W detektywów?

— Spokojnie, wszystkiego cię nauczę. A przynajmniej tego, co sam już umiem.

Gdzieś w pobliżu zabrzmiało przytłumione parsknięcie. Oboje rozejrzeliśmy się po biurze, jednak żadne z nas nie zidentyfikowało źródła tego odgłosu.

Adam zwrócił ekran notebooka w moją stronę. Wyświetlił Facebooka, a w oknie wyszukiwania wpisał imię i nazwisko serwisanta, którego wizytówkę pozyskaliśmy tego popołudnia w siedzibie „Best Monitoring”.

— Niektórzy nazywają to stalkingiem... — kontynuował — ...ale my wiemy, że to utajony wywiad środowiskowy — skomentował żartobliwie. — Zwykle od niego zaczynamy przeświadczenie podejrzanego. Dlatego najpierw przejrzymy konta społecznościowe Kwiecickiego. O ile facet w ogóle figuruje w sieci...

Nieopodal rozległo się donośne chrapanie. Zamrugałam zdezorientowana. Adam wbił wzrok w zwieszony pod sufitem sak. Po chwili z kokonu dobiegł jakiś pomruk. Wpierw pomyślałam, że ktoś uciał w nim sobie drzemkę, ale zaraz się zorientowałam, że to była zwyczajna manifestacja irytacji, gdy z połów tkaniny wychyliła się rozdrażniona twarz Anki, naszej redakcyjnej koleżanki.

— Nie wiecie, że to miejsce wypoczynku?! — warknęła i nabzdyczona wygramoliła się na podłogę.

Posyłając nam obojgu serię zniesmaczonych spojrzeń, przeciągle ziewnęła. Uniosła ramiona ponad głowę, by rozciągnąć kręgosłup.

Ponownie zanurkowała w saku, a po chwili wydobyła z niego notes, smartfon, laptopa i niepasującą do standardowego zestawu biurowego króliczą łapę. Ta pociągnęła za sobą torebkę z paskiem, przywiązane do niego słuchawki na kablu, a dalej — połączone sznurowadłami dwie tenisówki. W jednym z butów tkwiła szaszetka na przybory piśmiennicze.

Anka przyklęknęła na podłodze, by rozplątać powstały supeł. Odgarnęła na bok włosy, odsłaniając szyję oraz rysunek wytatuowanych na niej róż.

— Pomóc ci? — wyrwałam się zupełnie niepotrzebnie.

Nie odpowiedziała.

— Serio śpisz z tym wszystkim? — odezwał się Adam.

Anka obrzuciła go pobłażliwym spojrzeniem.

— A co? Mam czekać, aż ktoś mnie oskubie?

— Masz na myśli Walczewskiego albo mnie? — Adam parsknął śmiechem. — Ewentualnie Martę? Nikogo innego chyba się tutaj nie spodziewałaś?

— Podobno w okolicy grasują złodzieje — odburknęła. — Nieprawdaz? — Tym razem zwróciła się do mnie. — Ponoć ktoś zwinął ci obraz.

Podnosząc oczy do sufitu, pokiwałam głową.

— Na szczęście jednak się znalazł — powiedziałam wymijająco.

Anka zmrużyła powieki.

— Ja tam wolę dmuchać na zimne. — Założyła buty, torebkę przewiesiła przez ramię, a resztę fantów ścisnęła w ramionach. — Mówiliście coś o „Best Monitoring”, tak? — Zmieniła temat. — Coś nowego w sprawie?

— I tak, i nie. Słyszałaś już o morderstwie w szkole Marty?

— W szkole? To ile ty masz lat? — Spojrzała na mnie z wysoka.

— Jestem nauczycielką. — Młasnęłam przekornie.

— I chodzi wam o „UrbanClass”? — Anka chciała się upewnić.

— Tak — potwierdził Adam. — Ty wiesz, że w tę sprawę może być zamieszany ktoś od Palucha?

— Serio?!

— Dziwnym trafem denata w szkole Marty znaleźli właśnie ktoś od nich.

— Co ty gadasz...?

— A żeby było śmieszniej... — wtrąciłam — ...z pewnych względów policja czepia się akurat mnie. — Założyłam ręce na piersiach.

— Jeszcze mi powiedz, że chcą cię wsadzić?

— Może...?

— To ile by ci groziło? — zainteresowała się gorąco.

— Za zabójstwo? Od ośmiu do dwudziestu pięciu?

— Racja. — Rozpromieniła się. — Ale jazda!

— Dobra, dobra, bez spekulacji — włączył się znów Adam. — Dowiemy się, kto i dlaczego to zrobił, nie bój. Nie chcesz podzielać z nami? — sarknął.

— Głowa mnie boli — westchnęła Anka. — Idę się przewietrzyć.

— Tylko nie pal... — bąknęłam.

— *...papieros to zguba i próba twych sił...¹* — dodał Adam, nucąc zgrywnie.

Anka prychnęła. Odłożyła swoje rzeczy na stolik, rozsunęła zamek torebki, wyjęła z niej paczkę tytoniu i ostentacyjnie sięgnęła po papierosa.

— Coś jeszcze? — Wykrzywiła usta, podnosząc brwi.

Niezainteresowana odpowiedzią na zadane pytanie z powrotem zgarnęła swoje rzeczy i, odwróciwszy się na pięcie, wyszła na korytarz.

Zamrugalam.

— Daj jej trochę czasu — powiedział Adam. — W pierwszych kontaktach rzeczywiście nie budzi przesadnej sympatii, ale z czasem na pewno się polubicie.

— Jakoś nie jestem przekonana. — Zaniósłam się śmiechem.

Wróciliśmy do przerwanej zajęcia, a wkrótce potem namierzyliśmy na Facebooku konto należące do Józefa Kwiecickiego.

— I co nam po tym, skoro wszystkie dane są ukryte?

Do diaska, zawartość wyszukanego profilu, jak na złość, musiała być niedostępna dla postronnego odbiorcy.

— Spróbujemy dostać się do grona jego wirtualnych znajomych — odparł nonszalancko Adam.

— I co nam to da? Przecież to może być zwyczajna zbieżność nazwisk.

— Zobaczymy. Jeśli to faktycznie „nasz” Kwiecicki, to moglibyśmy trafić na coś, co pozwoli nam się do niego zbliżyć. Ludzie nieświadomie udostępniają w internecie takie rzeczy, że ich rozpracowanie...

— Mnie też już w ten sposób rozpracowałeś?

Adam posłał mi przelotne spojrzenie.

— Jeszcze nie. — Wlepił wzrok w ekran laptopa.

— Czyli nie wiesz, że w 2001 wystąpiłam w programie „Od przedszkola do Opola”?

— A nie w 2000, i to w tym samym odcinku, co Daria Zawiałów?

— Adam!

Dziennikarz posłał mi skruszone spojrzenie.

— Taki nawyk, przepraszam! — Uniósł otwarte dłonie.

Stęknąwszy z dezaprobatą, znów zerknęłam mu przez ramię na ekran otwartego notebooka.

— To jak dostaniemy się do jego grona znajomych? — wróciłam do Kwiecickiego. — Tak „po prostu” chyba nas do niego nie przyjmie?

Dziennikarz zalogował się na inne konto, a moim oczom ukazało się zdjęcie atrakcyjnej blondynki, opatrzone kilkoma niezbyt konkretnymi informacjami na temat tej postaci.

To nie tak, że była jakąś pięknoscią w typie modelek z pierwszych stron gazet. Jej fizjonomia wpisywała się raczej w kategorię „dziewczyny z sąsiedztwa” – delikatna, naturalna, krucha.

— Karolina Nowak...?

— To jedna z naszych starannie wyhodowanych tożsamości internetowych... — powiedział z zadowoleniem Adam. — Gdyby nasz podejrzany był kobietą, użylibyśmy Piotрка Nowaka, jej brata. — Wyświetlił poprzedni profil.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na fałszywe dane personalne i zdjęcie sympatycznego bruneta.

— To naprawdę działa? — Zachichotałam.

— W dziewięćdziesięciu procentach tak. Jeśli facet nie plasuje się wśród pozostałych dziesięciu, to już niedługo będziemy mieć pełny dostęp do jego treści. — Ponownie wszedł na profil Karoliny Nowak i z poziomu tego konta znów wyszukał Józefa Kwiecickiego, po czym kliknął znajdujący się przy jego awatarze przycisk z napisem „Wyślij zaproszenie do grona znajomych”.

Podobną operację wykonaliśmy na wszystkich pozostałych portalach społecznościowych, w których figurowało nazwisko „Kwecicki”. Prześwietlenie serwisanta zakończyliśmy na próbie wyszukania jego innych elektronicznych śladów w sieci za pomocą przeglądarki Google.

Byliśmy wciąż pochyleni nad komputerem, kiedy do pokoju wszedł Walczewski.

— Kończę na dzisiaj — oznajmił. — Mam coś do załatwienia w mieście.

Zgarnął ze stołu swoje notatki wraz z aktami „Uzdrowiska”. Wyłączył tablicę interaktywną i skierował się do wyjścia. Na moment zatrzymał się w progu.

— W razie czego będę pod telefonem. Czołem! — Kiwnął do nas i zniknął za drzwiami.

Wreszcie przyszedł czas na sprawdzenie numeru z wizytówki. Wyjęłam ją z notatnika niemal drżącymi dłońmi. Adam wybrał w telefonie wskazany na niej kontakt.

Wstrzymałam oddech.

„Abonent poza zasięgiem”.

Skoro wątek Kwiecickiego chwilowo utknął w martwym punkcie, przyszedł czas na czynności, które obecnie interesowały mnie znacznie bardziej, niż bezowocne szpiegowanie Kwiecickiego w sieci.

Do analizy dokumentów zteczki Palucha mianowicie. To właśnie ją zgarnął Adam z regału przy wejściu, gdy tylko tu przyszliśmy.

— Chodź, obejrzymy to sobie na tablicy — powiedział.

Ponownie uruchomił tablicę, na której wyświetlił teraz zawartość folderu pod nazwą „Best Monitoring”. Wyluszczać mi wyniki dotychczasowego śledztwa redakcji, raz po raz prezentował na ekranie kolejne materiały, których uzupełnienie stanowiła zawartość teczeki.

Na mapie Wrocławia i okolic podmiejskich obejrzelśmy lokalizację nowo powstających osiedli domków jednorodzinnych, którymi, zgodnie ze zgromadzoną przez dziennikarzy dokumentacją, interesowała się firma.

— Tak wyglądają ich ulotki. — Adam podał mi plik kilku kolorowych broszur. — Jest ich tam od zatrzęsienia, każdy właściciel je dostaje. Ale wiesz, to jest jedynie taka faza przyczajenia — dodał od razu. — Reklama łąduje zwykle w śmietniku, ale przecież w ogóle nie o to chodzi. Skoro właściciel nieruchomości wie już o istnieniu „Best Monitoring”, niedługo potem dostaje kilka nagabujących telefonów od lokalnego przedstawiciela firmy...

— Skąd mają numery?

— To akurat nie jest trudne. O kontakt do inwestora wystarczy, pod byle pretekstem, poprosić głównego majstra ekipy, która zajmuje się wykończeniem domu.

Pokręciłam głową.

— Jeśli jednak i to nie pomoże... — ciągnął — ...firma zaczyna używać subtelnych argumentów siły...

— Co chcesz przez to powiedzieć!?

— W niedalekim sąsiedztwie — odpowiedział — takim, które jeszcze nie znajduje się pod protekcją „Best Monitoring”, ktoś dokonuje drobnej dewastacji mienia. Ciekawy zbieg okoliczności, co? Po kilku dniach od incydentu przedstawiciel handlowy „Best Monitoring” ponownie kontaktuje się z właścicielami, by sprawę omówić. Tym razem facet posyła nowym inwestorom subtelne aluzje na temat tego, że i u nich może dojść do podobnej sytuacji lub, co gorsza, z domu może zniknąć parę fantów. W tym czasie firma rozwiesza w okolicy plakaty przestrzegające przed grasującymi na osiedlu rabusiami. W większości przypadków to wystarcza, żeby nakłonić kolejnych właścicieli do podpisania umowy o świadczenie rzekomych usług ochroniarskich. Naturalnie, są też tacy, którym się wydaje, że konsekwentne olewanie natrętów w końcu ich zniechęci. Tutaj „Best Monitoring” wytacza swoje najcięższe działa.

— To znaczy...? — Przełknęłam ślinę.

— Z obserwowanego domu znikają okna, grzejniki albo inne rzeczy, które można w miarę szybko zdemontować — wyjaśnił Adam. — Rozkład domów na danym osiedlu jest zwykle bardzo podobny, zwłaszcza kiedy budował je ten sam deweloper. Dzięki temu ekipa Palucha dokładnie wie, gdzie znajdują się określone ruchomości, a ich działania są bardzo sprawne — tłumaczył. — Wizyty niechcianych gości powtarzają się odtąd regularnie, a cały proceder trwa dopóty, dopóki ofiara nie ulegnie sile perswazji. Prędzej czy później każdy się poddaje. Ludzie myślą, że nie da się uniknąć płacenia haraczu bandytom.

— Płacą im... za nic! — odpowiedziałam wzburzona, lecz po chwili namysłu zrozumiałam sens całej operacji — No tak, jeśli odmówią podpisania umowy, to koszty będą ponosić dalej poprzez utratę sprzętu. A jeśli zgodzą się na współpracę, to wprawdzie ocalą swoją własność, ale gangsterom płacić będą i tak za rzekomą protekcję. Sprytnie. Jeszcze mi powiedz, że nikt...

Przerwał mi gwałtowny tętent kroków, który naraz rozległ się w przedpokoju.

— Grzegorz jeszcze nie wyszedł?

— Coś ty, to Anka...

Dziennikarka wyszła z redakcji i niemal w tym samym momencie zza ściany dał się słyszeć jakiś łomot.

— Anka...?! — krzyknął Adam.

Zerwał się z krzesła i podbiegł do drzwi. Odruchowo ruszyłam za nim.

— Wszystko w porządku!

Klatkę schodową wypełnił zalotny śmiech.

— Na pewno...? — Adam wychylił się przez próg gabinetu.

— Nie przeszkadzajcie sobie!

Wzruszyłam ramionami i wróciłam na swoje miejsce za stołem.

— Na czym skończyliśmy? — zapytał Adam.

Redakcyjny przedpokój znów rozdudnił się odgłosem przyspieszonych kroków. Ciężkie tupanie przesunęło się najpierw w kierunku kuchni, to znów w stronę klatki schodowej.

— Co na to wszystko policja? — Wskazałam brodą wyświetlone na tablicy materiały.

— To...? — westchnął Adam. — To zdecydowanie za mało. Potrzebujemy czegoś, co jednoznacznie obciąży Palucha i jego ekipę. Na przykład zeznań świadków. Tylko że nikt nie chce się wychylać. — Minał stół i podszedł do okna. Przysiadł na parapecie, zakładając ręce na torsie. — Ci ludzie doskonale zdają sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej trafili na bandytów. Wolą im płacić i w ten sposób zapewnić sobie względny spokój. — Powędrował wzrokiem gdzieś za szybę. — Mówią, że jeśli gdziekolwiek to zgłoszą, będą żyć w ciągłym strachu o zdrowie i życie nie tylko własne, ale i swoich bliskich. — Znów na mnie spojrzął. — A niektórzy po prostu sprzedają nieruchomości i tak pozbywają się problemu.

— To wszystko naprawdę nie wystarczy? — Zatoczyłam dłonią krąg, wskazując najpierw na tablicę, a na materiałach z teczki kończąc.

— Na razie to jedynie poszlaki — sapnął Adam. — Hipotetycznie mogą świadczyć o skutecznym marketingu firmy, a te włamy faktycznie są sprawką kogoś innego...

— Żartujesz?

— Konsultowaliśmy to z najlepszymi specjalistami w branży. Wiemy od nich, że marketing agencji ochrony często opiera się na wzbudzaniu uzasadnionego strachu wśród potencjalnych klientów. — Lekko wyduł usta, by wyrazić sceptycyzm.

— Co...? — wybuchnęłam szyderczym śmiechem.

— W tym celu regularnie przegląda się okoliczne kroniki kryminalne, a kiedy tylko coś się trafi, nagłaśnia się sprawę, zwykle nieco ją podkolorowując. Wiesz, o co chodzi...? Każdy chce się czuć bezpiecznie we własnym domu. — Stał na nogi i zaczął chodzić po pomieszczeniu. — W obliczu realnego zagrożenia ludzie chętniej korzystają z usług nie tylko ubezpieczycieli, ale też ochroniarzy. A ci nierzadko to wykorzystują.

— Przecież ty sam nie wierzysz w to, co mówisz!? — sprzeciwiłam się.

— No raczej! — Znów się do mnie przysiadł. — Dlatego, że w sprawie przewija się Paluch. Gdyby nie ten drobny szczegół, pewnie moglibyśmy dać się na to wszystko nabrać. Grunt, po którym się poruszamy, jest grząski. Trudno jest cokolwiek udowodnić, zresztą łatwo się pomylić. A w przypadku Palucha i jego ludzi, sprawa jest tym bardziej niebezpieczna. Musimy mieć absolutną pewność, że kiedy to nagłościmy, będzie za późno, by ukręcić sprawie łeb, a policja dostanie wystarczająco silny materiał, żeby ich przymknąć. W przeciwnym razie możemy jedynie ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo... Musimy być naprawdę ostrożni.

— To co musiałoby się stać, żebyśmy mogli ich dopaść?

— Najlepiej byłoby przyłapać ich na gorącym uczynku. — Adam rozparł się w fotelu. — Albo nawiązać kontakt z kimś, kto wyniesie z firmy dowody, których nam brakuje... — Ukosem zerknął w stronę leżącego obok notebooka.

Przysunął go do siebie, by ponownie sprawdzić Facebooka i pozostałe portale społecznościowe. Zagryzłam dolną wargę, śledząc jego ruchy.

Adam pokręcił głową, zatrzasnął laptopa i ponownie odłożył go na bok, po czym zabrał się do zbierania dokumentów rozłożonych na blacie.

* * *

Był już późny wieczór, gdy wyzuta z wszelkich nadziei na to, że ten wreszcie nabierze romantycznego biegu (na co gorąco liczyłam), zaczęłam zbierać się do wyjścia.

Siedzący na brzegu stołu Adam przyglądał mi się w milczeniu.

— No to cze... — Chciałam się pożegnać, lecz w tym samym momencie dziennikarz wsunął rękę w moją dłoń i delikatnie przyciągnął mnie do siebie.

Zmiękły mi kolana, więc oplotłam ramiona wokół jego szyi (tylko po to przecież, by nie stracić równowagi!). Dziennikarz już się nachylał, by mnie pocałować, gdy nagle rozległ się wściekły dzwonek telefonu. W popłochu odskoczyłam do tyłu. Adam fuknął pod nosem i wyciągnął z kieszeni hałasujący smartfon.

— To Walczewski — powiedział, rzuciwszy okiem na wyświetlacz. Opuszką musnął zieloną słuchawkę i przyłożył aparat do ucha. — Coś się stało? — zapytał od razu.

Wysłuchawszy odpowiedzi redaktora, odparł:

— Jestem jeszcze w redakcji, mogę dojechać za piętnaście minut.

Wbiłam w niego pytający wzrok.

Adam włożył telefon z powrotem do kieszeni spodni, wyprostował się i zwrócił znów do mnie:

— Właśnie tak czasem wygląda ta robota — sapnął. — Grzegorz coś wyniuchał, musimy to sprawdzić.

— Ekstra! — Zatarłam ręce i mimo okoliczności oraz późnej pory pełna nowej energii skierowałam się do wyjścia.

Rozdział 12

Adam stał w miejscu, zupełnie jakby wrósł w ziemię. Rzuciłam mu naglące spojrzenie.

— Obawiam się, że to nie przejdzie — powiedział.

— Co nie przejdzie? — Zmarszczyłam brwi. — Nie mam odpowiedniego stroju, tak? Daj spokój, to żaden problem. — Wskazałam kciukiem drzwi. — Mogę skoczyć na górę i się przebrać. Przy okazji zabiorę kilka przydatnych rekwizytów... — Puściłam mu znaczące oko. — Co powiesz na subtelny kamuflaż?

— Kamuflaż, mówisz?

— No, taki dyskretny, nie żeby jakoś przesadzać... Wiesz, na przykład... okulary przeciwsłoneczne?

— Nocą...?

— Perukę?

— Masz w domu perukę?! — Adam lekko uniósł brew.

— No pewnie, i to jaką! Baśka załatwiła mi na wyprzedaży starej garderoby w teatrze.

— Basia jest aktorką?

— Garderobianą. Ale to tylko tymczasowe. Jeszcze trochę, a sama będzie projektowała kostiumy. Zobaczysz!

— No to trzymam kciuki.

— Dzięki, przekażę! A wracając do naszej sprawy, to mam też lornetkę, przywiozłam sobie od rodziców. Bierzemy?

— Do restauracji?

— A, czyli będziemy szpiegować Palucha w restauracji... Trzeba było tak od razu! Spokojnie, Basia wyposażyła mnie na wszelką okoliczność. — Zachichotałam. — W restauracji najlepiej sprawdzi się wachlarz,

ewentualnie gazeta. Mam u siebie kilka, jeszcze nie zdążyłam dać ich na makulaturę...

— Marta... — przerwał mi Adam. — Przecież mi nie o to chodziło!?

— Tylko o co? — Gwałtownie zamrugałam.

— O twój udział w akcji! Obawiam się, że tym razem niestety nie będziesz mogła mi towarzyszyć.

— Co?! — Aż się zapowietrzyłam. — Chyba nie mówisz poważnie!?

Dziennikarz podniósł na mnie skruszony wzrok. Zaprzeczył niechętnym ruchem głowy.

— W takich sytuacjach działamy sami lub, ewentualnie, w parach. Nigdy w grupach — odparł. — W przeciwnym razie moglibyśmy skupić na sobie niepotrzebną uwagę. Poza tym może być niebezpiecznie.

Zbliżył się do mnie.

— Dam sobie radę. — Skrzyżowałam ręce na piersiach.

— Wybacz, niestety to nie ja ustalam zasady.

Otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem.

Posłusznie wyszłam do przedpokoju, lecz zaraz się zatrzymałam, jako że nie byłam pewna, czy nasza rozmowa dobiegła końca.

— Poza tym sama dobrze wiesz, że w tym zawodzie trzeba być bardzo ostrożnym — dodał dziennikarz.

Prychnęłam, choć doskonale wiedziałam, że miał rację.

Adam delikatnie przesunął mnie na bok, chcąc przejść do pomieszczenia za moimi plecami. Bez namysłu ruszyłam za nim.

— Powiesz przynajmniej, o co chodzi? — spytałam nadąsana.

Weszliśmy do niewielkiego pokoju z kompletem mebli kancelaryjnych i jednym stanowiskiem pracy. To musiało być królestwo Anki. Domyśliłam się po wyraźnie wyczuwalnym zapachu perfum, które z całą pewnością należały do niej. Zupełnie, jakby była tu jeszcze chwilę wcześniej. Minęliśmy jej biuro, by przedostać się do tego znajdującego się za drzwiami usytuowanymi w głębi. Oba gabinety wyglądały całkiem podobnie, jednak w tym drugim stały, dla odmiany, dwa biurka.

I nie było w nim czuć Anki.

— Podobno Paluch wypłynął w jednej z knajp przy Bulwarze Staromiejskim — powiedział Adam.

Nachylił się do zamykanej na klucz szafki stojącej w rogu.

— A Walczewski skąd o tym wie? — dopytywałam, jednocześnie nie mogąc powstrzymać się od zapuszczenia ukradkowego żurawia do schowka.

— To stara wyga — mruknął Adam, przeglądając znajdujące się wewnątrz profesjonalne sprzęty szpiegowskie. — Ma swoje dojścia.

Na moment zmrzył jedno oko, jakby się nad czymś zastanawiał. Wreszcie wyjął z szafki etui na okulary. Uchylił je, wydobyl z niego przednią część oprawek z soczewkami i odłożył ją na szczyt mebla. Znow zajrzał do skrytki. Nie znalazłszy w niej tego, za czym się rozglądał, wstał i podszedł do jednego z biurk. Na blacie, tuż przy klawiaturze komputerowej, leżała minitacja USB, do której wpięto dwa zauszniki. Adam usunął je z portów i przymocował do frontu, wyciągniętego przed chwilą z etui. Okulary wsadził na nos. Zdjął je, szkła i mostek przetał ściereczką i znów założył.

Skierował do mnie twarz i chwytając jeden z zauszników powiedział:

— Uśmiech!

Oniemiałam.

— Czy ty właśnie zrobiłeś mi zdjęcie?!

— Próbn. nagranie. — Znow dotknął opuszką prawego zausznika. — Musiałem się upewnić, że wszystko działa jak należy.

— I co? Działa?

— Jak najbardziej.

— Skąd wiesz?

— Wyczułem lekką wibrację — odparł i włożył okulary z powrotem do etui, a to schował do kieszeni spodni.

W korytarzu redakcji sięgnął po pęk kluczy zawieszonych na haczyku przy wejściu.

Głośno sapnęłam i zrezygnowana wymaszerowałam na klatkę schodową.

Adam wyszedł za mną i przekreślił mechanizm zamka w drzwiach.

— Hej, jeszcze to sobie odbijemy... — Delikatnym muśnięciem dłoni uniósł mój podbródek.

Pogniewana, odwróciłam wzrok. Adam pogładził wierzchem dłoni mój policzek.

— Nie zapominaj o Kwiecickim. A propos kwiatów... — pociągnął nosem — ...też to czujesz? Czy to przypadkiem nie jest zapach gleby ogrodniczej?

Rozejrzałam się wokół i nabrałam powietrza.

— Dziwne, ale chyba masz rację... — Zmarszczyłam brwi. — O matko...!
— Przysłoniłam twarz dłonią. — Coś mi mówi, że Kudłacz był już u Klaudii. Mam nadzieję, że zamiast domowych roślin doniczkowych, nie zwiózł tu jakiegoś ogrodowego zielska!

Adam się roześmiał.

— Odezwę się jutro.

— Ale...

— Czekaj na mój telefon! — Zniknął za zakrętem półpiętra.

Odwróciłam się na pięcie i zbulwersowana wspierałam się na górę.

Z powodu nagłego przyływu duszności, które musiało wywołać przecież gorące powietrze stłoczone pod dachem, uruchomiłam wentylator pokojowy, uchylając jednocześnie drzwi balkonowe. Sięgnęłam po butelkę lemoniady, jedną z tych, które chłodziły się w lodówce. Opróżniłam ją duszkiem. Ale zamiast uczucia ulgi, fali pokrzepienia ogarniającej stopniowo moje ciało, doświadczałam coraz to bardziej natrętnych myśli.

Impulsywnie chwyciłam telefon, by zadzwonić do Basi, lecz ta nie odbierała. I wtedy przypomniałam sobie o SMS-ie, którego przyjaciółka przysłała mi tego popołudnia, podczas gdy ja, odurzona towarzystwem Adama, beztrąsowo pałaszowałam lunch w knajpie przy starym Dworcu Świebodzkim.

Nagle poczułam się tak, jakby ktoś strącił z mojego nosa okulary (te różowe, w kształcie serduszek). Dopiero teraz przetworzyłam w głowie

sens popołudniowej wiadomości od Basi, w której ta informowała mnie, że pracę w roli gosposi zaczyna u Bożeny Wysockiej już nazajutrz, a ja – w odpowiedzi – posłałam jej marnego kciuka w górę.

A jeśli do faktu, że konsultanta do „UrbanClass” ściągnęła właśnie wicedyrektorka, dodać wiadomość od Arka, jakoby ta dwójka później się kłóciła... Do diaska! A przecież to nade mną wisiły podejrzenia policji! Towarzystwo dziennikarza do reszty mnie zaczadziło!

Przysiadłam na oparciu sofy i zaczęłam błędzić wzrokiem po pokoju.

Zamiast wzdychać do dziennikarza, który najwyraźniej miał mnie za kompletną amatorkę, powinnam skupić się na własnym zmartwieniu, nie zaś na sprawach, które brała na tapet redakcja Walczewskiego (niemniej zdemaskowanie sprawcy zbrodni w „UrbanClass” miało nie tylko oczyścić mnie z zarzutów, ale i udowodnić Adamowi, że nie jestem detektywką z łapanki).

W porządku, może w porównaniu z możliwościami i wyposażeniem redakcji moje metody szpiegowskie, a wraz z nimi i rekwizyty, jakimi dysponowałam (i którymi w kompletnym umysłowym zamroczeniu pochwalałam się Adamowi!), były ciut staromodne, ale przynajmniej pracowałam z prawdziwą pasją i zaangażowaniem. I właśnie to w przyszłości miało zostać zwieńczone wielkim sukcesem!

Przynajmniej tak to sobie wyobrażałam.

Sięgnęłam po swój bloczek śledczy, by zanotować w nim kilka bieżących myśli i spostrzeżeń. Basia miała rację. Należało skontrolować alibi wicedyrektorki szkoły. Skopiowałam wiadomość, którą dostałam tego popołudnia od Arka i przesłałam ją SMS-em do Basi.

Sama tymczasem postanowiłam zająć się przebierańcem z „Best Monitoring”. Nie zamierzałam czekać, aż Adam znajdzie czas, aby mi w tym pomóc. W końcu trzymali z Walczewskim na muszce kogoś, kto interesował ich znacznie bardziej.

Rozdział 13

Jakby w lunatycznym transie poczłapałam do kuchni i uchylałam okno, by wpuścić do mieszkania zaglądający zza szyby poranek. Kilka rześkich podmuchów wiatru, które wśliznęły się do środka przez powstałą szczelinę, wystarczyło, żebym oprzytomniała, a niosące się z ogrodu harmonijne trele ptaków przegoniły z głowy ostatnie strzępki natarczywych snów.

Nastawiłam wodę na herbatę i zajrzałam do chlebaka. Bieżące wydarzenia nie sprzyjały regularnemu uzupełnianiu zapasów żywnościowych, czego przykry skutek odkryłam, wygrzebując z dna pojemnika resztkę wyschniętego pieczywa. Pogodzona z koniecznością konsumpcji trzydniowego suchara, postanowiłam odmłodzić go słuszną warstwą masła i — wyjątkowo — aż dwoma plasterkami sera, wbrew nawykowi, jaki wyrobiłam sobie wkrótce po odstąpieniu od garnuszka rodziców.

Ledwie rozsiadłam się na sofie, chcąc spożyć ów wykwintny posiłek, gdy odezwał się mój telefon — dzwoniła Basia. To chyba telepatia, bo właśnie o niej myślałam.

— Marta...? — przyjaciółka odezwała się stłumionym głosem.

Tak, musiała być już w domu wicedyrektorki.

— Co robisz?

— Jem śniadanie. — Zaczepnęłam z kubka porządny łyk herbaty, by rozpulchnić przeżuwany kęs.

W odpowiedzi usłyszałam głośnie stęknienie.

— A ty co? Już przy obiedzie? — Spojrzałam na zegarek.

Bez przesady, dochodziła dopiero jedenasta trzydzieści!

— Czyli ty nic nie wiesz — stwierdziła kategorycznie Basia. — W telewizji mówią, że policja ma już podejrzanego!

— Nie gadaj... — Natychmiast sięgnęłam po pilota, a połączenie telefoniczne przestawiłam na tryb głośnomówiący.

Piątkowe zajście w firmie nadal lokowało się w topce tematów, którymi zajmowała się telewizja — już nie tylko ta lokalna, ale i ogólnopolska. Mówili o nas właściwie na każdym kanale informacyjnym.

...Wszyscy przesłuchani świadkowie dostarczyli policyjnym detektywom rozsądne dowody swojej niewinności... — mówiła właśnie telewizyjna reporterka.

— Słyszałaś!? — wykrzyknęłam entuzjastycznie. — Co za wiadomość! Nie sądziłam, że tak łatwo pójdzie!

— Łatwo...?

Wszyscy, poza jednym — dopowiedział rzeczowy alt w telewizorze niemal w tym samym momencie.

Zmarszczyłam brwi, odkładając na talerz ledwie nadgryzione pieczywo.

Jak podają organy ścigania — relacjonowała dziennikarka — *jedna z osób udzieliła nadzwyczaj szczegółowego wytłumaczenia, co zdaniem kryminalistyków, może świadczyć o kłamliwości jej wyjaśnień.*

Zrobiło mi się tak gorąco, że musiałam uruchomić wiatrak.

Według słów rzecznika prasowego policji, osoba ta mogła mieć nie tylko sposobność, ale i motyw, by dokonać zbrodni w „UrbanClass”. To właśnie na niej zamierza skupić się wrocławska komenda wojewódzka...

— Basia...? — W przerażeniu rozszerzyłam powieki.

— To jeszcze nic! Słuchaj dalej: wygląda na to, że...

Policja — brzmiał głos w telewizorze — *wystąpiła do prokuratury okręgowej z wnioskiem o zgodę na przeszukanie mieszkania oraz samej osoby podejrzanej...*

— O w mordę!!!

Bezwiednie poderwałam się z kanapy i rzuciłam do sprzątanego bałaganu wokół. Ale zahaczając o przewód wentylatora, narobiłam jeszcze większego bigosu. Kabel, wyrwany z gniazdka przy biurku, pociągnął za sobą kolejne fanty: przybornik z pinezkami i spinaczami, temperówkę z

pojemnikiem, z którego wysypały się trociny z ołówków, dwie butelki po lemoniadzie, słoik z drobniakami, a na koniec mój specjalny, zmiękczający napar śniadaniowy. Mosiężne monety z brzękiem rozproszyły się po całym pokoju, a herbata z potrąconego kubka opryskała meble wokół, pozostawiając na nich ciemne zacieki.

Niech to szlag!

— Ale jak...? — Chwyciłam wiszący na krześle podkoszulek i zaczęłam wycierać nim zabrudzenia. — Kiedy?!

— A bo ja wiem?! — jęknęła Basia. — Może już są w drodze na Kampinoską!

Wstrzymałam oddech. Ogarnęłam wzrokiem mieszkanie, a po racjonalnej ocenie panujących warunków podniosłam się z podłogi, zmiażdżona przecuciem nieuchronnej klęski. Stałam w progu pokoju i lekko się nachyliwszy, cisnęłam mokrą szmatę do zlewu usytuowanego przy wejściu do kuchni.

Po co sprzątać, skoro Zaremba i jej ekipa lada chwila i tak przewrócą całe mieszkanie do góry nogami?

Wróciłam do pokoju i bezradnie opadłam na sofę. Na moment przestały docierać do mnie jakiegokolwiek bodźce ze świata zewnętrznego. Ocknęłam się dopiero wtedy, kiedy z ust telewizyjnej spikerki padły kolejne straszne zapowiedzi:

Z uwagi na uzasadnione podejrzenie prób mataczenia w śledztwie, prawdopodobnie zostanie wydany nakaz tymczasowego aresztowania osoby podejrzanej...

— Słyszysz to? — wykaszałam do Basi, znów podrywając się do pionu. — Chcą posłać mnie na dołek!

Tego było już za wiele.

Jaki będzie finał tej szokującej sprawy...? O tym przekonamy się już wkrótce. Paulina Skarżyńska dla programu „Sama Prawda”.

Wyłączyłam telewizor, ciężko dysząc.

— Spokojnie, bez paniki — odezwała się moja przyjaciółka. — Pomyślmy...

Basia musiała myśleć bardzo intensywnie, o czym świadczył dźwięk paznokci uderzających o jakąś powierzchnię ruchem jednostajnie przyspieszonym.

— Może... Może jednak nie chodzi wcale o ciebie? — zapytała wreszcie, lecz w jej głosie zabrzmiała wyraźna nuta wątpliwości. — W końcu ani razu nie padło twoje imię...

— Oczywiście, że nie! Przecież nie mogą ujawnić personaliów podejrzanego, dopóki prokuratura nie dowiedzie jego winy — zaskomlałam. — Nie zapominaj, jak skończyło się moje ostatnie spotkanie z Zarembą. To pewne, że chodzi o mnie! Wszystko się zgadza jak bum-cyk-cyk! W końcu miałam motyw i sposobność, zgadza się?

— Wcale nie miałaś! — zaprotestowała. — Choć z punktu widzenia policji...

— Do tego mataczę w policyjnym śledztwie...

— Odbiło ci? — wrzasnęła Basia. — To ja stoję na rzęsach, żeby ci pomóc, a ty w tym czasie kierujesz podejrzenia z powrotem na siebie?!

— Zwariowałaś, przecież ja chcę im pomóc!? W wykryciu faktycznego sprawcy, pamiętasz?! — Zbulwersowałam się. — Tylko że Zaremba może odczytywać moje intencje zgoła inaczej... Szczególnie po uprzejmym donosie dyrektorki szkoły o mojej wczorajszej wizycie w placówce.

— To co robimy?

— Ty rób to, co do tej pory. A ja... No cóż, wygląda na to, że muszę zmienić taktykę. Chyba czas zadziałać bardziej zdecydowanie. — Chwyciłam telefon, wyłączyłam tryb głośnomówiący i przyłożyłam aparat do ucha. — Nie pozwolę, żeby mi ktoś w kawalerce robił wojskową inspekcję z samolotami włącznie. Przecież i tak niczego tu nie znajdą!

— No to może lepiej niech właśnie przyjdą. Dostaną potwierdzenie, że to nie ty jesteś winna.

— Nie bądź naiwna! Zawiną mnie na „dołek”, żeby mnie docisnąć. Nie znasz ich metod...?

— Właściwie nie. A ty znasz?

— W międzyczasie... — ciągnęłam, ignorując rozsądny ton Basi — ...postarają się o ten kwit z prokuratury i będą mnie trzymać na Podwału przez najbliższe trzy miesiące!

— Przestań!

— Chociaż wiesz, co? To może być prowokacja. — Zastanowiłam się przez chwilę. — Może oni mnie obserwują? — Ukradkiem wyjrzałam przez okno. — Może podali tę informację o przeszukaniu do opinii publicznej, żeby wytrącić mnie z równowagi?

— Tym bardziej nie powinnaś działać pochopnie...

— Nie pochopnie, a spontanicznie! Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł...

— No...?

— Czekaj, muszę się ubrać.

Podeszłam do szafy, wetknęłam telefon pomiędzy ucho a ramię i zanurkowałam we wnętrzu mebla w poszukiwaniu spodni.

— Basia? — zapytałam po chwili, poważnie zaniepokojona. — Nie wyrzuciłaś moich bojówek, prawda?!

— Tych, co wyglądają, jakbyś wyrwała je na dziale męskim?

Rozszerzyłam powieki i nabrałam powietrza do ust.

— Kurczę! A wiesz, że nie? Choć powinnam była — Basia chrapnęła zniesmaczona. — Czasem naprawdę cię nie rozumiem. Jak mogłaś wydać swoje ciężko zarobione pieniądze na coś tak obciachowego? — zapytała z wyrzutem, jakby zapomniała o *clou* całej sprawy.

— Dostałam je od babci — bąknęłam. — Nieważne. O! Tu są! Znalazłam!

— No nie — jęknęła Basia. — Jak ja mogłam je przeoczyć?

— Dobra, a teraz... gdzie jest moja czapka z daszkiem...? — mamrotałam pod nosem, gmerając w szufladzie z nakryciami głowy, paskami i innymi akcesoriami.

— Bojówki i czapka z daszkiem? — zakasłała Basia. — Żartujesz? Będiesz wyglądała w tym jak facet! Ile razy mam ci powtarzać, że musisz ubierać się bardziej kobieco. Szczególnie teraz... — znów zniżyła głos —

...kiedy na twoim horyzoncie pojawił się ktoś naprawdę interesujący – mruknęła filuternie.

– Ale ja właśnie chcę wyglądać jak facet!

– Słucham?!

– A o moje kontakty z Adamem się nie martw. Dzisiaj raczej się nie zobaczymy.

– Mar... Czy ty się dobrze czujesz?

– Jak najbardziej. Choć okoliczności rzeczywiście temu nie sprzyjają.

– I dlatego negujesz własną płeć?

– Co?! Aaa, to masz na myśli – parsknęłam. – Nie, to ma być taki kamuflaż. To część mojego planu. Słuchaj, jeśli policja faktycznie mnie obserwuje, to nie mogę tak po prostu wyjść z domu, nie uważasz? Albo mnie przyskrzynią, albo przyczepi się do mnie ogon... Za to koleś, który nie ma ze sprawą niczego wspólnego, chyba nikt się nie zainteresuje. Wiesz, o co mi chodzi?

Basia przez chwilę milczała.

– I co będzie dalej? – odezwała się w końcu. – Dokąd pójdziesz w tym „genialnym” przebraniu?

– Szukać dowodów swojej niewinności! A raczej dowodów winy rzeczywistego sprawcy! – zignorowałam jej sceptycyzm.

– Albo kolejnych zaczepki! Nie wiesz, że podejrzenie zachowuje się ten, kto rzeczywiście ma coś na sumieniu?

– Nie – zacmokałam. – Za to wiem, że najprostsze metody działania są zwykle najskuteczniejsze. Odezwę się później, pa!

Załączek kamuflażu był naprawdę niczego sobie. Niemniej należało go ciut podrasować. Stałam przed otwartą szafą i analizując jej zawartość, potarłam opuszką brodę.

A jednak miałam nosa, nie pozwalając na to, by Basia zbyt pochopnie pozbawiła mnie wszystkich luźnych T-shirtów, które jeszcze do niedawna stanowiły podstawę mojej garderoby. Wrodzona przezorność po raz kolejny mnie nie zawiodła. Zdecydowałam się na ten największy i najbardziej kwadratowy. Pod spód włożyłam sportowy top, który świetnie

maskował mój — i bez tego — niezbyt wydatny biust, od którego uwagę dodatkowo odciągały zbyt szerokie ramiona. Wszystko to wpędzało mnie zwykle w kompleksy, teraz zaś po stokroć zadziało na moją korzyść. Chłopięca sylwetka? Wreszcie mogłam przekuć tę wątpliwą zaletę w faktyczny atut. Wystarczyło, że ciut się zgarbiłam, a kontur rysujący się pod materiałem koszulki, w którą teraz się ubrałam, bardziej przypominał załążek męskiego torsu, aniżeli kobiecych piersi.

Portfel, telefon i klucze postanowiłam schować w kieszeni spodni — tak jak zwykle robią to faceci. Nie mówiąc o tym, że obecnie i tak byłam pozbawiona wszelkiej alternatywy po tym, jak poprzedniego wieczora odkryłam brak części zapięcia na kłapie mojej jedynej wyjściowej torebki.

Grzywkę i zebrane w kucyk włosy wsunęłam pod czapkę z daszkiem. Chwyciłam okulary przeciwsłoneczne i już miałam złapać za kławkę, gdy naraz rozległo się donośne pukanie do drzwi.

Rozdział 14

Trzeba było przyskać od razu, zamiast bawić się w przebieranki lub — co gorsza — myśleć o sprzątaniu w tak bezwyjściowej sytuacji! Porządki...! Też mi pomysł!

Za późno. Policja zdążyła otoczyć budynek, wokół pewnie zebrał się tłum gapiów, a obiektywy reporterskich aparatów i kamer ze snajperską precyzją wycelowano prosto w okna mojego mieszkania. I co teraz...?

Musiałam oddać się w ręce komisarz Justyny Zaremby. Nie było wyjścia.

Znów rozległo się gwałtowne pukanie. Wyciągnęłam rękę do klamki, mimowolnie zerkając w wiszące obok lustro.

Dlaczego nie posłuchałam Basi? Jeśli ktoś wciąż miał wątpliwości co do mojej ewentualnej winy, widząc chłopczycę, w którą właśnie się przeobraziłam, pozbędzie się ich bez trudu!

Powoli uchyliłam drzwi.

— Jest Marta?

Zbaraniałam.

— Ojejku, Marta!? — wykrzyknęła Klaudia. — Przepraszam, nie poznałam cię!

— To ty pukałaś?

— No, ja. A spodziewasz się kogoś?

Bez słowa cofnęłam się do pokoju i ostrożnie wyjrzałam przez okno. Podwórce przed domem, podobnie jak biegnąca wzdłuż ulica, wyglądały zupełnie jak zawsze. Ani śladu policyjnych radiowozów, żadnych ciekawskich oczu zwróconych w stronę naszej willi.

— Bierzesz udział w jakimś... happeningu? — Klaudia weszła za mną do środka, mierząc mnie zaciekawionym spojrzeniem.

Bałagan wokół wspaniałomyślnie zignorowała.

— Należysz do któregoś z feministycznych ruchów?

— Broń Boże! — Zwróciłam się w jej stronę. — Ale... dobrze kombinujesz. Planuję dać dziś drobne przedstawienie, a to — przesunęłam palcem wzdłuż własnej sylwetki — ma dodać mojej postaci odpowiedniej dramaturgii.

Minęłam sąsiadkę i schyliłam się, by podnieść z podłogi bloczek śledczy, który wypatrzyłam w tej samej chwili wśród walających się po parkiecie szpargałów. Obejrzałam notesik i stwierdziwszy na nim brak jakichkolwiek uszkodzeń, wraz z długopisem wsunęłam go do jednej z kieszeni umieszczonych w połowie nogawek spodni.

— Profeska! — roześmiała się Klaudia. — Zdradzisz, co to za akcja?

— Na razie, niestety, nie mogę — ucięłam. — A ty? Potrzebujesz czegoś?
— Ruchem ręki dałam sąsiadce znak, że właśnie wychodzę z domu.

— Aaa, tak — przyznała. — Pracuję dzisiaj u siebie... A raczej pracowałam, dopóki nie wysiadł internet! To znaczy nie ma prądu, więc nie działa mój domowy router. Sprawdzałam korki w mieszkaniu, ale to nie to. Dlatego postanowiłam zajrzeć do ciebie, bo może to jakaś większa awaria? Twój dzwonek do drzwi też nie działa.

Nacisnęłam najbliższy włącznik światła.

— Faktycznie, nie ma prądu. — Otworzyłam drzwi i wsunęłam klucz do zamka od zewnętrznej strony.

— Może to główne bezpieczniki? Łatwo to sprawdzić. Chodź, skrzynka jest na dole.

— Okej, świetnie! — Klaudia wyszła za mną na klatkę schodową. — Stylówka naprawdę pierwsza klasa...

— znów się odezwała, gdy schodziłyśmy z poddasza — ...ale brakuje ci pewnego zasadniczego elementu.

— Zatrzymała się pod szóstką. — Wejdz na chwilę. — Zaprosiła mnie do środka.

Przystanąłam zaraz za progiem, podczas gdy Klaudia zniknęła za drzwiami na lewo od wejścia.

Mieszkanie, do którego wprowadzili się Klaudia i jej mąż, prezentowało zupełnie odmienny rozkład od mieszkań pani Wandy spod dwójki oraz Walczewskiego, który przeznaczył swój lokal na siedzibę redakcji.

Wnętrze, w którym się teraz znajdowałam, zostało definitywnie przearanżowane. Przez drzwi wejściowe wchodziło się bezpośrednio do przestronnego salonu, połączonego z otwartą kuchnią. Wystrój pomieszczenia był minimalistyczny, neutralny – nie prezentował żadnego konkretnego trendu, tak by najemcy, po ustawieniu w nim własnych bibelotów, w łatwy sposób mogli wprowadzić do niego swój osobisty styl.

Przy wejściu urządzono praktyczny kącik do przechowywania okryć wierzchnich i obuwia. Po lewej stronie lokowała się toaleta, a tuż obok – łazienka, w której zniknęła na moment Klaudia.

– Był u mnie Włochacz... – Usłyszałam jej głos pośród dźwięku stukających o glazurę szklanych buteleczek.

– Kto...? – zakaszłałam.

– Twój kolega, ten od roślin – podpowiedziała mi.

– Aaa, Kudłacz – zaniósłam się śmiechem. – I co? Wybrałaś coś?

– No pewnie! – Klaudia wyłoniła się z łazienki. – Wzięłam wszystkie! Zamachała mi czymś wokół twarzy.

Raptem poczułam na skórze rzęsy deszcz perfum. Cedrowych, męskich perfum.

Wrzasnęłam, wykonując niezdamny unik.

Klaudia roześmiała się gorąco.

– Właściwie to większość dostałam w gratisie, bo trochę uszkodziły się w transporcie. Ale to nic, kwiaty cięte też lubię! – Mrugnęła jednym okiem. – A te połamane łodygi wstawiłam do wazonu, może puszcza korzenie.

Rozejrzałam się po otwartym salonie połączonym z kuchnią. Faktycznie. Kilka doniczek z roślinami po przejściach sterczało na przedzielającej obie strefy niewielkiej wypie utworzonej z szafek. Po środku stał uruchomiony laptop z animowanym wygaszaczem ekranu:

wokół własnej osi obracała się nazwa firmy, którą widziałam już wcześniej na jednym z przewodzkowych pudeł Klaudii. To tam musiała pracować.

— Słuchaj? — sąsiadka znów się odezwała. — Masz na później jakieś plany? Może wpadniesz do mnie pod wieczór? Zamówię jakieś dobre jedzenie, a ty mi opowiesz, co ciekawego można robić we Wrocławiu.

— No jasne, koniecznie! — Na samą myśl o jedzeniu zareagowałam nader entuzjastycznie. Choć, właściwie, nie byłam pewna, czy do wieczora nadal będę przebywała na wolności.

— No i ekstra! A teraz, zanim szef wyleje mnie z pracy, chodźmy zobaczyć, co z tymi bezpiecznikami.

Żeby się do nich dostać, potrzebowaliśmy drabiny. Zapukałam pod dwójkę, do mieszkania pani Wandy.

Wizjer na moment się zaciemnił, ale emerytka nie otwierała.

— Poszli mi stąd...! — po chwili za drzwiami rozległ się junacki głos seniorki. — Ja wam dam, chuligani!

— Pani Wando! To ja, Marta Jaworska spod siódemki!

Wizjer znów mrugnął.

Wreszcie staruszka nieznacznie uchyliła drzwi, wyglądając zza mosiężnego łańcucha od zasuwki.

U dołu pokazał się trójkolorowy łebek Józki.

— Marta...? — spytała zdezorientowana sąsiadka.

Kotka zaczęła intensywnie węszyć, poruszając noskiem i wąsami. Nozdrza pani Wandy też jakby drgnęły.

— Tak, to ja. — Na moment zdjęłam z głowy czapkę z daszkiem.

Emerytka zmarszczyła czoło, podnosząc jedną z brwi. Czulałam, że to nieme pytanie wymaga jakiejś odpowiedzi.

— Wstąpiłam do skautów.

— Aha... — Pani Wanda pokiwała powoli głową.

— Nie ma prądu...

— Ano, brakło.

— Ma pani drabinę? Sprawdźę główne bezpieczniki. — Wskazałam kciukiem kierunek, w którym znajdowała się skrzynka.

Emerytka cofnęła się w głąb mieszkania. Usłyszałam oddalające się kroki. Józia ostrożnie ruszyła na klatkę schodową. Naraz pani Wanda zatrzasnęła drzwi tak, że kotka na moment przywarła brzuchem do posadzki. Zazgrzytała zasuwa, a luźno puszczony łańcuch zabrzęczał. Sąsiadka znów się pokazała, kierując w moją stronę wysoką, rozkładaną drabinę. Józia czmychnęła z powrotem do mieszkania. Chwyciłam sprzęt i zwróciłam się w stronę Klaudii oraz skrzynki, znajdującej się metr ponad jej głową. Rozstawiłam drabinę, weszłam po jej stopniach i uchyliwszy metalowe drzwiczki w ścianie, omiotłam wzrokiem znajdujące się wewnątrz pstryczki. Wzruszyłam ramionami i przesunęłam w górę ten, który — w przeciwieństwie do reszty — znajdował się w pozycji dolnej. Hol rozblił światłem zwisającej z sufitu żarówki.

Klaudia klasnęła w dłonie.

— Cokolwiek planujesz... — odezwała się z uznaniem — ...jesteś w pełni gotowa do odegrania swojej nowej roli! — Uniosła oba kciuki.

Zadowolona poprawiłam na czole daszek.

— Ja wracam do pracy, a ty pamiętaj o naszym wieczornym spotkaniu. Mam nadzieję, że wtedy wszystko mi opowiesz! — Zachichotała, po czym ruszyła schodami w górę.

Kiedy tylko zniknęła za zakrętem półpiętra, drzwi do mieszkania pani Wandy znów się otworzyły. Emerytka stanęła w progu, głośno dysząc.

W jej dłoni tkwiła materiałowa chusteczka, którą wachlowała swój poczerwieniały ze zdenerwowania dekolt — jego odcień zlewał się z malinową sukienką. Jedynie śnieżnobiałe włosy pani Wandy, upięte w gruby kok na karku, wyraźnie odcinały się od całej reszty.

— Co się stało!?! — Złożoną drabinę oparłam o ścianę i podbiegłam do staruszki.

Pani Wanda podniosła oczy ku niebu i westchnąwszy, wycofała się z powrotem do mieszkania. Zgarnęłam odłożony sprzęt i nie czekając na wyraźne zaproszenie babci, weszłam za nią do środka.

W przedpokoju zahaczyłam o walizkę podróżną. Obok niej, na posadzce, leżał materiałowy worek wypełniony kanapkami i butelkowaną wodą. Rzuciłam sąsiadce pytające spojrzenie. Potrząsając głową, zacisnęła powieki, tak jakby powód tych okoliczności w jakiś sposób ją trapił. Bez słowa przeszła do salonu.

Odstawiłam drabinę i podążyłam za nią. Przy komplecie wypoczynkowym stała kabinówka. Staruszka przegoniła kotkę wyczesującą futerko językiem i sama usiadła w fotelu. Pogładziła dłonią jeden z podłokietników siedziska, po czym kurczowo złapała uchwyt podręcznej walizki.

— Pani Wando...! — Dopadłam do niej. — To sprawka Szpakowskiego, tak? — Chwycałam jej kuferek. — Jeśli to on próbuje...

Doskonale pamiętałam, jak pani Wanda całkiem niedawno wspominała mi o ekspansywnych planach Szpakowskiego, właściciela większości mieszkań znajdujących się w willi, między innymi mojej kawalerki. Staruszka nie miała wątpliwości co do tego, że biznesmen zrobi wszystko, by wkrótce przejąć również pozostałe trzy lokale, w tym i ten zajmowany przez nią.

— Szpakowski? — Zwróciła na mnie swoje błędne spojrzenie, a jednocześnie jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na uchwycie walizki, nie dając mi jej ruszyć. — A co on znowu nawymyślał?

— Sądziłam, że to pani mi powie? To nie przez niego...? — Spojrzałam na bagaże.

— Przez Jurka? — Nonszalancko wzruszyła ramionami. — Phi! Ten łądak obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg — ogłosiła bez pardonu, lecz zaraz zakryła dłonią usta, najwyraźniej z uwagi na to, że jedno z mieszkań na piętrze zajmuje matka rzeczonoego, a okno w salonie pani Wandy było otwarte na oścież. — Szanowna familia do grobu chce mnie wpędzić — wyjaśniła. — Wczasów im się zachciało!

— Ach, to pani wyjeżdża? — Natychmiast cofnęłam rękę. — Jak to, nie cieszy się pani?

— Cieszyłabym się, gdyby wypoczynek w Ciechocinku nam zorganizowali. Ale gdzież im do takiej skromnej miejsciny, jak oni

wielkiego świata są spragnieni?! Maroko sobie umyślili, wyobraź sobie!

— Maroko?! — Zrobiłam duże oczy. — Ale pani zazdroścę! Zobaczysz pani, na pewno się tam pani spodoba. To barwny kraj!

— Nie lubię latać — ucięła staruszka. — Wycieczka autokarem tańsza by była, a ja bezpieczniej bym się czuła.

— Ale przecież samolot to taki podniebny autobus! Proszę nie siadać przy oknie, a nawet nie poczuje pani różnicy. Poza tym w ciągu kilku godzin będzie pani na miejscu, zupełnie jakby wybierała się pani do Ciechocinka. — Uśmiechnęłam się i przysiadłam na kanapie naprzeciw niej.

Staruszka sięgnęła do leżącej na ławie torebki. Wydobyła z niej klucze do mieszkania, lecz nim zdążyła wsunąć mi je do dłoni, te z brzękiem upadły na ziemię.

— O, zgrabności! — Pani Wanda podniosła oczy ku niebu. — Nie opuszczaj mnie!

Schyliłam się, by podnieść pęk.

— Dogłdaj moich roślin... — wyszeptała bezsilnie babcia, jakby na dobre żegnała się z domem. — Dbaj o Józię... — W oku zaszklili się jej łza. Otarła ją rąbkami ściskanej w garści chusteczki.

— Może pani na mnie liczyć. — Musnęłam dłonią jej rękę. — Józia i pani kwiaty zostają pod najlepszą opieką skauta! — Przyłożyłam dwa wyprostowane palce do czoła.

Kiedy opuściłam mieszkanie pani Wandy, w kieszeni zawibrował mój telefon.

Na ekranie pojawiła się wiadomość od redaktora Walczewskiego: „Serwus! Zajrzesz dziś do redakcji? Czeka tam na ciebie mała niespodzianka.”

Bez namysłu ruszyłam na piętro.

Rozdział 15

Zamek w drzwiach redakcji był otwarty — ktoś musiał być w środku. Zajrzałam do kuchni, a potem do studia, w którym spędziłam poprzedni wieczór w towarzystwie Adama. Wszystkie ogólnodostępne przestrzenie świeciły jednak pustką łącznie z salką konferencyjną. Może szef oczekiwał mnie w swoim gabinecie? Poczulałam mrowienie w podbrzuszu, ale nie mogłam zidentyfikować jego pochodzenia — był wynikiem ekscytacji czy raczej tremy?

By przedostać się do biura redaktora, musiałam minąć pokój Anki. Nacisnąwszy ostrożnie klamkę, wsunęłam głowę przez szczelinę w drzwiach, aby zajrzeć do środka. Najpierw w moje nozdrza wdarł się szorstki zapach dymu tytoniowego, a dopiero potem spostrzegłam dziennikarkę siedzącą na parapecie okna otwartego na oścież.

— Cześć — odezwałam się cicho. — Grzegorz jest u siebie?

— O, Marta... — powiedziała Anka, jakby nieobecna.

Zwróciła twarz w moją stronę. Odgarnęła włosy za ucho, odsłaniając dekolt wraz z wytatuowanymi na nim różami, które nachodziły nieco na szyję.

— Nie słyszałam, jak weszłaś. — Speszona w pośpiechu zgasiła papierosa i kilkoma szybkimi machnięciami próbowała rozgonić błękitny dym osnuwający jej sylwetkę. — Nie sądziłam, że przyjdiesz tu tak wcześniej, w dodatku bez Adama...

— A ja nie wiedziałam, że o tej porze zastanę tu ciebie. — Nie pozostałam jej dłużna.

— Mam nadzieję, że to... — Anka ruchem ręki zasymulowała palenie tytoniu — ...pozostanie...

— To nie moja sprawa — ucięłam temat. — Jest Grzegorz? — Wskazałam brodą drzwi w głębi pomieszczenia.

— Nie, byłam dzisiaj pierwsza. Miałam wpuścić ekipę monerską.

— Grzegorz pisał, że... — urwałam w pół zdania, zatrzymując wzrok na jednym z dwóch biur, ustawionych w pomieszczeniu. — ...Ekipę monerską!?

Mogłabym przysiąc, że jeszcze wczoraj wieczorem w pokoju Anki stało jedno biurko!

Impulsywnie potarłam oko.

— Nowa osoba w szeregach redakcji, a więc i nowe stanowisko pracy — powiedziała dziennikarka. — Nie cieszysz się, że będziemy razem pracować? Ja bardzo...! — Uniosła oczy do sufitu i potrząsając lekko głową, donośnie odetchnęła.

— Wczoraj, późnym wieczorem — postanowiłam zmienić temat — Adam pojechał powęszyć z Grzegorzem na Bulwar Staromiejski. Ponoć ktoś widział tam Palucha. Wiesz, jak im poszło?

— Aaa, to stąd te zdjęcia...

— Zdjęcia? — Otworzyłam szerzej drzwi i weszłam do środka.

Anka, widząc mnie w pełnej krasie, wymownie zamruęła.

— Zapomniałam wstawić pranie. — Wzruszyłam ramionami. — O jakich zdjęciach mówisz?

— Jeszcze ich nie widziałaś? Nie masz dostępu do naszej poczty?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

— Grzegorz nie dał ci firmowego laptopa?

— Nie...

— Pewnie jeszcze nie jest gotowy — oceniła. — Wiesz, szyfrowanie dysku i tak dalej. Chodź, pokażę ci na moim. — Ruchem dłoni zachęciła mnie, żebym podeszła do jej biurka, a sama uruchomiła swój komputer i zajęła miejsce na fotelu obrotowym przed nim.

Nieufnie ruszyłam z miejsca.

— O pierwszej dwadzieścia dwie szef przesłał na naszą główną skrzynkę serię zdjęć — powiedziała, zwracając notebooka w moją stronę.

Na moment zamilkła, pociągając intensywnie nosem.

— Robimy tak... — obrzuciła mnie skonsternowanym spojrzeniem — ...żeby mieć zapasową kopię zebranych materiałów. Potem zgrywamy wszystko na zewnętrzne dyski, które trzymamy w sejfach.

— W sejfach? — powtórzyłam zaskoczona. — To ile ich jest? — Mimowolnie rozejrzałam się po pokoju.

— Mamy ich kilka w całym mieście. — Odchyliła się na oparciu krzesła i zaczęła pstrykać długopisem. — To skrytki, które Grzegorz wynajmuje incognito w kilku miejscach. — Zmrużyła powieki i delikatnie uniosła kącik ust podkreślony krwistoczerwoną szminką.

Zdumiona znów odwróciłam wzrok w stronę otwartego laptopa.

Na ekranie widniała fotografia wykonana ukradkiem wewnątrz ekskluzywnej restauracji. Kadr ukazywał dwóch biznesmenów siedzących przy stoliku w głębi sali. Jeden z nich wyglądał na bandziora już na pierwszy rzut oka, choć wyraźnie starał się zachować wszelkie pozory niekaralności, o czym świadczył garnitur, w którym występował. Ale ten ubiór kompletnie nie pasował do jego nalanej i poczerwieniałej twarzy, która, jakby pozbawiona szyi, wyrastała wprost z kołnierzyka koszuli gotowego za moment pęknąć. To był Paluch. Od razu się domyśliłam.

— Tutaj widać naszego ptaszka. — Anka użyła długopisu jako wskaźnika, oznaczając postać Palucha.

— A ten to Ryszard Bednarczyk, prezes Biznespolu. — Skierowała długopis na postać drugiego z mężczyzn.

— Skąd wiesz? — Uderzyła mnie fala gorąca.

— Grzegorz napisał to w mailu — zarechotała Anka.

— Faceta zidentyfikował któryś z tajnych informatorów Grzeška.

— To dziwne, ale wydaje mi się, że ostatnio gdzieś mignęła mi nazwa tej firmy...

— Tak...?

— Nie jestem tego na sto procent pewna, muszę to jeszcze sprawdzić.

— Wyprostowałam się i odchrząknęłam.

Anka uniosła jedną ze swoich starannie wymodelowanych brwi.

— Byłoby dobrze, gdybyś zajęła się tym od razu — powiedziała władczym tonem. — To ważne. Już wystarczająco długo wyczekujemy przełomu w tej sprawie.

Wysłałam do kuchni. Szklankę napełnioną wodą z dystrybutora opróżniłam duszkiem, wspierając się ręką o ścianę. Otarłam usta i usiadłam za stołem. Z kieszeni wyjęłam smartfon, a w przeglądarce wstukałam nazwę firmy, którą podała mi Anka.

Gdy po chwili na ekranie wyświetliła się strona internetowa Biznespolu, natychmiast przeszłam do zakładki opatrzonej tytułem „Zarząd”. Na samym szczycie hierarchii prezentowało się zdjęcie eleganckiego mężczyzny w średnim wieku, a pod nim widniał podpis „Ryszard Bednarczyk, prezes zarządu spółki”. Przewinęłam galerię w dół i zatrzymałam się na zdjęciu puszystej asystentki Bednarczyka.

Przezucie mnie nie myliło.

Odłożyłam telefon i zabębniłam palcami w blat. Obym do wieczora nie wpadła w ręce policji... Cóż, w razie czego kontakty z Klaudią będzie musiała zacieśnić Anka. Albo Adam.

Ale do zachodu słońca wciąż pozostawało sporo czasu, a ja miałam do wykonania pewne zadanie.

Znów podniosłam smartfon. Za pomocą haseł, które poprzedniego dnia podał mi Adam, zalogowałam się na profile społecznościowe Karoliny Nowak, jednej z fałszywych tożsamości internetowych redakcji. Musiałam sprawdzić, czy serwisant „Best Monitoring”, na którego aktualnie polowałam, połknął zarzucony wczoraj haczyk.

Niestety, Kwiecicki nie sprawiał wrażenia osoby przesiadującej w social mediach, a wirtualne zaproszenia do grona znajomych, wysłane przez Adama, wciąż pozostawały bez odpowiedzi.

Wysunęłam z notesu wizytówkę serwisanta i wybrałam widniejący na niej numer. Po kilku przeciągłych sygnałach uruchomiła się automatyczna poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość z prośbą o kontakt w sprawie pilnego zlecenia.

Chwilę później Kwiecicki przysłał mi SMS-a zwrotnego z propozycją spotkania o siedemnastej w śródmieściu. Zadowolona potwierdziłam chęć

przybycia.

Kiedy byłam już na klatce schodowej, mój telefon znów się odezwał. Tym razem dzwonił Adam. Nareszcie! Przysiadłam na jednym ze stopni i, niby od niechcienia, wcisnęłam zieloną słuchawkę.

Rozdział 16

— Co tam? — zapytałam, symulując umiarkowane zainteresowanie odpowiedzią na moje dociekanie, co Adam potraktował jak zwykłe zagajenie rozmowy.

— Jakie plany na dzisiaj?

— Jestem jeszcze na Kampinoskiej, ale już wychodzę. Baśka od rana przewąchuje dom wicedyrektorki.

— O! Super! Właśnie miałem pytać, jak się ma sytuacja u Basi. A ty? Dokąd się wybierasz?

— Mam do załatwienia kilka spraw... — rzuciłam od niechcienia. — Właściwie to zamierzam uprzedzić pewne działania policji. Słyszałeś najnowsze doniesienia w sprawie morderstwa w „UrbanClass”?

— Chodzi ci o to, że policja wytypowała pierwszego podejrzanego?

— Właśnie. Już ja im udowodnię, że się mylą!

— Ale przecież nie wiemy, o kogo chodzi?

— Ja tam swoje wiem. — Pociągnęłam nosem. — Aha, na siedemnastą umówiłam się z Kwiecickim.

— O! I to jest wiadomość dnia! — Adam wyraźnie się ożywił. — Tylko pamiętaj, musimy być dyskretni, żeby go nie spłoszyć.

— Tak, wiem — chrapnęłam.

— Jestem go bardzo ciekaw... Gdzie konkretnie mamy się z nim spotkać?

— Myślę, że będzie lepiej, jak każde z nas skupi się na własnym śledztwie — odparłam chłodno. — Jeśli okaże się, że Kwiecicki świadomie działa na zlecenie Palucha, dam wam znać.

W końcu nie wytrzymałam:

— Chyba nie zamierzasz zaprzętać sobie głowy taką płotką, kiedy z Walczewskim macie na widelcu naprawdę grubą rybę?

Adam wymownie mruknął.

— Okej, czyli się gniewasz — ocenił trafnie. — Zupełnie niepotrzebnie, nie ma żadnego przełomu w sprawie.

— Może by był, gdybyście wczoraj mnie zabrali?

— Doceniam twoją inicjatywę, niestety nic ciekawego nie zaszło. Poza tym, że Paluch spotkał się z pewnym facetem... To było trochę dziwne, bo to biznesmen z ciut innej branży, na razie nie wiemy, czego może chcieć od niego Paluch. Póki co żadnego targu nie dobili.

— Być może wiem coś o tym drugim — oznajmiłam pojednawczym tonem.

— To znaczy?

— Chodzi o Bednarczyka, prezesa Biznespolu, prawda? — ściszyłam głos. — Anka pokazała mi zdjęcia. Słuchaj, my znamy jego asystentkę!

— Znamy...?

— To nasza nowa sąsiadka, Klaudia!

— Naprawdę? Skąd wiesz?

— Ze strony internetowej firmy — odparłam zadowolona. — Akurat dziś rano przypadkiem byłam pod szóstką. Widziałam w komputerze Klaudii ich logo. Poza tym ta nazwa już wcześniej rzuciła mi się w oczy.

Adam gwizdnął z uznaniem.

— Klaudia spod szóstki, mówisz?

— Jesteśmy umówione na wieczór. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Ale uprzedzam od razu, to ma być babskie spotkanie — oświadczyłam kategorycznie.

— Okej, luz. Może faktycznie coś się z tego urodzi... Ale Kwiecickiego ci nie odpuszczę.

— Dobra. Bądź na siedemnastą za Świebodzkim, tam gdzie wczoraj.

Gdy spojrzałam na zegarek, dochodziła już trzynasta. Musiałam się pospieszyć. W „UrbanClass” czekało na mnie zaświadczenie, na wystawienie którego nalegałam poprzedniego dnia. Musiałam je teraz

odebrać, w przeciwnym razie mój kretański wniosek rzuciłby na mnie kolejne podejrzenia, zresztą nie tylko u kierownictwa szkoły, ale przede wszystkim wśród policji. Tylko że...

Przebiegłam wzrokiem po swoim T-shircie i spodniach. Skoro jednak później miałam zobaczyć się z Adamem, to może powinnam skoczyć na poddasze i zabrać jakieś rzeczy na zmianę? Nie... — przecież wrócę do domu przed siedemnastą i wtedy spokojnie się przebiorę.

Powoli podeszłam do drzwi wyjściowych budynku. Nabrałam powietrza i ostrożnie wyjrzałam przez szybkę na zewnątrz. Wbrew obawom na ulicy nie dostrzegłam ani jednego podejrzanego przechodnia, żadnych obcych pojazdów. Odetchnęłam z ulgą, włożyłam na nos okulary przeciwsłoneczne i pewnym krokiem opuściłam budynek. Na Ślężnej złapałam dziewiątkę.

Wszystko szło jak z płatka, przynajmniej do chwili, aż ktoś w tramwaju chwycił mnie za nadgarstek. Niemal wrzasnęłam, ledwie unikając zawału.

Uff, to tylko jakaś starsza pani. Pytała, czy *mógłbym być tak uprzejmy* i przytrzymać jej wózek zakupowy. Sama musiała poszukać czegoś w torebce. Owszem, nie odmówiłam. Kiedy kilka przystanków dalej pomogłam jej bezpiecznie wysiąść, a na koniec podałam jej ów wózek, serdecznie się ze mną pożegnała, poufale nazywając mnie „synkiem”.

Po kilku kolejnych minutach jazdy dotarłam na plac Dominikański. Wmieszana w pulsujący tłum przechodniów poprawiłam daszek na czole i ruszyłam schodami do przejścia podziemnego. Ponownie wynurzywszy się na powierzchnię, spojrzałam w górę, na cyfry wyświetlacza na elewacji budynku NBP. Był już kwadrans po pierwszej. Minęłam ciąg lokali usługowych przy Oławskiej, bank i wreszcie całodobowy miejski parking przy Kazimierza Wielkiego z charakterystyczną wieżą zwieńczoną kilkoma strzelistymi ostrosłupami.

Już zbliżałam się do celu, a pod stopami wyczuwałam bruk Szewskiej, gdy wtem na światłach po przeciwnej stronie Przejścia Świdnickiego — dokładnie pod siedzibą „UrbanClass” — zatrzymał się radiowóz.

Przyspieszyłam kroku i przycupnęłam na jednej z ławek przed „Barbarą”, wtapiając się w grupkę ćwiczących w tym miejscu młodych

deskorolkowców. Po chwili auta znów ruszyły, a wśród nich wóz policyjny, którego falujące odbicie ślizgało się teraz po przyciemnianych szybach baru. Gdy samochód skręcił w Szewską, zwróciłam się w odwrotnym kierunku, do siedzącego obok towarzystwa.

Chłopcy pochylali się akurat nad telefonami i coś sobie na nich pokazywali. Kiedy wygięłam się w ich stronę, jeden z nich spojrzał na mnie z konsternacją.

— Ej, ziomek? — Kiwnął do mnie. — Co się interesujesz?

— Stary... — zwrócił się do niego kolega po prawej — Ty, to chyba dziewczyna...?

— Dziewczyna? — Ten pierwszy ostentacyjnie pociągnął nosem, wyciągając do mnie szyję.

Wykonałam tułowiem lekki unik. Smarkacze parsknęli śmiechem, a ja ukradkiem łypnęłam w prawo. Radiowozu, na szczęście, już nie było.

— Przepraszam, chłopaki... Z kimś was pomyliłam — wydyszałam do tamtych.

— Pani profesor...!? — usłyszałam za sobą. Odwróciłam się w kierunku, z którego dobiegał głos. Spod daszka czapki szczyrzył się do mnie Bartek, jeden z kursantów „UrbanClass”. Prawą stopę opierał na deskorolce. Spod rozpiętej koszuli z krótkim rękawem wyglądał nagi, chłopięcy tors.

— „Pani profesor”? — Tamci ryknęli śmiechem.

— Dzień dobry! — powiedział Bartek. Poczułam, jak w policzkach zagotowała mi się krew.

— Cześć, Bartek. — Instynktownie podkuliłam nogi, a ręce skrzyżowałam na wysokości brzucha, próbując ukryć przed uczniem swój niecodzienny outfit.

— O! Nie wiedziałem, że pani też siedzi w takich klimatach... — Energicznie depnął na tył deskorolki, przyciskając ją do ziemi, aż ta podskoczyła, a jej przednia krawędź trafiła do ręki chłopaka.

— Daj spokój z tą „panią”... — wybąkałam, ledwie poruszając ustami.

— Okej! — zgodził się ochoczo. — Widzę, że ty i moja ekipa już się znacie? — Wskazał kolegów brodą. — Chłopaki są naprawdę dobrzy, mogą

nauczyć cię kilku podstawowych tricków.

— Dzięki, jestem już umówiona ze swoimi. Ale oni są chyba jednak na placu Wolności, musiałam coś pomylić...

— Aaa, to może później się zobaczymy! No nie, chłopaki?

— Jasne. — Tamci nadal nie mogli opanować śmiechu.

— Dobra, to na razie! — odparłam i puściłam się w stronę Przejścia Świdnickiego.

Odkąd przebudowano je w 2016, korzystałam prawie wyłącznie z nowych pasów na jezdni, ale tym razem tunel okazał się znacznie lepszą alternatywą.

Zbiegłam schodami do podziemnego korytarza. Gdy tylko panujący wewnątrz półmrok objął moją sylwetkę, zatrzymałam się, chwyciłam dekolt T-shirtu i zaczęłam nim energicznie wachlować. Po chwili ponownie wyłoniłam się na powierzchnię — tym razem po drugiej stronie ulicy. Lawirując wśród stłoczonych przy przejściu przechodniów, sprawnie przemknęłam do wejścia budynku, w którym znajdowała się siedziba „UrbanClass”.

Życie właścicieli i pracowników biznesów, mieszczących się w tym samym gmachu, zdawało się wrócić do równowagi po ostatnich nalotach dochodzeniówki, mediów i zgrai ciekawskich obserwatorów. Świadczyło o tym to samo co zwykle natężenie biurowej wrzawy, która jeszcze wczorajszego ranka zdawała się być zatrzymana w swoistej hibernacji. Jedynie drugie piętro, na którym znajdowała się nasza placówka, nadal osnuwała niczym niezmacona cisza.

Jeszcze do niedawna tętniąca życiem szkoła sprawiała teraz wrażenie opuszczonej. W powietrzu migotały oświetlone blaskiem słońca drobinki kurzu. Stare mury sprawiały wrażenie pogrążonych w głębokim śnie. Za szybą dyżurki tkwiła kartka z odręcznym napisem „Zaraz wracam”. Pokój nauczycielski świecił pustką, a wejścia do biblioteki wciąż strzegła policyjna taśma. Nieczynny okazał się również sekretariat, a tym samym gabinety obu dyrektorek.

Zdezorientowana wyjęłam z kieszeni telefon komórkowy i wybrałam w nim kontakt do Krzyśka.

Krzysiek zawsze był świetnie poinformowany we wszelkich kwestiach dotyczących życia szkoły. Uznałam, że może i tym razem będzie coś wiedział.

— Nie mam pojęcia, gdzie są wszyscy. — Od razu rozwił moje nadzieje. — Za to mam świeże ploteczki. Jak nie masz nic do roboty, to zapraszam do mnie.

— A wiesz, że chętnie wpadnę? — Wycofałam się spod drzwi sekretariatu i ruszyłam korytarzem w stronę wyjścia. — Dawno nie byłam na Nadodrze. Poza tym mam do ciebie pewną sprawę. Wyślij mi swój dokładny adres, niedługo będę.

Moment był idealny, by zweryfikować informacje o dziwnym zachowaniu Krzyśka w dniu morderstwa.

— Okej, widzimy się.

Kiedy zakończyłam połączenie, zza zakrętu przy schodach wyłonił się pan Tadeusz. Doskonale!

Zwolniłam kroku, by dać mu szansę na zajęcie wygodnego miejsca w dyżurce.

Rozdział 17

Jeśli istniała osoba, która wiedziała o każdym kichnięciu w murach naszej szkoły, niewątpliwie był to ktoś z dyżurki. Dopiero teraz, gdy z daleka obserwowałam pana Tadeusza, przyszło mi do głowy, że to właśnie portiernia mogła być źródłem informacji, które Krzysiek notorycznie rozpuszczał wśród reszty pracowników „UrbanClass”. Jednak w przypadku mojego wąsatego kumpla postawiłabym na jego zażyłą znajomość nie z panem Tadkiem, a z Żanetką, która pracowała na porannych zmianach.

— Dzień dobry! — Nachyliłam się do okienka. — Pan dzisiaj sam?

— Tak, prawie od rana sam. Dyrektorki dostały pilne wezwanie do ratusza.

— Jak to od rana? A co z Żanetką?

Do południa wartę powinna pełnić przecież ona. Tak samo jak i tamtego dnia, kiedy ktoś zasadził się na trenera. Powinna być tu i dzisiaj.

— Żanetki nie ma i nie będzie. — Pan Tadzik rozłożył ramiona. — Ponoć dostała lepszą fuchę, no to wzięła i się zwolniła. Póki nie wyjaśni się ta cała chryja... — brodą wskazał kierunek, w którym znajdowała się biblioteka — ...dyrektorce nie opłaca się szukać nikogo na jej miejsce. Szkoła i tak już długo nie pociągnie, to lepiej złapać dodatkowy grosz na zaś, prawda?

— No jasne... — Spuściłam ramiona.

— A pani...? — Zmierzył mnie z zainteresowaniem. — Też gdzieś dorabia?

— Tak, w logistyce — odparłam, udając, że poprawiam daszek czapki. — Wie pan co? Byłam umówiona z sekretarką, ale zdaje się, że o tym zapomniała...?

— A, właśnie. Sekretarka coś pani zostawiła... — Sięgnął na jedną z półek regału ustawionego w głębi dyżurki i podał mi zaklejoną kopertę

opatrzoną moimi danymi.

Nie otworzywszy jej, wcisnęłam ją do tylnej kieszeni spodni i pożegnałam się z portierem.

Po wyjściu ze szkoły sprawdziłam w smartfonie lokalizację adresu, który przesłał mi Krzysiek.

Przeglądanie mapy przerwał mi telefon Basi.

— Masz coś? — zapytałam od razu.

— I tak, i nie.

— Możesz swobodnie gadać?

— Aha, wracam już do domu. Wiesz co...? Domy przed metamorfozami w Perfekcyjnej Pani Domu to pikus przy sajgonie u twojej szefowej! — Basia ryknęła śmiechem.

— Serio...? Przepraszam, nie miałam pojęcia, że wpuszczam cię na minę!

— Daj spokój, przynajmniej coś dorobię. A tak poważnie, dzięki temu mam mnóstwo sposobności do węszenia! A jest co rozpracowywać. Słuchaj, w rodzinie Wysockich jest jakiś konflikt. Wygląda na to, że mąż twojej szefowej nieoczekiwanie się ulotnił, z kolei córka ma pretensje do matki...

— Może to z winy pani Bożeny odszedł ojciec?

— To chyba nie to.

— Skąd taki wniosek?

— On chyba ma kochankę...

— Co?! — wrzasnęłam. — Skąd wiesz?

— Młoda Wysocka myślała, że to ja nią jestem. Kiedy rano zadzwoniłam do drzwi, nie chciała wpuścić mnie do środka! Krzyczała, że razem z matką puszcza starego w skarpetkach. Wysocka chyba nie zdążyła powiedzieć córce, że zatrudniła nową pomoc domową... — Basia znów zanosła się śmiechem.

— Coś jeszcze?

— Na razie tyle. A teraz jedyne, o czym marzę, to zimny prysznic. Jutro czeka mnie pranie dywanów, firanek i zasłon... — chrapnęła. — A ty?

— Właśnie idę do Krzyśka. Podobno ma nowe informacje ze szkoły. A o siedemnastej widzę się z Kwiecickim, wiesz, tym z „Best Monitoring”.

— Mar?

— No?

— Tylko bądź ostrożna.

— Spokojnie, będzie ze mną Adam.

— Adam? A czy ty przypadkiem...

— Nie martw się. — Zaczekałam językiem. — Wcześniej pójde do domu się przebrać.

— Okej. W razie czego będę pod telefonem.

— Bez przesady, potrafię zmienić spodnie!

— Mam nadzieję — parsknęła Basia. — Choć miałam na myśli twoją akcję.

— No tak. Jakby co, będę dzwonić.

Zachowując wszelką czujność, skręciłam na przystanek tramwajowy przy Widoku. Tam wsiadłam do siódemki, przejechałam przez Szewską wzdłuż rynku i minawszy Most Uniwersytecki, wysiadłam na Dubois. Trójwymiarowy mural przy skrzyżowaniu Drobnera i Łokietka, otwierający niewidzialną bramę do tej części miasta, zapraszał, a ja podażyłam w jego kierunku.

Ulicę, przy której mieściło się mieszkanie Krzyśka, osłaniały z obu stron historyczne kamienice, kryjąc ją przed słońcem. Niektóre z budynków prezentowały wspaniale odrestaurowane elewacje. Minęłam kilka pracowni artystycznych oraz szereg tradycyjnych zakładów usługowych. Znalazłszy ukryte pośród nich przejście, skręciłam na usytuowane w głębi podwórko.

Zabudowania mieszkalne otaczały betonowy dziedziniec z trzech stron. Z tyłu sytuował się parking, zorganizowany na niezagospodarowanej przestrzeni otwartej. Zadarłam głowę. W pootwieranych na oścież oknach tu i ówdzie wietrzyła się pościel. Wysoko, na specjalnych, zewnętrznych stelażach przytwierdzonych do parapetów schło rozwieszane pranie. W powietrzu mieszały się zapachy domowych

obiadów — kotletów mielonych, młodych ziemniaków z koperkiem i pomidorowej.

Ktoś otworzył bramę, której numer wskazał mi wcześniej Krzysiek. Ziemia zadrżała pod ciężarem tramwaju przejeżdżającego ulicą biegnącą wzdłuż kamienicy. Z budynku wyszło dwóch młodych mężczyzn w odblaskowych kamizelkach. Gdy tylko mnie minęli, przyskoczyłam do drzwi, przytrzymując je dłonią, zanim te zdążyły się zatrzasnąć. Przelotnym ruchem ręki przycisnęłam na domofonie odpowiedni guzik, by zaanonsować Krzyškowi swoje przybycie, po czym wśliznęłam się do środka.

Z powodu bijącej w nozdrza stęchlizny odruchowo odciąłam dopływ powietrza do nosa i ruszyłam schodami w górę obskurnej klatki schodowej.

Rozdział 18

— Ej, chłoptasiu...! — odezwał się ochryplym głosem siedzący na półpiętrze zakapior, odsłaniając w obleśnym uśmiešku swoje wybrakowane uzębienie. — Zgubiłeś się?

Było ich dwóch. Wokół wałały się puste puszki po piwie, zmięte paczki po tanich papierosach i masa zdeptanych petów.

Drugi z żuli zawtórował pierwszemu końskim rzeniem.

Zabrakło mi tchu.

— Zenek, idźcie się przewietrzyć! — Zza winkła u szczytu schodów wyrzała głowa z twarzą Krzyśka.

Rozpoznałam go z trudem z powodu braku francuskiego wąsa, nieodłącznego atrybutu mojego kumpla z „UrbanClass”.

Spojrzeniem dałam mu do zrozumienia, że jeśli mam wykonać jakikolwiek ruch, to tylko w tył zwrot. Krzysiek wyłonił się z mieszkania, włożył gumowe klapki pozostawione przy wycieracze i zszedł po schodach, by eskortować mnie na górę.

— A ty co? — Gdy weszliśmy do mieszkania, wlepiłam wzrok w górną wargę Krzyśka, która po zniknięciu osłaniającego ją wcześniej zarostu sprawiała wrażenie lekko podpuchniętej. — Twarz z tyłkiem zamieniłeś?

— Taa, wygląda na to, że nie tylko mi brakuje wąsów... — Krzysiek obrzucił mnie kąśliwym spojrzeniem. — Niezła stylówka. To teraz biegasz ze sprayem z chłopakami z osiedla i tagujesz ławki, tak?

— Yhm, mniej więcej.

Krzysiek począłapał korytarzem przed siebie, a ja za nim. Minęliśmy szafkę na buty, wieszak z kurtkami, zarzucony na krzesło kostium maskotki WKS-u „Śląska” Wrocław, trzy rowery oparte o ścianę nieco dalej i wreszcie wciśnięte w kąt... oznakowania drogowe.

— Ty, Krzysiek! Ja przed chwilą widziałam chyba twoich współlokatorów, na dole, dwóch chłopaków w żółtych kamizelkach odbłaskowych...

— Tak, to oni — mlasnął. — W końcu wymyślili, jak to wszystko odkręcić... To znaczy: przykręcić. Dobrze, nie? — Zaniósł się śmiechem.

Krzysiek poprowadził nas do kuchni. Na patelni skwierczały kawałki panierowanego kurczaka, a zaraz obok, na blacie, leżało opakowanie po gotowym daniu. Krzysiek napił się piwa z butelki, a drewnianą łopatką obrócił zawartość patelni.

Weszłam głębiej, otworzyłam na oścież uchylone do tej pory okno i zająłam jedno z krzeseł okalających stół ustawiony obok.

Do pomieszczenia wdarł się jazgot ulicy.

— Mogłeś mnie uprzedzić, że kręcą się tu niebezpieczne typy — zagadnęłam Krzyśka.

— A ty pierwszy raz na Nadodrze jesteś? — Nie pozostał mi dłużny. — Taki urok dzielnicy. Chociaż muszę przyznać, że w ostatnim czasie i tak się tu trochę poprawiło. Chcesz browara?

Zerknęłam na zegarek. Wierna zasadzie, w myśl której damy i dżentelmeni nie piją przed południem, postanowiłam skorzystać ze szczodrości kumpla, zważywszy na fakt, że minęła już czternasta.

— A masz coś lekkiego?

Krzysiek otworzył lodówkę i obejrzał etykietę jednego z piw.

— Może być czteroipółprocentowy pils?

— Pewnie, idealnie.

Za pomocą wyjętego z kieszeni klucza, Krzysiek podważył kapsel, który odskoczył z sykiem, wypchany gazem zgromadzonym wewnątrz butelki. Piwo postawił przede mną, a sam wrócił do doglądania swojego obiadu. Po chwili zgarnął nuggetsy na talerz, zerwał wieczko z opakowania gotowego sosu i siadając naprzeciwko mnie, zapytał:

— Dalej nie jesz mięsa, no nie?

Potwierdziłam ruchem głowy.

— No i git, będzie więcej dla mnie. — Zarechotał, po czym wgrzył się w pierwszy kąsek.

Krzysiek poprosił, żebym umiliła mu posiłek swoją relacją z wizyty, którą dwa dni wcześniej złożyła mi policja.

Kiedy moja opowieść dobiegła końca, zwierzyłam się ze swoich obaw wywołanych najnowszymi doniesieniami mediów, a tym samym wyjawiałam powód mojego odmiennego wyglądu, który przecież nie umknął jego uwadze.

— Chyba żartujesz? — Krzysiek ryknął śmiechem.

— Szczerze? Jestem prawie pewien, że to o mnie im chodzi. — Zamoczył przedostatni kawałek kurczaka w resztkę sosu BBQ, wsunął go do ust i szybko przeżuł. — Żałuj, że nie było cię przy tym, jak ta policjantka mówiła, że ona *wie*, że to ja pozbyłem się Lempara. Wprawdzie do obciążających mnie dowodów jeszcze nie dotarła, ale to drobiazg — miało jej to zająć maks trzy dni. Siedziała o tu, gdzie ty teraz, i mówiła, żebym szykował się na kolonie w ich specjalnym ośrodku wypoczynkowym na Podwalu. — Parsknął śmiechem.

— Jak to? To przecież nie ma sensu.

— Ma, ma! Wszystko dzięki temu, że zgodnie z zeznaniami innych lektorek żywiłem do Lempara jawną niechęć. Argument, że po prostu nie trafiało do mnie jego poczucie humoru, Zaremby nie przekonuje, choć zdaje się, że nie byłem w tym względzie odosobnionym przypadkiem. — Łypnął na mnie znacząco. — Ale być może gliny o tym nie wiedzą i niech tak zostanie — dodał pod nosem. — Zdaniem pani komisarz mogłem czuć zagrożenie ze strony trenera, bo do tej pory byłem wśród naszej kadry samcem alfa. — Zarżał rubasznie.

— I tu dochodzimy do tego, że według niej, jako jedyny mężczyzna wśród lektorów „UrbanClass”, to właśnie ja miałem predyspozycje do tego, żeby zadać Lemparowi śmiertelny cios...

— Wśród lektorów może rzeczywiście. Ale co z panem Tadkiem?

— Ponoć ma niepodważalne alibi. — Krzysiek nabił na widelec ostatni kęs mięsa i zbliżył go do ust. — Ale nie znam szczegółów. Tak czy inaczej, jeśli do tego wszystkiego dodać fakt, że po tym, jak ty też poszłaś już do

domu — wskazał na mnie ostrzem obiadowego noża — a ja z przyczyn fizjologicznych udałem się do wucetu, więc w pewnym sensie byłem na miejscu zbrodni, to można by wnioskować, że to właśnie ja jestem zabójcą.

— Co!? A mi mówili, że ostatnią osobą, w towarzystwie której, zgodnie z zapisem z monitoringu, przebywał trener, byłem ja! — Próbując opanować rozbiegane spojrzenie, szybko przełknęłam kilka kolejnych łyków piwa.

Krzysiek zmarszczył brwi.

— To znaczy... Zakładam, że taki wniosek wysnuli właśnie po sprawdzeniu szkolnych taśm. No bo niby skąd mieliby o tym wiedzieć?

— Czyli nie powiedzieli ci wszystkiego — stwierdził Krzysiek. — Kamery w szkole szwankowały już od dawna, a od trzech tygodni to był jakiś cyrk. Na początku zepsuły się te przy portierni i w salach wykładowych. Z kolei te w korytarzach, w pokoju nauczycielskim i w bibliotece przestały działać dokładnie w zeszły czwartek, czyli na dzień przed tym, jak ktoś sprzątnął Lempara. — Upił łyk apy. — Podobno dyrekcja zgłaszała to do serwisu, jak jeszcze część kamer była na chodzie, ale wtedy nikt się nie pofatygował, żeby to sprawdzić.

— Faktycznie... Wczoraj rozmawiałam z panem Tadzikiem. Coś o tym wspominał, tylko jakoś nie dopytałam go o szczegóły. Ale skoro tak — zapytałam po chwili namysłu — to skąd gliny wiedzą o tym, że rzekomo to ja byłam ostatnią osobą, z którą rozmawiał trener? No i dlaczego tobie sugerują, że to byłeś ty?

— A kto powiedział, że coś takiego mi sugerują? — Krzysiek uniósł ramiona. — Swoją wizytę w kiblu na wszelki wypadek przemilczałem. — Otrzepał dłonie po skończonym posiłku. — I tak nie wniosłoby to do śledztwa niczego ważnego, a rzucanie na siebie niepotrzebnych podejrzeń byłoby czystą głupotą. Mogą się pocałować! — Zarechotał. — Ani przeciw tobie, ani przeciw mnie nie mają żadnych dowodów. Ani że byliśmy tego dnia w bibliotece, ani tym bardziej, że było to mniej więcej o tej porze, kiedy doszło do morderstwa — powiedział. — Więc dopóki sami im tego

nie powiemy, mogą jedynie snuć domysły. — Znow napił się z butelki i głośno odetchnął, delektując się smakiem rzemieślniczego piwa.

Zaczęłam się krztusić.

— O matko... — wymamrotałam.

Jeszcze przed momentem nieco rozmyta myśl stała się czytelna i dobitna — na własne życzenie zostałam główną podejrzaną dochodzeniówki. Ale zalewające mnie teraz uczucie zaniepokojenia było spowodowane czym innym. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Krzysiek wie w całej sprawie znacznie więcej, niż mówi.

A jeszcze dwa dni wcześniej z pełnym przekonaniem ręczyłam za niego przed policją!

— Zdaje się... — Krzysiek znow się odezwał — ...że o czymś jeszcze chciałaś ze mną pogadać? Jestem bardzo ciekaw, co to za sprawa.

— A, tak... — Przyjrzałam mu się przez moment. — Wczoraj spotkałam w szkole Beatę i Kamilę — powiedziałam z naciskiem. — O panu Tadziku już wiesz...

— Czekaj, Beata to ta nowa z biblioteki? — Zainterесował się Krzysiek. — Ładna jest. — Uśmiechnął się łakomie.

— Tak, to ta. — Potrząsnęłam głową z politowaniem. — Ale ona nic nie wie, nie było jej w „UrbanClass” w zeszły piątek.

Krzysiek z widocznym wysiłkiem próbował zachować opanowanie. Jednak krew, która naraz zawrzała pod jego skórą, zdradziła niepokój, nadając jego twarzy i uszom niemal purpurowy odcień.

Mój kumpel był bardzo bystry. Dlatego go lubiłam.

— Domyślasz się, co powiedziała mi Kamila, prawda? — zapytałam wyzywająco.

— Niech zgadnę... Że wpadliśmy na siebie w pokoju nauczycielskim? — Krzysiek odpowiedział zmienionym głosem.

— Zgadza się. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, jak szybko się ulotniłaś. Zupełnie jakby jej obecność z jakiegoś powodu cię spłoszyła. To miało związek z tym czymś, co akurat płukałeś w umywalce, prawda?

Mimo wszystko wciąż liczyłam na to, że jednak istnieje jakieś banalne wytłumaczenie tej sytuacji.

— Przez grzeczność nie zaprzeczę... — odparł, prostując się na krześle.

Przez jego twarz przebiegł cień uśmiešku, który kazał mi sądzić, że w jego głowie właśnie zrodził się pomysł, jak to wszystko wytłumaczyć.

— Jakby ci to powiedzieć... — urwał w środku zdania.

— Po prostu.

— Okej, skoro nalegasz. — Wzruszył ramionami i zrobiwszy dłuższą pauzę, upił kilka sporych łyków piwa. — Jak już wcześniej wspominałem, po tym jak ty i ja się pożegnaliśmy, musiałem pójść do wucetu. — Budowałam napięcie, a ja zaczynałam się trochę denerwować. — No więc poszedłem tam, wiadomo, za potrzebą.

— Mrugnął do mnie porozumiewawczo, nabierając filuternego wyrazu twarzy. — No i jak już zrobiłem, co trzeba (oczywiście mam na myśli wizytę w kiblu, absolutnie nie ma to żadnego związku z Lemparem, którego nie spotkałem ani po drodze do toalety, ani z niej wracając), to poczułem, że w powietrzu unosi się jakiś taki dziwny zapach... — Zamyślił się przez chwilę.

— To znaczy, nie sam zapach był dziwny, a fakt, że było go czuć w bibliotece. W kiblu jakoś go nie czułem. — Poglądził się po ogolonej brodzie. — Tak czy inaczej to coś okropnie mnie uczuliło, zacząłem strasznie kichać. Zanim wróciłem do pokoju nauczycielskiego, smarkałem aż miło. W wucecie wyzerowałem papier, więc musiałem przepłukać nos pod kranem. I to był błąd. Widzisz, chodzi o to, że cóż — chrząknął — mam pewien kompleks...

— Kompleks? Niby jaki?

— Jestem ledwie po trzydziestce... — nerwowym ruchem ręki musnął skórę ponad ustami, jakby szukał swojego wąsa — ...a już jestem prawie całkiem siwy! — jęknął.

— Serio...?

— Niezłe jaja, co? — Założył ręce na torsie i uciekł wzrokiem w bok.

— Zwariowałaś, nie o to mi chodzi!?! Po prostu nie wierzę, że masz z tego powodu jakiś kompleks!

— No to już wiesz — bąknął.

— Daj spokój! Wiesz, ilu ludzi siwieje jeszcze przed trzydziestką? Poza tym akurat facetom dodaje to zwykle uroku...

— Poważnie? — Podniósł na mnie wzrok. — Tak czy siak, jak zapewne pamiętasz, moje wąsy były... kasztanowe — powiedział smętnie.

Na moment zmrużyłam powieki.

— No tak.

— Koloryzowałam je — wycedził Krzysiek przez zaciśnięte wargi.

— W sensie farbowałaś? — Chciałam uściślić.

— Właśnie nie! — chrapnął Krzysiek. — Koloryzowałam je takim specjalnym pudrem do włosów. Zmywalnym. No więc wyobraź sobie tę katastrofę, kiedy pod wpływem impulsu zaczęłam czyścić pod kranem nos z giłó! —

— Pigment zaczął puszczać?

— Tak! — Krzysiek wykrzyknął głosem pełnym rozpacz. — Wyglądałam jak jeden ze stu dalmatyńczyków! Białe wąsy w czarne plamki!

— Dalmatyńczyków było sto jeden...

— Co?

— „101 dalmatyńczyków”.

Krzysiek przewrócił oczami.

— Wyobrażasz sobie tę kompromitację? — ciągnął. — Musiałem jak najszybciej to zmyć. Woda zaczęła płynąć mi wszędzie: po rękach, po łokciach, czułem ją nawet pod pachami! Wtedy do pokoju weszła Kamila...

— Przepraszam, ale muszę zapytać. — Z trudem zachowałam powagę — dlaczego nie używałaś normalnej farby do włosów? Takiej, która by się nie zmyła?

— Żartujesz? Codziennie miałbym siwe odrosty! To nie brwi, które wystarczy potraktować henną raz na dwa, trzy tygodnie.

Dotąd nie znałam Krzyśka od tej strony. Wyglądało na to, że w temacie pielęgnacji urody wiedział znacznie więcej ode mnie.

— Po tej hecy postanowiłem je zgolić. Fakt, lubiłem je, dziewczyny też. Niestety za dużo było przy nich roboty. Ale bez nich też wyglądałam całkiem spoko, no nie? — W jego oczach zatlił się cień nadziei.

— Naprawdę niczego ci nie brakuje — odparłam wymijająco. — Słuchaj, a ten zapach w bibliotece? — Zmieniłam temat. — Co to mogło być?

— Nie wiem. — Wydał usta. — Był trochę duszący, ale nawet przyjemny.

— A coś więcej?

— Nie znam się zbytnio na nutach zapachowych. — Skrzywił się. — Był taki trochę... No nie wiem... Może arabski?

— Arabski? — Podniosłam zmarszczoną brew. — I nie zainteresowało cię, skąd taki zapach wziął się w naszej bibliotece?

— Wielkie mi halo... To oczywiste! To był nowy odświeżacz powietrza. W dodatku taki, na który mam potworne uczulenie. — Pociągnął nosem. — Będę musiał poprosić sprzątaczkę, żeby go zmieniła.

— O ile wcześniej nie zamkną szkoły.

— O ile.

— Podobno niektórzy zaczęli już szukać nowej pracy. A wiesz, że Żanetka się zwolniła?

— Taa, słyszałem. Ponoć zatrudniła się w tym czarnym biurowcu przy Piotra Skargi.

— Tak nagle? Jeszcze wczoraj widziałam ją na porannej zmianie.

— Już od jakiegoś czasu szukała innej fuchy. Ponoć w „UrbanClass” zarabiała grosze. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Wiesz, że nasza dyrektorka wyznaje zasadę: „Maksimum wysiłku, minimum zadowolenia”. — Wybuchnął szyderczym śmiechem.

— A okres wypowiedzenia?

— Na umowie śmieciowej? Proszę cię!

— Znasz dużo szczegółów na temat sytuacji zawodowej Żanetki — rzuciłam zaczepnie z błąkającym się na ustach uśmiechem.

Krzysiek wzruszył ramionami.

— Ponoć wczoraj była u ciebie Aga?

— Gadaliście? — podjęłam.

Krzysiek potwierdził skinieniem głowy.

— Nie odniosłeś przypadkiem wrażenia, że Agnieszka dziwnie się zachowuje?

— Chciałem cię zapytać o to samo i, szczerze mówiąc, myślałem, że to o to ci chodziło... — odparł. Nachylając się lekko w moim kierunku, oparł łokcie o blat stołu. — Do tej pory Aga zawsze przeżywała wszystko tygodniami. A teraz? To jej opanowanie, zwłaszcza gdy chodzi o unicestwienie obiektu jej uczuć, jest wprost niewiarygodne. Coś musi być na rzeczy — zawyrokował.

— Mam podobne odczucia — przyznałam. — Ale z drugiej strony... Agnieszka miałaby coś zrobić trenerowi, za którym tak szalała? Chociaż... — zawahałam się. — Wiesz co, Beata mówiła, że ponoć Lempar po cichu się z niej śmiał...

— Z kogo? Z Agi? Niby dlaczego?

— Z powodu jej tuszy. No i tych jej zalotów...

— W takim razie może się o tym dowiedziała i puściły jej nerwy?

— Coś ty, jakbyś nie znał Agi. Prędzej zapłakana zamknęłaby się w toalecie.

— Sama widzisz. — Krzysiek rozparł się w krześle. — Obecność Agnieszki w okolicach miejsca zbrodni jest całkiem prawdopodobna, a my po prostu nie wiemy, co zaszło. Może to był wypadek?

— Przestań... — Posłałam mu zaniepokojone spojrzenie. — A jej eks? Wspominała ci, że się zeszli? Ponoć z tego powodu z trenerem przeszło jej, jak ręką odjął.

— Myślisz? — Cmoknął językiem. — A jeśli to tylko zasłona dymna?

Rozmowę przerwał nam powrót współlokatorów Krzyśka.

Jak oni się chichrali! Byłam pewna, że pochyleni trzymają się za brzuchy. Ale nie widziałam ich z miejsca, które zajmowałam za kuchennym stołem.

— Jak wam poszło? — Krzysiek razem z oparciem krzesła przechylił się w tył i zajrzał przez otwór drzwiowy do przedpokoju.

— Ogarnięte, kamizelki robią robotę! — Chłopcy znów wybuchnęli śmiechem.

— Inżynierzy...! — zaśmiał się Krzysiek i postawił krzesło z powrotem na wszystkich czterech nogach.

W przedpokoju rozległ się odgłos uderzania metalem o metal.

— Jeszcze idziecie!? — Czekaając na odpowiedź, Krzysiek podniósł oczy.

— Jak dobrze to rozegramy, to do szóstej będzie po sprawie!

Zerknęłam na zegarek. Niech to szlag! Zerwałam się jak oparzona.

— Piwko i fajrant! — dodał drugi, chichocząc.

Drzwi mieszkania trzasnęły.

— A tobie co się stało? — Krzysiek zmarszczył brwi.

— Strasznie się zasiedziałam! Nie wiedziałam, że jest już tak późno, a na piątą jestem umówiona na Świebodzkim! Przedtem miałam zahaczyć jeszcze o mieszkanie!

— No to na Kampinoską już nie zdążysz.

— No właśnie wiem! — Szarpnęłam Krzyśka za ramię, dając mu do zrozumienia, że potrzebuję eskorty.

Odprowadzona w dół klatki schodowej, opuściłam kamienicę i szybkim krokiem udałam się w kierunku głównej ulicy, a dalej w stronę rzeki. Ledwie zdążywszy na zielonym, przebiegłam przez wytarte pasy na jezdni i w ostatniej chwili złapałam tramwaj odjeżdżający z pobliskiego przystanku. Eklektyczne zabudowania Nadodrza niknęły za moimi plecami, ustępując miejsca nowoczesnym budynkom przy Dubois. Znów minęłam Most Uniwersytecki wraz z zacumowanymi w dole barkami restauracyjnymi tętniącymi gwarem wakacyjnych spotkań. Spokojną toń Odry mąciły rozpedzone motorówki i sunące leniwym tempem kilkusobowe łódki wycieczkowe.

Na Nowym Świecie, zaraz przy Krześle Kantora, tramwaj nieoczekiwanie się zatrzymał. Świetnie. Przeszłam do przedniej części wagonu. Stamtąd dojrzałam ciągnący się na całej długości zakrętu

granatowoniebieski sznur pojazdów MPK. Mrugały światła awaryjne. Pewnie brak prądu albo wykolejony tramwaj. Gdy po kilku minutach bezcelowego oczekiwania motorniczy wreszcie zwolnił blokadę drzwi, natychmiast ruszyłam w kierunku Orłąt Lwowskich pieszo. Na Świebodzki dotarłam na krótko przed piątą.

Na dawnych peronach tłoczyli się goście tutejszego food courtu. Kołyszące dźwięki muzyki klubowej mieszały się z gwarem rozmów, wypełniając dziedziniec otoczony z trzech stron murami kompleksu byłego dworca kolejowego. Część gości zajmowała leżaki wystawione na zewnątrz. Popijając chłodne napoje, dyskutowali na tematy, których nie mogłam dosłyszeć ze względu na dzielący nas dystans oraz rozlegające się za moimi plecami odgłosy ulicznego ruchu, które wdzierały się na plac wąskim przejściem od wschodu.

Wtem ktoś zaszedł mnie od tyłu. Nim zdążyłam się odwrócić, oczy przysłoniły mi czyjeś dłonie. Poczułam znajomą woń męskich perfum. I bez tego wiedziałam, że to Adam.

— Mógłbym przysiąc, że wciąż mną pachniesz — zamruczał mi nad uchem.

Ujęłam jego rękę i z uczuciem dzikiej radości powoli wyswobodziłam się z jego ramion.

— Nie tobą, tylko mężem Klaudii, naszej nowej sąsiadki.

— Co?! — Adam gwałtownie się cofnął.

— Spryskała mnie jego perfumami, żeby uwiarygodnić moją przykrywkę. — Okręciłam się wokół własnej osi, by zaprezentować swój kamuflaż.

— Nie przeczę — jesteś wyjątkowo przekonująca — odparł Adam, pokazując zęby w szerokim uśmiechu.

— Mówisz serio czy ta stylówka jest do kitu? — Oblał mnie pąs.

— Mówię poważnie, trudno cię rozpoznać, jestem pod wrażeniem!

— To skąd wiedziałeś, że to ja?

Adam się roześmiał.

— Zwróciłaś moją uwagę jeszcze na Świętego Antoniego.

— Szedłeś za mną!?

— Tak wyszło. — Szczerząc się, wzruszył ramionami. — Nie od razu wpadłem na to, że ty to ty.

— No to jak się zorientowałaś?

— Powiedzmy, że ciut za bardzo zaangażowałaś się w pracę ciała... — Mrugnął do mnie.

— To znaczy...!?! — Poczułam, jak zalewa mnie fala palącej zenady.

— Trochę za mocno się bujałaś. Zbyt intensywnie kołysałaś barkami, ciut za bardzo chodziła ci głowa.

— Co...?! — Otworzyłam usta, opuszczając dolną szczękę. Na twarzy byłam już purpurowa.

— Nauczysz mnie wyciągać w ten sposób szyję? — Adam próbował naśladować pewien charakterystyczny ruch.

— Przestań! — Skryłam twarz w dłoniach i wybuchnęłam nerwowym śmiechem.

— Ale ja cię nie przedrzeźniam! — Delikatnie ujął mnie za rękę i przyciągnął do siebie — To było genialne! Nie znam drugiej tak naturalnej dziewczyny — wyszeptał.

Poczułam we włosach ciepło jego oddechu. Zawirowało mi przed oczami, lecz nagle oprzytomniałam, gdy w tym młynie wychwyciłam logotyp „Best Monitoring” widoczny na tyle koszulki mężczyzny, który opierał się o jeden z żelaznych słupów podtrzymujących zadaszenie starego peronu.

Wyprostowałam się, na co Adam zareagował rozluźnieniem uścisku. Spojrzał na mnie zdezorientowany, a ja wzrokiem wskazałam mu postać serwisanta.

Rozdział 19

Rozpuściłam włosy, dół T-shirt'u zawiązałam w talii, a nogawki lekko podwinęłam, odsłaniając kostki. Już nie chciałam udawać chłopaka!

Adam musnął mnie dłonią po plecach i ruszyliśmy w stronę podejrzanego.

— Pan Józef Kwiecicki...? — rzuciłam w kierunku odwróconego do nas plecami faceta o rozwichrzonej czuprynie, przyplaszczonej płytką, materiałową mycką.

Młody mężczyzna lub raczej chłopak o cwaniackiej twarzy, z dziewiczym wąsikiem i wydatnymi ustami odsłaniającymi w niepokornym uśmiezku prawy rząd górnych zębów zerknął na nas przez ramię i rzucił okiem na elektroniczny zegarek zapięty na jego lewym nadgarstku.

— Na lajcie. Wystarczy, że tu przepiłujesz, a tam podkleisz — mówił z nonszalancją do telefonu.

Przebug dłoni, w której go trzymał, owijał przybrudzony bandaż.

Chłopak znów na nas spojrzał i nie przerywając rozmowy, potwierdził lakonicznie:

— Inżynier. Tak — powiedział, po czym ponownie zwrócił się do swojego telefonicznego rozmówcy: — Jak sterczy, to go utnij! Dobra... Muszę kończyć. Nara!

Smartfon wsunął do materiałowej saszetki na zamek, określanej w niektórych kręgach jako „kołczan prawidłności”, która to nazwa zdawała się być wyjątkowo trafną w odniesieniu do zuchwałego sposobu bycia jej właściciela.

— To wy dzwoniлиście, tak? — Kiwnął do nas głową, przybierając zgrywny wyraz twarzy. — Monitoring osiedlowy zawiódł, co? — Wyciągając obie ręce przed siebie, wycelował w nas palce wskazujące i na lekko ugiętych kolanach nieznacznie odchylił do tyłu.

— Osiedlowy? — Zmarszczyłam brwi.

— Sąsiedzki... no, wiecie. — Na moment przyłożył dłonie do oczu, tak jak patrzy się przez lornetkę.

— Aaa, o to chodzi. Nie, my tam jeszcze nikogo nie znamy. Dostaliśmy dom w spadku...

— Macie ze sobą jakieś rzuty? — Kwiecicki wreszcie się wyprostował, stanął w rozkroku i wsparł się w boki.

— Tak — potwierdził Adam i sięgnął po rulon, który wystawał z tylnej kieszeni jego szortów. — Mam nadzieję, że amatorskie rysunki to nie problem?

— Zobaczymy. Najważniejsze, żeby było widać co, jak i gdzie... — Serwisant rozwinął arkusz i zaczął oglądać spreparowane rzuty, kiwając głową i pomrukując pod nosem. — Bo potem czegoś nie doszacuję, wbiję na montaż i się okaże, że cały projekt jest nie teges. Ponoć niektórym z firmy zdarzały się takie fakapy... — zarżał — ...dlatego szef woli, żebyśmy przed robotą zawsze robili wizję lokalną, najlepiej od razu z fotami.

Zwinął papier i sprasował go palcami na płasko, chcąc wcisnąć go do swojego kołczanu. Lecz gdy zwój okazał się zbyt długi, Kwiecicki zgiał go jeszcze dwa razy na pół, a wówczas rulon zamienił się w ciasny zwitek, mniej więcej wielkości pudełka zapalek.

Przechowywanie dokumentacji służbowej Kwiecicki opanował do perfekcji, trzeba było mu to przyznać.

Chłopak podniósł na nas wzrok i wyszczerzył się z udawaną skruchą.

— Pan Paluszkiewicz życzy sobie zdjęć, tak? — wypalił Adam.

— Kto...? — Kwiecicki się zawahał. — Pal...? — Wnętrzem dłoni musnął kark. — Nie, to jakaś pomyłka. W każdym razie wstępną wycenę mogę wam zrobić na sucho, ale i tak będę musiał podjechać na miejsce i sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

— Nie ma problemu — odparł Adam. — Jeśli wasza oferta nam przypasuje, dostaniesz adres i umówimy się na miejscu.

Chłopak zdawkowo skinął głową.

— Podobno wasza firma zmienia profil? — wyrwałam się.

— Nie rozumiem...

— Słyszałam, że rezygnujecie ze świadczenia usług na rzecz średnich i dużych firm.

— A, taa... Nowy właściciel uderza już tylko do osób fizycznych.

— Zdecydował tak po tym, jak jeden z pracowników w czasie wykonywania pracy w siedzibie klienta natknął się na trupa?

Oczy chłopaka spowaźniały.

— Skąd o tym wiecie? — Zamrugął w nerwowym tiku.

— Z mediów. — Wzruszyłam ramionami. — Od trzech dni nie mówią o niczym innym, tylko o zbrodni w tej szkole językowej... Jak jej tam? „UrbanClass”? Współczuję temu pracownikowi. To musiało być straszne! Jak on się czuje, ten ktoś, kto znalazł denata? — Przybrałam zatroskany ton. — Mam nadzieję, że jakoś sobie radzi?

— Cholerne hieny... — syknął pod nosem Kwiecicki. — No jacha, co ich obchodzi bezpieczeństwo świadków?! RODO, kurde mole! — W końcu spróbował się opanować. — Z tego, co wiem, to chłopak czuje się całkiem. Ale to był czysty przypadek.

— Tak myślisz?

— Mówię o zmianie specjalizacji firmy. Szef już wcześniej się na to zdecydował... — Przyjrzał się nam uważnie. — Dobra, muszę się zwijać. — Wyprostował się i zaczepił dłoń o pasek przewieszanej przez tułów szaszetki. — Odezwę się za kilka dni z szacunkową wyceną.

Odwrócił się zamasyżycie i bujając barkami na lewo i prawo, ruszył przed siebie powolnym, lecz zdecydowanym krokiem.

Doprawdy nie rozumiem zastrzeżeń Adama co do mojego sposobu poruszania... Przecież udając chłopaka, kiwałam się na boki dokładnie tak samo jak teraz Kwiecicki!

Serwisant znów do kogoś zadzwonił.

— No, już jestem... — Usłyszeliśmy jego słowa z odległości kilku kroków — ...a, to nic nie szkodzi, to się później zateguje i będzie śmigać... aż się nie zepsuje!

— Zarechotał.

Kwiecicki kierował się do wyjścia z placu. Wraz z Adamem powoli wycofaliśmy się w głąb peronu, by wmieszać się w gęstniejący tłum. Wymieniliśmy milczące spojrzenia, by upewnić się, że obojgu tłucze się po głowach podobna myśl.

Okrążyliśmy budynek, a kiedy Kwiecicki zatrzymał się na przejściu dla pieszych tuż przy fontannie, oboje z Adamem skryliśmy się za kolumnami wspierającymi frontową część gmachu dawnej stacji. W skroniach zaczęła mi bużować krew. Nie byłam pewna, czy stan ten wywołała spontaniczna decyzja o zamienieniu się w niewidzialny ogon serwisanta, czy raczej towarzystwo, w którym miałam tej transformacji dokonać. Usiłowałam opanować przyspieszone tętno głębokim oddechem, gdy Adam ruchem ręki dał mi znak do wymarszu z kryjóWKi.

Podejrzany przeciął ulicę i znów wszedł na pasy, te na prostopadłej jezdni. Wkrótce potem znalazł się na przeciwległym rogu skrzyżowania i przeszedł przez kładkę nad fosą. Kiedy i my znaleźliśmy się na mostku, Adam niespodziewanie objął mnie ramieniem i pociągnął w stronę balustrady. Nie protestowałam. Oparliśmy się o szklaną barierkę niczym żadna romantycznych wrażeń zakochana para, która przystanąła w tym miejscu, aby podziwiać sunące pod lustrem wody dorodne karpie i karasie (nam, niestety, trafiła się jedynie dryfująca po powierzchni śnięta ryba). Kwiecicki skierował się w stronę Włodkowica, a my ruszyliśmy w ślad za nim. Kiedy mijaliśmy dziedziniec przy Synagodze pod Białym Bocianem, dla niepoznaki zatrzymaliśmy się przy menu wywieszonym obok wejścia do jednej ze skupionych w podwórku knajp. Z mojego brzucha dobiegło donośne burczenie, więc wzięłam kilka łyków powietrza. Kwiecicki skręcił w uliczkę biegnącą wzdłuż Pasażu Pokoyhoff, a Adam, uprzejmie ignorując kolejne głośne pomruki dobiegające z mojego żołądka, przerywane raz po raz cichym czkaniem, ponaglająco kiwnął głową w stronę podejrzanego, który właśnie zniknął za zakrętem. Kwiecicki minął pomnik Kryształowej Planety i zatrzymał się na światłach, na wprost Psich Bud i Zaułka Solnego. Ja i Adam zaczęliśmy się na rogu ulicy Świętego Antoniego. Kiedy serwisant ruszył na zielonym, pospiesznie opuściliśmy

nasz punkt obserwacyjny i wmieszani w tłum przechodniów podążyliśmy za nim.

Szliśmy za Kwiecickim aż do rynku. Przy fontannie Zdrój czekało na niego kolejnych dwóch cwaniaczków w wąskich spodniach, białych, sportowych butach à la „You can dance” oraz w czapkach z kwadratowymi daszkami i siateczką z tyłu. Wszyscy trzej weszli po chwili do jednego z pubów mieszczących się niedaleko „Jasia” i „Małgosi”.

Wnętrze lokalu było dość przestronne, jak na warunki tutejszych zabudowań. Sprawiało wrażenie prawie pustego, mimo że tu i ówdzie sadowili się już pierwsi klienci, których sylwetki, malujące się na tle nowoczesnego wystroju knajpy, można było dojrzeć przez słuszne przeszklenia frontowej części budynku.

Nie mogliśmy z Adamem wejść za Kwiecickim do środka. Ryzyko dekonspiracji lokowało się zbyt wysoko. Dlatego postanowiliśmy zaszyć się w knajpie naprzeciwko.

Tu, dla odmiany, kłębiło się znacznie więcej osób, niż mogła pomieścić skromna kubatura sali, której ceglane ściany wraz z czerwieniącym się stropem zdawały się napierać na zgromadzonych gości z każdej strony. Specjalnością pubu była wódka z zakąskami, ceny prezentowały się nader przystępnie, dlatego pomimo wczesnej pory bar był nabitý ludźmi, jakby wybiła pierwsza w nocy. Co chwilę wybuchały śmiechy — to w jednym, to w innym kącie sali. Zewsząd niosły się nuty zawołowanych flirtów, przechwałek i sprzeczek. W nozdrza uderzało powietrze gęste od mieszających się zapachów perfum, przykrywających cierpki swąd papierosowy, wyziewy alkoholowe i pot bijący od parujących upałem ciał. Rozgadane towarzystwo napierało na bar, próbując przekrzyczeć ogłuszającą muzykę rockową. Większość stolików była zajęta. Do wzięcia pozostawał ten usytuowany tuż przy wejściu.

Od razu zajęliśmy z Adamem wolne miejsca. Wyjęłam z kieszeni telefon i wybrałam numer Basi. Bez dwóch zdań potrzebowaliśmy szpicla w knajpie po drugiej stronie ulicy. Oparłam przedramię na stoliku, lecz zaraz cofnęłam rękę, wyczuwając na skórze pokrywającej blat mebla lepkie ślady po kuflach i kieliszkach.

Szybko wyłuszczyłam przyjaciółce niecierpiący zwłoki interes, a ta obiecała zjawić się pod wskazanym adresem za kwadrans. Jej rodzinny dom przy Lelewela dzielił od rynku zaledwie rzut beretem, a i Basia, jako miłośniczka mody, na szczęście zawsze była gotowa do wyjścia.

Gdy zakończyłam połączenie, kiwnęłam do Adama głową i ruszyłam do baru (po co budzić podejrzenia obsługi?). Po dłuższej chwili przepychania się z innymi gośćmi zamówiłam dwie pięćdziesiątki i po ogóreczku konserwowym dla siebie oraz mojego towarzysza. Gdy przyniosłam do stolika zakupione specjały, Adam posłał mi zdumione spojrzenie, lecz bez zbędnych komentarzy odebrał swój przydział. Trąciliśmy się kieliszkami, a następnie opróżniliśmy je jednym haustem i schrupaliśmy korniszony.

— Ty wiesz... — Adam nachylił się do mnie tak, abym mogła wyłowić jego głos spośród harmidru wypełniającego knajpę — ...że ja pracowałem kiedyś za barem?

— Naprawdę? — Spojrzałam na niego zaskoczona. — Gdzie?

— W takim jednym klubie bilardowym przy Sedesowcach.

— Ej, ja wiem, w którym! A dlaczego akurat tam?

— Miałem blisko z akademika. Kojarzysz „Kredkę” i „Ołówek”?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

— Mieszkałem w „Kredce”.

— „Kredka” to ten wyższy czy niższy?

— Ten wyższy.

— Ekstra! Na którym piętrze miałeś pokój?

— Na dwudziestym.

— To chyba było gdzieś na samej górze?

— Prawie. Pięter jest dwadzieścia trzy, ale nawet z dwudziestego mieliśmy z okien niezły widok na miasto.

— Chyba fajnie się tam mieszkało, co?

— Bardzo fajnie! Wiesz... — puścił mi szelmowskie oko, a na jego czoło opadł kosmyk włosów — ...„Kredka” i „Ołówek” to akademiki koedukacyjne.

Uniosłam oczy do sufitu i głośno nabierając powietrza, potrząsnęłam głową, lecz jednocześnie zanosłam się donośnym śmiechem.

— A w tym klubie na „Manhattanie” kiedy pracowałeś? — zapytałam po chwili.

— Jakies sześć czy siedem lat temu, jeszcze za czasów studenckich.

— To ile ty masz lat?

— Dwadzieścia osiem.

— Sześć czy siedem lat temu to ja byłam maturzystką... — Znow oparłam ręce na blacie, tym razem ignorując jego lekkość. — Dopiero na studiach zaczęłam tam bywać.

— Wiem. — Nonszalancko zdmuchnął sobie z czoła opadający pukiel. — Gdyby było inaczej, zapamiętałbym cię. — Wsparł ręką policzek i omotał mnie powłóczyстым spojrzeniem. — Nie mówiąc o tym, że od dawna bylibyśmy parą. — Wyszczrzył się kokieteryjnie, a pod stołem delikatnie szturchnął mnie kolaniem.

Pod skórą zapłonęła mi krew, a wszystkie tkanki ciała ogarnęła cudowna wiotkość.

„Pał sześć Kwiecickiego!” — pomyślałam. „Rzućmy to wszystko i...”

I wtedy dostrzegłam za szybą Basię wpatrującą się w nas w niemym zachwycie, z rękoma splecionymi tuż pod brodą, i z oczami gotowymi trysnąć lada moment wodospadem łez wzruszenia.

Chrząknęłam i ruchem głowy ją ponagliłam, aby włączyła się do akcji. Basia w szerokim uśmiechu pokazała nam zęby, uniosła kciuk do góry i odwróciwszy się na pięcie, nieomal tanecznym krokiem przeszła na drugą stronę ulicy. Zniknęła wewnątrz pubu naprzeciwko.

Adam założył ręce na torsie i rozparłszy się na krześle, powędrował wzrokiem w stronę tamtego lokalu.

Jednak Basia prawie natychmiast wybiegła z powrotem na ulicę. Nerwowo rozglądając się na prawo i lewo, ruchem ręki dała nam znak, że pojawił się jakiś problem. Zerwaliśmy się z Adamem do wyjścia.

— Zniknęli! — wrzasnęła Basia. — Nie ma ich!

— Jak to?! Zgubiliśmy ich? — wykrzyknęłam.

Adam pognał do knajpy, w której jeszcze chwilę wcześniej siedział nasz podejrzany w towarzystwie swoich kumpli.

— Mar... — szepnęła Basia. — Co ty na sobie masz?! — Mierząc mnie z przerażeniem, krzyczała przytłumionym głosem.

— Serio...? Teraz!? — Rozszerzyłam oczy.

Adam znów do nas dołączył i zakładając ręce na biodra, powiedział:

— Niezła wtopa...!

— Żebyś wiedział! — jęknęła cicho Basia, patrząc na mnie z wyrzutem.

Ostatecznie jednak przybrała ciut łaskawszy wyraz twarzy, aż wreszcie wesołość ogarnęła ją na całego.

— Cóż, zdarza się. W końcu mieliście na głowie ważniejsze sprawy, no nie?

— A ty pomyliłaś osoby, które miałaś podglądać! — odcięłam się.

Cóż, wprawdzie podejrzany nam prysnął, ale mimo to wciąż byliśmy w grze.

Jeszcze zanim wróciliśmy z Adamem na Kampinoską, odkryliśmy, że liczba wirtualnych znajomych fałszywej tożsamości redakcji w międzyczasie powiększyła się o jedną.

Rozdział 20

Po dotarciu na Kampinoską pożegnałam się z Adamem przed drzwiami redakcji, a sama powlokłam się pod szóstkę na umówione spotkanie z Klaudią.

Nowa sąsiadka otworzyła mi od razu, tak jakby nie mogła się mnie doczekać. Wyglądała zupełnie inaczej niż do tej pory. Świetnie skrojona kiecka midi, dopasowana, czerwono-czarna, z półrękawkami, ukrywała wszystkie mankamenty jej pulchnej sylwetki. Wysoko ponad jej czołem sterczał połyskujący złotymi refleksami kok, w którym tkwiły dwie skrzyżowane, niby azjatyckie szpilki do włosów. Wypiełgnowane stopy Klaudii opasały klapki à la japonki.

— Przepraszam, nawet nie pomyślałam o tym, żeby się przebrać — Zmieszałam się na jej widok.

— Daj spokój! — Ruchem ręki zaprosiła mnie do środka. — Po całym dniu pewnie jesteś głodna?

— Zawsze. — Zdjęłam buty i ustawiłam je tuż przy wejściu.

— To się świetnie składa! Przygotowałam dla nas skromny poczęstunek. Pomogła mi w tym pewna „suszarnia”, podobno jedna z lepszych w mieście. Jak to mówią, minimum wysiłku, maksimum zadowolenia! — trajkotała, podczas gdy ja, uwolniwszy głowę od czapki, usiłowałam nadać mojej oklapłej fryzurze jakiś kształt. — Lubisz sushi? — zapytała Klaudia.

— Nie wiem — odpowiedziałam niepewnie, gdyż jak dotąd nie miałam okazji się o tym przekonać. — Chyba... tak?

— Idealnie! — Zadowolona zatarła ręce. — Mam dla nas też wino wiśniowe, prosto z Japonii!

— Mogę skorzystać z łazienki?

— No jasne! — Klaudia wskazała mi drzwi.

Wsparłam się rękoma o umywalkę i spojrzałam w lustro. Byłam potwornie zmęczona. Wysoki poziom adrenaliny, utrzymujący się w ostatnich dniach w moim ciele, w końcu musiał dać o sobie znać. Bałam się, że wskutek tego, sondując Klaudię, przeoczę jakieś istotne kwestie lub, co gorsza, sama zdradzę jej zbyt wiele, narażając redakcyjne śledztwo na przedwczesną dekonspirację. Nie, chyba za bardzo się przejmowałam... Przecież miałyśmy tylko porozmawiać. Co mogłoby pójść nie tak? Odkręciłam kran, umyłam ręce, a na koniec zwilżyłam twarz wodą.

Klaudia czekała na mnie w salonie. Wokół panował kojący półmrok. Bursztynowy blask zachodzącego słońca ślizgał się po żebrach żaluzji w oknach i kładł na parkiet drżące, świetliste pręgi. Tu i tam migotały płomyki świec, zaś z ustawionego w głębi kadzidełka sączyła się mlecznobiała stróżka dymu. W powietrzu tańczyła przyjemna, świerkowa woń, splatająca się z melodią relaksacyjną w stylu zen. Na środku prezentowała się ława z naszykowanymi specjałami kuchni orientalnej, a wokół leżały miękkie poduchy do siedzenia.

— I jak twoja akcja? Udała się? — Klaudia zajęła jedno z przygotowanych miejsc, zachęcając mnie do tego samego.

— Skoro nadal jestem na wolności, to chyba można tak przyjąć — powiedziałam kwaśno i usiadłam naprzeciwko niej. — Adriana nie ma?

— Poszedł do aquaparku. Śmiało, częstuj się!

Postanowiłam naśladować kolejność jej ruchów, gdyż nie do końca wiedziałam, co powinnam robić. Podobnie jak Klaudia (ona pałeczkami, a ja widelcem) na początek chwyciłam jakieś bladeżółte, miękkie zawiniątko i położyłam je na leżącym przede mną talerzyku. Do miseczki wlałam odrobinę sosu sojowego, w którym następnie zamoczyłam ryżowy kąsek, zgarnięty z prostokątnej tacki na środku stołu. Klaudia rozlała wino do przygotowanych lampek. Od razu podzieliła pomiędzy nas całą butelkę, ignorując zasadę napełniania kieliszków do wysokości jednej czwartej, czyli mniej więcej do poziomu najszerszego miejsca ich wybrzuszenia.

— Skąd się przeprowadziliście? — zagaiłam rozmowę.

— Z Poznania. — Klaudia wsunęła do ust porcję sushi, którą następnie zagryzła paseczkiem tego miękkiego, bladeżółtego czegoś.

Widząc to, poszłam w jej ślady. Ale to był przecież imbir! Jego orzeźwiający smak przyjemnie pobudził kubki smakowe.

— Nie zabawimy długo we Wrocławiu — ciągnęła Klaudia. — Przyjechaliśmy tu w interesach. To znaczy ja przyjechałam w interesach — uściśliła. — Nie swoich, a mojego szefa...

Na moment znieruchomiałam, zupełnie jak pies gończy na tropie.

— Dla Adriana to bez różnicy — mówiła dalej Klaudia. — Ma pracę zdalną. Jest programistą.

— A ty gdzie pracujesz? — spytałam niewinnie.

— W Biznespolu. Jestem asystentką prezesa — powiedziała dumnie.

— Przyjechaliście tu służbowo?

Kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, podpiszemy we Wrocławiu pewien duży kontrakt. Ale prezes ma tu też do załatwienia jakiejś innej sprawy. Mamy zostać na miejscu do połowy przyszłego roku. Potem czeka nas Trójmiasto albo Łódź.

— I tak co kilka miesięcy się przeprowadzacie?

— Mhm. Kiedy tylko postawimy nowy biznes, jedziemy dalej. Podoba mi się to. Lubię zmiany.

Zagryzłam imbirem kolejny kęs sushi, a przygotowana do dalszego zgłębiania nowych smaków nabrałam na widelec kawałek jasnozielonej pasty, która do tej pory pozostała przez Klaudię wprawdzie nietknięta, za to mnie swoim apetycznym wyglądem frapowała od samego początku. Kojarzyła mi się z pistacjami, a uwielbiam pistacje!

— Brzmi bardzo ciekawie. Co to za branża? — zapytałam, a gdy nonszalancko wkładałam do ust okazałą porcję tego zielonego smakołyku, twarz Klaudii nabrała nieoczekiwanego wyrazu przerażenia.

— Uważaj! — wrzasnęła. — To wasabi! Jest strasznie ostre!

I to jak! W ustach buchnął mi żywy ogień! Siarczyste pieczenie chlusnęło mi do nosa, a dalej do zatok. Zaniósłam się konwulsyjnym

kaszlem. Spod powiek trysnęły łzy! Porwałam ze stołu jeden z kieliszków i duszkiem go opróżniłam. Klaudia pognała do aneksu kuchennego, skąd zaraz wróciła z napełnioną szklanką. Pociągnęłam z niej zachłanny łyk. Wybałuszyłam oczy i gwałtownie splunęłam, bo bąbelki gazu podrażniły słuźówkę jeszcze boleśniej! Musiałam wyglądać przekomicznie, gdy z wywieszonym językiem energicznie potrząsałam głową, a z mojego gardła płynęło rozpaczliwe „leee!”. Ale Klaudii to nie bawiło. Miotła się wokół, nie wiedząc, co począć. Rzuciłam się do zlewu. Odkręciłam kran, by schwytać do ust strumień wody. Dopiero to przyniosło mi ulgę. Obmyłam pulsującą twarz i osuszyłam ją listkiem kuchennego ręcznika z rolki. Doszedłszy wreszcie do siebie, zwróciłam się w stronę sąsiadki. Na jej twarzy wciąż malowało się to samo przerażenie.

— Sytuacja opanowana. — Odetchnęłam, śmiejąc się z samej siebie.

Z powodu nieoczekiwanego zawrotu głowy musiałam przytrzymać się kuchennego blatu.

— Na czym skończyłyśmy? — Głośno czknęłam. — Ups, przepraszam. — Zakryłam dłonią usta i chichrając się już na całego, ruszyłam w stronę ławy z jedzeniem.

Usiadłam na swoim poprzednim miejscu, lecz kiedy poczułam w głowie przyjemny wir, postanowiłam wykorzystać pozostałe poduchy jako wygodne legowisko.

— Wszystko w porządku? — zapytała nieco zaniepokojona Klaudia.

— Dawno nie czułam się lepiej — odparłam z zadowoleniem.

I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl z gatunku tych doskonałych. Pomysł był naprawdę pierwszorzędnym!

— Słuchaj... — zaczęłam kokieteryjnie. — Umiesz dochować tajemnicy?

— No pewnie!

Mogłabym przysiąc, że pod wpływem ekscytacji źrenice Klaudii się rozszerzyły!

Rozdział 21

— Adam i ja jesteśmy dziennikarzami śledczymi — przypomniałam, powstrzymując kolejne beknięcie. — Aktualnie prowadzimy śledztwo w pewnej sprawie, której szczegółów wprawdzie nie mogę ci na razie wyjawić, za to zdradzę w sekrecie, że przewija się w niej... — urwałam na moment, by pozwolić napięciu wezbrać na sile — ...sam Ryszard Bednarczyk.

Klaudia zamrugła.

— Ryszard Bed...narczyk...?

— Nieźle co? — Podniosłam szybko brwi. — Zamierzamy konkretnie go prześwietlić.

Spojrzałam na nią znacząco. Jednak ta nie sprawiała wrażenia, jakoby orientowała się w ciemnych interesach szefa.

— Ale to niemożliwe...

— Spokojnie, na wszystko znajdziemy jakiś sposób. Nawet jeśli twój szef dobrze się kryje.

— Nie o to chodzi! Bednarczyk to najuczciwszy człowiek, jakiego znam!? No, może poza moim mężem. To jest niemożliwe, żeby prezes robił na boku ciemne interesy!

— Twoja wiara w ludzi jest ujmująca... — wyrwało mi się nieostrożnie.

— A macie jakieś dowody? — Wzburzona, próbowała odeprzeć atak.

— Zbieramy je. Wiesz, że wczoraj przyłapaliśmy twojego szefa z lokalnym gangsterem?

— Z gangsterem?!

— Ciekawe, po co się spotykają...? Mówiłaś, że rajcują cię zagadki kryminalne. Dlatego pomyślałam, że może chciałabyś wziąć udział w naszym dochodzeniu?

— Bednarczyk spotyka się z gangsterem!? Też coś! Znam go od lat! To niemożliwe!

— Mamy dowody.

— Wprawdzie wspominał, że ma we Wrocławiu do załatwienia jakąś prywatną sprawę, ale przecież... — Zaczęła wędrować po podłodze niespokojnym spojrzeniem. — A może... ktoś go szantażuje? — Znowu podniosła na mnie oczy.

— W takim razie, pomagając nam, wyświadczysz przysługę i jemu.

— Naprawdę nie wiem... — Przygryzła kciuk. — Co miałabym robić?

— Jak tylko powiem Adamowi, że się zgodziłaś, to wszystkiego się dowiesz. — Uśmiechnęłam się szelmowsko.

Przewróciłam się na brzuch, lecz zsunawszy się przy tym ze swojego legowiska, podparłam się ręką i nakierowałam ciało na właściwy kurs.

— No, koniec gadania o pracy! — Uklęknęłam, układając pośladki na stopach. — Zaraz wracam, muszę siusiu. — Zachichotałam i przytrzymując się stołu, stanęłam na nogi.

Kiedy tylko zostałam sama, wyjęłam z kieszeni telefon, by wysłać Adamowi wiadomość obwieszczającą mój błyskawiczny tryumf.

Naraz przyszła mi do głowy kolejna światła myśl. Oj tak... Byłam pewna własnego geniuszu!

Po co czekać, skoro można załatwić to wszystko od ręki? Zaprosiłam więc pod szóstkę Adama!

Po serii kilku zaniepokojonych wiadomości, Adam zjawił się w mieszkaniu Klaudii. Tylko dlaczego od samego początku kompletnie ignorował te wszystkie znaki, które ukradkiem wysyłałam mu zza pleców Klaudii? A robiłam to z coraz większym zaangażowaniem, widząc, że Adam kompletnie nie potrafi ich odczytać. Ale zamiast wtajemniczyć naszą sąsiadkę w problematykę śledztwa, Adam powiedział, że jeszcze do tej rozmowy wrócimy. Tymczasem po uprzejmej, lecz zdecydowanej ofercie odeskortowania mnie na poddasze, pożegnał nas z sąsiadką.

W kawalerce posadził mnie na kanapie, a sam przysiadł na blacie stolika kawowego. Podparł się łokciami o uda i nachyliwszy głowę,

podniósł na mnie wzrok. Na czoło opadł mu ten sam kosmyk co zwykle.

— Jeśli twoja taktyka miała polegać na upiciu naszej sąsiadki, a następnie wyciągnięciu z niej informacji o Bednarczyku i Biznespolu, to wygląda na to, że musisz jeszcze trochę potrenować. — Przez jego usta przemknął uszczypliwy uśmiezek.

— To nie tak jak myślisz. — Mój chichot zakończyło ciche czknięcie.

— Jutro mi opowiesz. A teraz lepiej się prześpij. — Sięgnął po zarzucony na sofę pled.

* * *

Obudził mnie uporczywy dzwonek. Wdzierające się przez okno promienie słońca łaskotały w nos. Kichnęłam. Aż rozbolała mnie głowa. Odsunęłam na bok skołtuniony koc (dlaczego spałam pod kocem?). Przebiegłam wzrokiem po swoim ciele. Dzwonek znów zabrzączał. Co ja właściwie na sobie mam...? I co to za natręt dobija się do moich drzwi o tak wczesnej porze!?

Rozdział 22

Rozcierając oczy, usiadłam na skraju kanapy. I wtedy się zorientowałam, że to nie dzwonek do drzwi, a dźwięk mojego smartfona! Z powrotem się położyłam i wymacałam go na podłodze. Z początku niewyraźny ciąg liter na wyświetlaczu wreszcie ułożył się w kształt imienia „Basia”.

Jednak ból, łomoczący mi w czaszce, pozwolił jedynie na wysłanie przyjaciółce automatycznej notki z informacją, że oddzwonię do niej później. Rzuciłam telefon na łóżko i przyłożywszy dłoń do czoła, znów zamknęłam oczy. Lecz gdy pod powiekami nieoczekiwanie zmaterializował mi się Adam, siedzący przy mnie na stoliku kawowym, znów poderwałam się do pionu! Chwycałam telefon, modląc się w duchu, by kompromitacja, która z każdą upływającą sekundą coraz mocniej przebijała się do mojej świadomości, była jedynie wyjątkowo realistycznym koszmarem.

O nie!!! Były tam! Dowody hańby, którą na siebie ściągnęłam! Naraz, w każdym najdrobniejszym detalu, dopadły mnie wspomnienia minionego wieczoru. Im bardziej chciałam nie pamiętać, tym przybierały wyraźniejsze kształty! Przepelniona druzgoczącą rozpaczą wybrałam numer Basi.

— Dobrze, że oddzwoniasz — przywitała mnie ożywiona. — Jesteś w domu?

— Taa... — chrząknęłam.

— A co ty masz taki zachrypnięty głos? Dopiero wstałaś? Już prawie trzynasta!?

— To nie moja wina... — jęknęłam.

— A czyja? Ktoś przykuł cię do łóżka kajdankami? — Ryknęła śmiechem. — Słuchaj, właśnie skończyłam dzisiejszą pracę u twojej wicedyrektorki. Jadę do ciebie. Mam niusy!

— Tak? Ja też...

— A co ty jesteś taka zgaszona? Zresztą, nie martw się, zaraz dodam ci wigoru!

— Chyba nie tym razem...

— Naprawdę nie interesuje cię, czego się dowiedziałam?

— Teraz to jest mi już wszystko jedno! Po mojej wczorajszej kompromitacji byłoby mi nawet na rękę, gdyby Zaremba przymknęła właśnie mnie! Adam szybko by zapomniał, że kiedykolwiek mnie znał...

W słuchawce zapanowała wymowna cisza.

— Znowu coś nabroiłaś?

— Nawet nie mów... Niechcący upiłam się winem wiśniowym!

— Wiśniowym? — powtórzyła zdęgowana Basia. — Takim za pięć złotych, z biedry?! — Wybuchnęła śmiechem. — Ty to masz gust! A można wiedzieć, z kim piłaś tego sikacza? Mam nadzieję, że... to chyba nie Adam połał ci te popłuczyny!?

— Z Klaudią spod szóstki. I to nie był żaden sikacz z biedry, tylko prawdziwe wino z Japonii. Jadłyśmy sushi. Wszystko przez taką potwornie ostrą, jasnozieloną pastę...

— Wasabi?

— Może?

— I ty postanowiłaś popić ją winem?

— Niczego innego nie było pod ręką...

— No ładnie. I Adam przy tym był, tak? Bez przesady, powinien zrozumieć, że to była siła wyższa. Zresztą, jeśli myślisz, że głupio się potem zachowywałaś, to po prostu wszystkich przeproś i tyle. Nie ty pierwsza, i nie ostatnia!

— Gdyby chodziło o jakieś kretyńskie żarty, to tak bym zrobiła! Niestety w całym tym zamroczeniu, wtajemniczyłam Klaudię w śledztwo redakcji, w które może być zamieszany jej szef. Rozumiesz!?! A jeśli ona mu się wygada?

— Fiu, fiu! No to faktycznie może być nieciekawie.

— Adam na pewno mnie teraz skreśli! Jak ja mu spojrzę w oczy? Nie dość, że zrobiłam z siebie kompletną idiotkę, to jeszcze Walczewski mnie wyleje! Co robić!?

— Zadzwoń do Adama — poradziła natychmiast Basia. — Spróbuj spokojnie z nim to wyjaśnić. Może jeszcze nie wszystko stracone? Niedługo u ciebie będę, coś wymyślimy.

Po wyjątkowo długim prysznicu, prawie nietkniętym śniadaniu, dwóch butelkach lemoniady oraz burzliwej dyskusji ze samą sobą wreszcie zdobyłam się na odwagę, by zatelefonować do Adama. Nie odebrał. Poczulałam, że w gardle wyrosła mi potężna gula. Do oczu napłynęły mi łzy i kiedy już miałam się rozplakać, w dłoni zawibrował mi smartfon.

„Oddzwonię” — pisał dziennikarz.

Odłożyłam telefon na blat stolika i zaczęłam rozmasowywać sobie pulsujące skronie. Wreszcie, zrezygnowana, podniosłam się z sofy.

Musiałam zająć czymś myśli. Zgarnęłam z biurka laptop i powłócząc stopami, wyszłam na balkon.

Otworzyłam notebooka, a gdy po chwili odświeżyła się strona informacyjna, którą musiałam ostatnio przeglądać, w oczy rzucił mi się wytłuszczony nagłówek po prawej stronie.

Sprawca z „UrbanClass” znów zaatakuje?

Rozdział 23

WIADOMOŚCI > KRAJ

Dzisiaj, 07:55 • Ten tekst przeczytasz w mniej niż minutę

Sprawca z „UrbanClass” znów zaatakuje?

Paweł Gawlik

Mieszkańcy stolicy Dolnego Śląska, a wraz z nimi cała Polska, wyczekują finału śledztwa w sprawie śmierci konsultanta oświatowego, który został zamordowany w bibliotece dydaktycznej wrocławskiej szkoły językowej „UrbanClass”.

Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu dysponuje poszlakami, które sugerują, że sprawa z „UrbanClass” może mieć związek z co najmniej jedną podobną zbrodnią sprzed lat, jednak z uwagi na prowadzone czynności dochodzeniowe szczegóły dotychczasowych ustaleń nie mogą zostać jeszcze ujawnione. Nieoficjalnie mówi się, że zestawiane zbrodnie łączą pewne charakterystyczne znamiona rytualne, które mogą świadczyć o tym, że stoi za nimi ten sam sprawca.

Tej hipotezie kategorycznie zaprzecza jednak wrocławski rzecznik prasowy policji. Na pytanie o to, czy Wrocław może mieć do czynienia z seryjnym zabójcą, odpowiada:

— **Nie ma żadnych przesłanek ku temu, by sądzić, że winna jest jedna i ta sama osoba.**

Jednocześnie dodaje:

— **Biorąc pod uwagę pewien istotny szczegół, który odróżnia ten przypadek od reszty, mamy podstawy, by domniemywać, że w przeciwieństwie do znanych nam dotąd wzorców, zbrodni na terenie „UrbanClass” dokonała kobieta, nie zaś mężczyzna, jak w pozostałych przypadkach. Komisarze prowadzący śledztwo są o krok od aresztowania winnej.**

Pytanie o to, czy wobec tego mieszkańcy Wrocławia mogą czuć się bezpiecznie, policyjny rzecznik pozostawia bez odpowiedzi.

Zapisz się na newsletter, aby otrzymywać od nas najbardziej wartościowe treści.

Lektura internetowej prasy pochłonęła mnie tak bardzo, że nie zauważyłam, jak przed ogrodzeniem willi zatrzymał się samochód rodziców Basi, którym moja przyjaciółka dojeżdżała do tymczasowej pracy u Wysockiej. Auto spostrzegłam dopiero wtedy, gdy w kawalerce rozległ się dzwonek domofonu.

— Już po mnie! — zaskomlałam, wpuszczając po chwili do mieszkania Basię.

Ale ona to zignorowała.

— Skąd to masz? — Zgromiła wzrokiem mój rozciągnięty T-shirt. — To i te szmaty, w których nakryłam cię wczoraj? Chyba nie grzebałaś w kontenerze z odzieżą, po tym jak wrzuciłyśmy do niego twoje stare fatałachy?

— Daj spokój, kilka rzeczy miałam jeszcze w praniu. Ale teraz to ma akurat najmniejsze...

— Kilka...? — Przerzywając mi, zmrużyła powieki.

Minęła mnie, weszła do pokoju i otworzyła szafę.

A z niej — jak na złość! — wysypała się cała sterta moich starych topów.

Przyjaciółka posłała mi gniewne spojrzenie i bez słowa wyszła do kuchni, skąd po chwili wróciła z workiem na śmieci. Rozłożyła go kilkoma machnięciami w powietrzu, wcisnęła do środka bluzki zgarnięte z podłogi i znów zanurkowała w mojej garderobie.

— Wyszperałam ci tyle wystrzałowych ciuchów, a ty nadal trzymasz te łachy? — Jej ciut stłumiony, lecz nadal pełen wyrzutu głos rezonował wewnątrz mojej szafy. — Po co ci to? — Wychyliła głowę, trzymając w garści jedną z moich ulubionych podkoszulek. — Nie masz gorszych szmat!?

— Mam do niego sentyment! — zaprotestowałam urażona. — Miałam go na sobie na twojej dwudziestce, w Bożkowie... Nie pamiętasz?

Basia chrapnęła, wrzuciła bluzkę z powrotem do szafy i chwyciła kolejną.

— W tej byłam na pierwszym półmaratonie... — skomentowałam, gdy Basia próbowała włożyć ją do worka.

— No nie! Żartujesz?! — Oburzyłam się, gdy dorwała się do następnej.
— To prezent od moich uczniów! Nie widzisz, co tu jest napisane!?

Basia spojrzała na przód koszulki.

— I'm an English teacher/just like a normal teacher/except 100% cooler
— przeczytała na głos.

— Serio? — Posłała mi pobłażliwe spojrzenie, lecz widząc moje przygnębienie, szybko skapitulowała.

— No dobra, dziś masz u mnie taryfę ulgową, jesteś niedysponowana.
— Cisnęła worek ze spakowanymi rzeczami do szafy i zamknęła drzwi. — Co powiedział Adam?

— Adam...? Nic. — Wzruszyłam ramionami i załamana usiadłam na skraju sofa. — Nie odebrał. Napisał, że do mnie oddzwoni.

— Więc w czym problem? Jak zwykle martwisz się na zapas!

— Nie chodzi o Adama, tylko o...

— Tylko o co? — Basia błagalnie uniosła wzrok i rękę. — Przed chwilą nie interesowało cię nic poza nim, łącznie z policyjnym śledztwem, w którym odgrywasz jedną z głównych ról! Ja już nie nadążam!

— Ale to było zanim policja ogłosiła, że Zaremba i jej ludzie lada dzień mnie aresztują! — wykrzyknęłam.

— Co...!? Gdzie to ogłosiła? Kiedy?!

— Sama zobacz. — Podałam jej laptopa.

Basia przeczytała artykuł.

— Przecież tu nie ma żadnej wzmianki o Zarembie! Ani tym bardziej o tym, że dochodzeniówka zamierza aresztować właśnie ciebie!

— A niby kogo? Przecież rzecznik policji wyraźnie powiedział, że sprawcą jest najpewniej kobieta! I że Zaremba wraz ze swoim zespołem są już na jej tropie! Nie pamiętasz, jak zakończyła się jej ostatnia wizyta tutaj? To oczywiste, że chodzi o mnie!

— Nie przesadzaj. Założę się, że ma też inne podejrzane. Szczególnie biorąc pod uwagę tę dziwną wzmiankę o jakimś rytuale.

— Jakie inne podejrzane?

— A choćby wicedyrektorke — przypomniała Basia, chociaż odniosłam wrażenie, że sama zdążyła zwątpić w ten scenariusz. — Ty wiesz, że ten wasz coach to podobno był jej niedoszły zięć!?

— Cooo?! A ty skąd masz takie informacje!?

— U Sylwii, to znaczy młodej Wysockiej, była dzisiaj jej przyjaciółka. Podśledzałam ich rozmowę. Wynikało z niej jasno, że Sylwia za rok miała wyjść za Lempara! Dopiero co się zeszli po burzliwym rozstaniu, po którym Sylwia wróciła z Warszawy do Wrocławia. Była pewna, że już nigdy do siebie nie wróca. On chyba złamał jej serce? Jak ona płakała...! Ale ponoć zrozumiał swój błąd, chciał ją odzyskać i dlatego przyjechał do Wrocławia. No a matka, to znaczy Wysocka, żeby młodym pomóc, zaferowała mu tymczasową pracę w waszej szkole, dopóki on nie znalazłby sobie czegoś lepszego. A tu taki klops. — Basia uderzyła wierzchem dłoni o wnętrze drugiej.

— Dziewczyna ma szczęście, że nie wzięła ślubu z tym draniem! — Mimowolnie podniosłam głos. — Gdyby tylko wiedziała, jaki był naprawdę!

— Już wie. — Basia podniosła zarzucony na krzesło koc, poskładała go w równiutką kosteczkę i ułożyła na jednym z podłokietników kanapy.

— Jak to?

— Po twojej ostatniej wizycie w „UrbanClass” matka o wszystkim jej opowiedziała. Tak sobie myślę, że chyba chciała wyleczyć córkę z rozpaczki po śmierci narzeczonego terapią szokową. W każdym razie słyszałam, jak dziewczyny o tobie rozmawiały...

— O mnie?

— A dziwisz się? W takich okolicznościach? Ale to nie wszystko. Wyobraź sobie, że mąż pani Bożenki...

— Baśka...! Chyba mi nie powiesz, że on też nie żyje...!? — Zerknęłam w stronę laptopa. — Myślisz, że tu chodzi o Wysocką? Wicedyrektorka

„UrbanClass” rytualną morderczynią niewiernych mężczyzn... Ale jazda!

Basia postukała się w czoło.

— Akurat jej mąż ma się dobrze. Za to wyszło na jaw, że facet ma jeszcze jedną dwudziestoparoletnią córkę...

Spojrzałam na Basię zaskoczona.

— Też podśledzałam. — Nonszalancko wzruszyła ramionami.

Przejechała palcem po parapecie i udzieliwszy mi milczącej repremyndy, zdmuchnęła z opuszki gęsty kurz.

— Facet twierdzi, że nic o tym nie wiedział. No a ta nowa, to znaczy ta druga córka, owinęła go sobie teraz wokół palca, a wiesz, że Wysocki jest dziany...

— Ponoć jest wysoko postawionym bankierem.

— A Wysockie nie zamierzają dzielić się z nikim kasą.

Położyłam się na kanapie. Nie chciałam przeszkadzać Basi, która coraz bardziej zawzięcie krążyła po moim pokoju, sukcesywnie odgruzowując jego kolejne zakamarki.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— Spodziewamy się jeszcze kogoś?

W przerażeniu wytrzeszczyłam oczy, jednocześnie zaprzeczając ruchem głowy. Podniosłam się z sofy i przepelniona niepokojem podeszłam do drzwi.

Wyrzłałam przez wizjer. Wypuściłam powietrze ustami i złapałam za klamkę.

— Jak samopoczucie? — Stojący za progiem Adam wyszczerzył zęby i wręczył mi kubek jogurtu naturalnego.

Wlepiłam zaskoczone spojrzenie w wieczko opakowania, a potem podniosłam wzrok znów na Adama.

— Już się nie gniewasz?

— A czy ja się kiedykolwiek na ciebie gniewałem? O! Cześć, Basia — Przywitał się z moją przyjaciółką, przekroczywszy próg kawalerki. — Jakies postępy w naszym śledztwie? — zapytał od razu.

— Hej! — odpowiedziała. — I tak, i nie. Okazuje się, że wicedyrektorka faktycznie już wcześniej знаła Lempara. Ale nic nie wskazuje na to, żeby to ona była morderczynią. Za to media właśnie podały, że sprawcą jest najprawdopodobniej kobieta i że policja wkrótce ją aresztuje. Oczywiście Marta jest przekonana, że chodzi o nią.

— Rzecznik policji powiedział coś jeszcze? — Podchwycił Adam.

— Rzecznik nie, ale media spekulują o jakimś rzekomym rytuale...

— Rytuale? W jakim sensie?

— Dokładnie nie wiadomo. Policja na razie nie chce nic zdradzić.

— A może... — powiedziałam w zamyśleniu. — O kurczę! Krzysiek mówił mi wczoraj o jakimś arabskim zapachu, który tego dnia, już jakiś czas po moim wyjściu, unosił się w bibliotece!

— Arabskim? — Basia i Adam zapytali jednocześnie.

— Tak go określił... Dokładnie nie był w stanie go opisać.

— Denat płci męskiej, rytuał, kobieta jako sprawca, arabski zapach unoszący się w miejscu zbrodni... To brzmi jak okoliczności jakiegoś amatorskiego obrzędu miłosnego — oceniła Basia.

— Chyba raczej tandetnego — skomentowałam.

— A może zaaranżowanego wbrew czyjejś woli? — domniemywał Adam.

— Myślisz, że coach padł ofiarą jakiejś napastliwej wariatki? — prychnęłam. — A może wręcz przeciwnie? Może próbował dobrać się tylko do mnie?

— A w ogóle to dlaczego oni uważają, że zbrodni dokonała kobieta?

— Podobno do tego wniosku skłonił ich jakiś istotny szczegół... — powiedziałam. — Myślicie, że morderca zostawił na miejscu zbrodni jakiś ślad, który jednoznacznie świadczy o jego, a raczej o jej płci?

Weszłam do kuchni po łyżeczkę, lecz zanim zdążyłam otworzyć szufladę ze sztućcami, dopadła mnie straszna myśl.

— O w mordę! — wykrzyknęłam. — A jeśli to ja zgubiłam to coś w bibliotece!?

Chwyciłam jedyną czystą łyżeczkę, jaką aktualnie dysponowała moja kuchnia, i konsekwentnie ignorując piętzącą się w zlewie stertę brudnych naczyń, wróciłam do pokoju. Usiadłam na sofie obok Basi i zerwawszy wieczko z kubka, zaczęłam nerwowo wyjadać jogurt.

— Zaremba o nic takiego cię nie pytała? — Chciał wiedzieć Adam.

Automatycznie zaprzeczyłam.

— Pytała! — Uderzyła mnie fala gorąca. — Oczywiście, że pytała! Chciała wiedzieć, czy wtedy, kiedy po raz ostatni rozmawiałam z trenerem, miałam ze sobą torebkę...

— A miałaś?

— No właśnie nie!

— No to w czym problem?

— Coś musi być na rzeczy, skoro Zaremba mnie o to zagadnęła!

— Może znaleźli w bibliotece jakąś typowo galanteryjną zawieszkę, naszywkę którejś z torebkowych marek lub coś takiego? — Pierwszą hipotezę wysunęła Basia.

— Albo coś, co potencjalnie mogło znajdować się w damskiej torebce... — dodał Adam. — Zaremba nic więcej nie mówiła?

— Nie na ten temat...

— Więc musimy się dowiedzieć, co takiego znaleźli — zawyrokował Adam.

— To niemożliwe... — wymamrotałam. — A jeśli ktoś próbuje mnie zrobić?!

— Wrobić? Ciebie!? — Basia spojrzała na mnie pobłaźliwie. — Niby kto i w jakim celu? Mar, zaczynasz mieć paranoję!

Bez słowa wstałam z sofy, wyszłam do przedpokoju, skąd natychmiast wróciłam ze swoją torebką.

— Paranoję, tak? — odpowiedziałam, pokazując przyjaciółce klapę z brakującą klamrą.

Rozdział 24

Przetrzęsaliśmy z Basią całe poddasze, ale wyłamanej kłamry nie znalazłyśmy. Basia pojechała szukać jej w swoim domu, choć obie doskonale zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że i tam raczej jej nie znajdzie.

Mogłam ją zgubić wszędzie, ale teraz nie było to moim jedynym zmartwieniem, bo przecież wciąż nie rozmówiłam się z Adamem w kwestii mojego wybryku.

Wreszcie zdobyłam się na odwagę i skruszona spojrzałam mu w oczy.

— Skoro zostaliśmy sami, to... — zaczęłam — ...należą ci się przeprosiny.

— Daj spokój, nie ma o czym mówić.

— Dobrze wiesz, że jest. Śledztwo redakcji w sprawie „Best Monitoring” może wziąć przeze mnie w łeb. Oby Klaudia nie puściła pary z ust.

— Coś wymyślimy. Teraz mamy na głowie ważniejsze sprawy. Nie martw się. Odkryjemy prawdę na temat zbrodni w „UrbanClass” jeszcze zanim zrobi to Zaremba.

Chciałam mu coś odpowiedzieć, ale nagle gdzieś w ogrodzie rozległ się charakterystyczny, piskliwy jazgot kotłującej się kocięj masy.

— Niech to szlag! — Zerwałam się z miejsca.

Z szuflady biurka wyszarpałam pęk kluczy do mieszkania sąsiadki z parteru.

— Na śmierć zapomniałam o kotce pani Wandy! — wrzasnęłam i rzuciłam się do drzwi.

— Skąd wiesz, że to ona? — Adam ruszył za mną.

Koty znów narobiły hałasu.

— Nie, to na pewno nie Józia! Ona jest zamknięta pod dwójką!!!

Przerażona pognałam na dół.

— Józia! — zawołałam, wszedłszy do mieszkania sąsiadki. — Kici-kici!

Kotkę spostrzegłam na parapecie okna w salonie. Siedziała z pyszczkiem zwróconym do okna i nie reagowała na moje wołanie.

— Józia... — powiedziałam łagodnie, zbliżając się do niej. — Przepraszam... Naprawdę strasznie cię przepraszam!

Wyciągnęłam rękę, by ją pogłaskać, lecz ta zrobiła unik i nawet nie spojrzawszy w moją stronę, zeskoczyła na podłogę i wyszła z pokoju. Należało mi się.

Poszłam do kuchni, by skontrolować jej miski. Do jednej nalałam świeżej wody, a do drugiej dosypałam suchej karmy. Przejrzałam kuchenne szafki w poszukiwaniu jakichś kocich smakołyków. Kilka małych puszek znalazłam w spizarni pod oknem. Otworzyłam jedną z nich, a jej zawartość wyłożyłam na talerzyk.

— Józia!

Kiedy zwróciłam się w stronę kuchennych drzwi, kotka siedziała w progu. Niespokojnie poruszała ogonem.

— Zobacz, co dla ciebie mam. — Pokazałam jej wyłożony przysmak, lecz ta wyprostowała się na łapkach, odwróciła do mnie kuperkiem i ostentacyjnie wyszła do przedpokoju.

— No nie gniewaj się — powiedziałam zmarnowana i poczłapałam za nią.

Józia siedziała teraz pod drzwiami wejściowymi do mieszkania.

— Chcesz wyjść? Dobrze. Tylko żebym nie musiała cię potem szukać!

Wypuściłam ją na zewnątrz, a sama wróciłam do mieszkania pani Wandy, by wyczyścić kocią kuwetę. Gdy po kilku minutach wyszłam z powrotem na korytarz, u dołu schodów siedział Adam. Wyciągnął do mnie rękę z kluczami od kawalerki.

— Zamknąłem wszystkie trzy zamki. — Puścił mi oko.

Bez namysłu chwyciłam pęk, niby przypadkiem dotykając przy tym dłoni Adama. Po ciele przebiegł mi przyjemny dreszczyk.

— Chodźmy do redakcji. Pokażesz mi ten artykuł, o którym mówiliśmy z Basią. Zastanowimy się, co z tym fantem zrobić.

Rozdział 25

— Policja musi mieć jakiś powód... — mówił Adam — ...dla którego utrzymuje, że sprawa Lempara z całą pewnością nie ma związku z żadnym z dotychczasowych śledztw i że jest na tropie sprawczyń.

— Czyli mnie — uściśliłam.

Wszyscy czworo zgromadziliśmy się biurze, w którym na co dzień pracowali Grzegorz i Adam.

— To jakiś absurd — oceniła Anka, choć nie miałam pewności, do czego konkretnie się odniosła. — Media szukają taniej sensacji! Nie mają co robić, tylko straszyć ludzi seryjnymi mordercami! Lepiej niech się skupią na personelu „UrbanClass”!

Adam przysiadł na blacie swojego biurka, krzyżując ręce na torsie.

— Ciekaw jestem tych „charakterystycznych znamion rytualnych”, o których piszą w artykule... — powiedział w zamyśleniu. — No i ten orientalny, być może arabski zapach w bibliotece, o którym dowiedziała się wczoraj Marta. Co to może być...? A ten wyróżniający szczegół? — Dalej mnożył pytania.

— Założę się, że dochodzeniówka po prostu się połąpała, że to zwykła partanina, a nie robota doświadczonego zabójcy, ot co! — odpowiedziała mu Anka.

— A może sami są partaczami... — włączył się Grzegorz — ...i być może właśnie się zorientowali, że po części z ich winy na wolności przebywa groźny kryminalista? Dopóki nie wykluczą tego scenariusza lub nie nabiorą absolutnej co do niego pewności, będą próbowali ukryć ten fakt przed opinią publiczną. Historia zna podobne przypadki.

— A kojarzysz jakieś sprawy z przeszłości, które mogłyby w jakikolwiek sposób wiązać się z morderstwem w „UrbanClass”? — zagadnął go Adam.
— W internecie nie ma żadnych interesujących wzmianek.

— Nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Wiesz, że przez wiele lat mieszkalem poza Wrocławiem. Zresztą nigdy nie specjalizowałem się w kronikach kryminalnych. — Rozłożył ręce. — Myślę, że w tej sytuacji wypadaloby przejechać się na Połbina i poszperać w policyjnym archiwum.

— Zdaje się, że bez przepustki się nie obejdzie — zauważył Adam.

— Trzeba będzie złożyć pisemny wniosek — potwierdził Walczewski. — Ale to tylko formalność. Do celów publicystycznych udostępniają swoje zasoby bez większych problemów. Dasz sobie radę, czy ja mam się tym zająć?

— Załatwię to.

— A co ze mną? — zaprotestowałam.

— Na ciebie przyjdzie jeszcze czas. — Redaktor uciął temat.

— Naprawdę nie masz, czego żałować — mruknęła Anka i cofnęła się do drugiego biura.

Popatrzyłam na Adama.

— Idę na górę — powiedziałam. — Muszę pomyśleć.

Bez dalszych tłumaczeń wyszłam na klatkę schodową.

Tego wszystkiego było już za wiele! Czulałam, że potrzebuję chwili samotności. Ale zanim zdążyłam wdrapać się na poddasze, odezwał się mój telefon. Odebrałam, nie wchodząc do mieszkania.

— No cześć — odezwał się Krzysiek. — Dzwonię kontrolnie, żeby sprawdzić, co u ciebie. No nie powiem, że nie odetchnąłem z ulgą, skoro odebrałaś... Pewnie już słyszałaś, że policja ujawniła płeć prawdopodobnego sprawcy, a raczej sprawczyni. Cieszę się, że to jednak nie mnie ma na muszce Zaremba. Ale z drugiej strony zacząłem się trochę niepokoić, szczególnie po naszej ostatniej rozmowie, kiedy mnie przekonywałaś, że musi chodzić im o ciebie, a ja...

— Dzięki, Krzysiek, doceniam twoją troskę. Jeszcze mnie nie zamknęli.

— Bardzo mnie to cieszy. A tak z innej beczki... — Zawahał się przez chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, czy to dobry moment na plotki, ale

ostatecznie, jak to Krzysiek, nie wytrzymał: — Dowiedziałem się czegoś w sprawie Agnieszki.

— Agnieszki...?

A jednak. Dzwonił w sprawie Agi, nie mojej!

— Pamiętasz, jak mówiła ci o tym, że niedawno przypadkiem natknęła się na swojego byłego i to dlatego coach tak nagle wyparował jej z głowy. Sprawdziłem to. Wygląda na to, że mówiła prawdę. Ktoś ich razem widział.

— Tak? No i co to za facet? — zapytałam bez większego zainteresowania.

— Facet? To był ponoć jakiś szczył!? Przyszedł po nią do pracy w tamten piątek, kiedy ktoś kropnął Piotra. A na recepcji zgrywał cwaniaka, bo nie chcieli go wpuścić. Naprawdę nie potrafię rozgryźć gustu Agi...

Gwałtownie zawróciłam w dół klatki schodowej.

— Adam...!? — wrzasnęłam. — Dzięki, Krzysiek! Sorry, muszę kończyć! Aaaaam!

Wbiegłam do redakcji. Adam stał w kuchni przy dystrybutorze wody, dokładnie na wprost drzwi wejściowych. Przeglądał coś w telefonie.

— To Kwiecicki! — wrzasnęłam od progu, idąc w jego stronę. — Mówiłam, że to Kwiecicki!

Adam ściągnął brwi.

— Ale przecież w tej relacji...

— Agnieszka! — Nie pozwoliłam mu dokończyć. — No wiesz, ta moja koleżanka z „UrbanClass”, ma jakiegoś faceta. To chyba jest on. — Weszłam do kuchni. — To na pewno jest on!

— Kwiecicki? — Adam zmarszczył nos. — Kto ci tak powiedział?

— Krzysiek!

— A on skąd wie?

— Jak to skąd!? Na pewno Żaneta mu powiedziała!

— A Agnieszka? Dlaczego do niej nie zadzwonisz i jej o to nie zapytasz?

— Żartujesz!? Myślisz, że wsypie ukochanego? To jasne, że wszystkimu zaprzeczy!

— A może poda ci jakieś sensowne wytłumaczenie ewentualnego nieporozumienia?

— Nigdzie nie będę dzwoniła! Nie mam zamiaru wtrącać się w sprawy sercowe Agnieszki! Wolę sama zdemaskować Kwiecickiego!

— W takim razie zbieramy się.

— Co? Dokąd?

— Zdemaskować Kwiecickiego.

— Weź, przestań!

— Czyli nie jedziesz? — Adam stanął w progu i ponaglił mnie wzrokiem.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

— No chodź, przecież lubisz zabawę w szpiega. — Pociągnął mnie w swoim kierunku.

Posłałam mu płochliwe spojrzenie.

Ruszyliśmy korytarzem w stronę wyjścia.

— Możemy nawet zabrać gazety. Mówiłaś ostatnio, że masz kilka na górze. Mam nadzieję, że ich nie wyrzuciłaś. — Adam uśmiechnął się filuternie, prowadząc mnie przy swoim boku. — A tak poważnie, to Kwiecicki wrzucił niedawno interesującą relację na Instagram. — Podał mi telefon. — Chyba wiem, gdzie go szukać.

Rozdział 26

– Gazety... Może jednak nie przesadzajmy? Ale co powiesz na moją perukę?

– Bardzo chcesz zrobić z niej użytek, co?

– Owszem, niestety na ostatnią akcję zamiast tego musiałam założyć czapkę z daszkiem, nie wspominając o reszcie.

Adam serdecznie się roześmiał.

– Dobra, idź po nią. Będę czekał na dole.

W mieszkaniu pospiesznie przebrałam się w sukienkę, a na głowę wcisnęłam burzę bujnych włosów w kolorze głębokiej miedzi.

Po chwili znów dołączyłam do Adama, a gdy zajęłam fotel pasażera obok niego, z dumą zaprezentowałam mu Basiny łup wyprzedazowy z teatru.

– A ty? – zapytałam, układając dłońmi swoją nową fryzurę.

– Mnie wystarczą ciemne okulary i bejsbolówka.

– Sięgnął do schowka samochodowego, skąd wydobył wymienione rekwizyty. – To co? Kierunek „Neon Side”?

Samochód ruszył.

– To tam? – Zdziwiłam się.

Adam podał mi telefon. Odtworzyłam relację z profilu Kwiecickiego.

– Zwróć uwagę na mural po lewej.

– Czekał...

Miejsce, o którym mówił Adam, odszukałam na internetowej mapie Wrocławia w trybie street view. Na elewacji jednego z budynków zarysowywał się pastelowy rysunek klęczącej postaci w błękitnych spodniach. Dokładnie takich samych, jakie wyłaniały się zza pleców osób

widocznych na filmiku, który nasz podejrzany umieścił w sieci. Nagranie opatrywał sugestywny komentarz na czarnym tle: „Przerwa techniczna”.

Adam miał rację. Kwiecicki musiał być w podwórku z neonami przy Ruskiej.

— Skąd wiedziałeś?

— Swego czasu często bywałem w tym miejscu... — odparł tajemniczo.

— To jaki mamy plan? — Zmieniłam temat. — Zaczaimy się gdzieś i będziemy czekać, aż Kwiecicki coś chlapnie?

— Niezupełnie. — Adam rzucił mi przelotne spojrzenie. — Właściwie to miałem powiedzieć ci o tym wcześniej, między innymi po to do ciebie przyszedłem, ale że okoliczności okazały się takie, a nie inne...

— Dobra, mów wreszcie, o co chodzi. — Niecierpliwiłam się.

— Po tym, jak Kwiecicki przyjął naszą Karolinę do grona znajomych na Facebooku i Instagramie, dokładnie prześwietliłem oba jego profile. I wiesz, co mi wyszło? Że koleś podprowadza Paluchowi różne firmowe fanty, a potem sprzedaje je w sieci.

— No i co to ma do rzeczy?

— Jak to? Nie mogliśmy lepiej trafić!? Mamy solidny punkt zaczepienia! Możemy się do niego dobrać...!

Głośno sapnęłam, aby zamanifestować swój sceptycyzm.

— A ty jak do tego wszystkiego doszedłeś?

— Po prostu. Kwiecicki ze dwa razy udostępnił link do aukcji internetowych, na których opycha to badziewie. Stamtąd trafiłem na konto sprzedającego. Jego zawartość i historia zamówień, widoczna w komentarzach, nie pozostawiają wielu wątpliwości.

— Jesteś pewny, że okrada Palucha?

— Pewny nie. Ale idę o zakład, że właśnie stamtąd pochodzi sprzęt. W przeciwnym razie mielibyśmy tu zbyt wiele zbiegów okoliczności. Skąd miałby mieć te wszystkie podzespoły wideo, jeśli nie z „Best Monitoring”, szczególnie że zaczął nimi handlować na krótko po tym, jak się tam zatrudnił? Oczywiście, istnieje prawdopodobieństwo, że Paluch płaci mu za wykonaną pracę sprzętem, ale osobiście jestem wobec takiego

scenariusza wyjątkowo sceptyczny. Dlatego anonimowo napisałem do niego, że chcę dobić targu.

— I co? Odpisał?

— Odpisał!

Po kwadransie dotarliśmy niemal do celu. Wolne miejsce parkingowe znaleźliśmy przy Włodkowica. Stamtąd pieszo ruszyliśmy w kierunku pasażu przy Ruskiej.

Wkrótce potem trafiliśmy na szarobure podwórko ożywione kilkoma cukierkowymi kolorami farby, którą pomalowano porozstawiane tu i ówdzie elementy z metalu — kwietniki zorganizowane w starych blaszanych beczkach, stelaże w kształcie domków zastępujące łóżka klubowe, bufet-drink baru. Ten ostatni pokrywał przyciągający oko landrynkowy róż. Wyżej, na elewacjach budynków wokół, prezentowały się liczne wrocławskie neony — oryginalne szyldy z lat 60. i 70. ubiegłego wieku, jarzące się nocą barwami całej tęczy. Zgromadzono tu całe mnóstwo starych reklam świetlnych: kinowych, sklepowych, dworcowych, czy wreszcie tych należących niegdyś do okolicznych zakładów przemysłowych. Niektóre z nich pamiętam z lat, gdy jeszcze funkcjonowały w przestrzeni miejskiej. Teraz, po długich latach służby Wrocławowi, wróciły na Ruską, do swojej kulebki, bo to właśnie tutaj mieściło się niegdyś przedsiębiorstwo produkcyjne „Reklama”, które było swego czasu największym wytwórcą neonów na Dolnym Śląsku.

Kwecicki i jego ekipa siedzieli w tym samym miejscu, co jeszcze godzinę temu, kiedy serwisant zdał relację z miejsca swojego pobytu w sieci. Pewnym krokiem minęliśmy z Adamem gwarny pasaż, by zająć miejsca w „łóży” tuż za rogiem podwórka, w którym usadowili się Kwecicki i jego kumple.

— Zabrałeś jakiś sprzęt? — zagadnęłam po cichu Adama.

— Na przykład jaki?

— No nie wiem... Szpiegowski — wyszeptalam konspiracyjnie.

— Przecież mamy go na sobie — powiedział zgrywnie.

Wyciągnął dłoń i odgarnął mi z twarzy kosmyk peruki.

Westchnęłam nieukończona. Dyskretnie przechyliłam się do tyłu i ukradkowym spojrzeniem otaksowałam rozmawiające za narożem budynku postaci. Adam wyjął z kieszeni telefon i zaczął coś na nim sprawdzać.

— ...a słyszeliście, że Hurkacz wygrał na turnieju ATP w Cincinnati z Andym Murrayem?

— No...! Kozak!

Kwecicki spojrzał na swój elektroniczny zegarek. Kilka razy postukał w wierzch jego tarczy palcem wskazującym, po czym wrócił do rozmowy z kolegami. Podobną operację wykonał jeszcze kilkakrotnie w ciągu kolejnego kwadransu. Wreszcie wstał. Do tamtych rzucił przelotnie, że zaraz wróci, zgarnął z ziemi plecak i ruszył w naszą stronę.

Minął nas, obierając kierunek przejścia wychodzącego bezpośrednio na Ruską. Adam wstał. Niemym skinieniem głowy zachęcił mnie do podjęcia pościgu. Przyglądałam włosy i podążyłam za współnikiem.

Józefa Kwecickiego dopadliśmy w bramie. Ależ była obskurna! Bruk zapadał się pod stopami, z pomazanych sprayem ścian tynk łuszczył się wielkimi płatami, a w nozdrza uderzał nieznośny fetor uryny.

— Golem21? — zawołał scenicznym szeptem Adam.

Kwecicki zwrócił się do nas twarzą.

— To ja pisałem w sprawie twardych dysków.

— No siema. — Kwecicki przywitał się luzacko. — Mam przy sobie tylko dwa... — sięgnął do plecaka — ...ale tak, jak gadaliśmy, kilka dodatkowych trzymam na chacie, więc możemy...

— Wszystkie z „Best Monitoring”, co? — zapytał wyzywająco Adam.

Kwecicki powoli wysunął z plecaka pustą rękę, na której wciąż widniał bandaż.

— Oskubywać Palucha... — Adam zacmokał językiem. — Odważnie.

Noga Kwecickiego lekko drgnęła.

— Spokojnie, nie jesteśmy od niego. — Adam zdjął z nosa okulary przeciwsłoneczne.

Spojrzał na mnie.

Phi! Nie zamierzałam rezygnować z mojej fantazyjnej fryzury!?
Założyłam ręce na piersiach.

Adam odchylił na moment głowę do tyłu, po czym znów zwrócił się do Kwiecickiego.

— Chwila... — odezwał się tamten. — To... wy? — Przypatrzył się Adamowi, a mnie obrzucił skonsternowanym spojrzeniem.

Wlepiłam wzrok w brudny sufit tunelu.

Tymczasem Adam, z siłą perswazji godną podziwu, pokrótce wyłuszczył Kwiecickiemu najważniejsze ustalenia redakcji na temat „Best Monitoring” i jego faktycznego właściciela, a tym samym cel naszego obecnego spotkania.

— Dasz nam coś na Palucha, to o tobie zapomnimy — zakończył. — Chyba że wolisz, żeby Paluch w taki czy inny sposób odkrył to, że go kroisz, a firmowy towar opychasz na boku?

— Od początku mi się nie podobaliście — syknął Kwiecicki.

— Z wzajemnością! — wyrwało mi się.

— To jak będzie? — zapytał Kwiecickiego Adam, uspokajając mnie ruchem ręki. — Dać cynk Paluchowi, żeby przeliczył swój sprzęt? Jako bonus dorzucę mu skrzynie z twoich aukcji, łącznie z danymi do przelewu. — Wsunął dłoń do kieszeni. — Chociaż... — zmrużył jedno oko — ...może Paluch nie połączy faktów? Jak myślisz? Sprawdzimy? — Potrząsnął głową. — Ja nie mam nic do stracenia.

Kwecicki zdarł z włosów czapkę, zmiął ją w pięści, po czym znów założył.

— Tak od razu nic wam nie powiem. — Zgrzytnął zębami. — Najpierw sam muszę powęszyc.

— Kontakt do mnie masz — zgodził się Adam. — Poczekam. Byle nie za długo.

Rozdział 27

— To miała być ta „demaskacja”?! — wyplułam wreszcie po kilku minutach marszu Ruską w kierunku Włodkowica, gdzie zostawiliśmy auto. — Mieliśmy zdemaskować go jako mordercę Lempara, a nie złodzieja jakiegoś żelastwa, zapomniałeś?!

— Jest winien, ale nie w sprawie waszego coacha — powiedział spokojnie Adam.

— Co?! A widziałeś jego zabandażowaną rękę?

— Widziałem. Tym bardziej stawiam stówę, że to nie on kropnął Lempara. Policja już na pewno...

— Dużo nie stracisz — przerwałam mu wzburzona.

— Skąd pewność, że Kwiecicki nie da teraz dyla lub, co gorsza, nie sypnie nas Paluchowi?

— Nie przesadzaj, to wbrew jego naturze. Takie cwaniaczki jak on zawsze muszą się jakoś wywinąć. Na odczepne rzuci nam pewnie jakiś ochłap, ale spokojnie, coś z tego wyciśniemy.

— Jesteś pewien?

— Nie. Ale wiele faktów na temat Kwiecickiego, które poznałem, przeszukując jego profile, pozwala mi sądzić, że to była mimo wszystko skuteczna zagrywka. Psychologia to w tym fachu podstawa. — Z zadowoleniem popukał się w skroń.

— Psychologię i pedagogikę mam w małym paluszku — prychnęłam. — Nie zapominaj, że z zawodu jestem nauczycielką! — Zaniósł się śmiechem.

Gdy zatrzymaliśmy się przy samochodzie Adama, ten stanął na moment przy drzwiach od strony pasażera i powiedział:

— Spokojnie, nie zapomniałem o twojej sprawie. — Po czym wpuścił mnie do środka.

Kiedy po chwili uruchomił silnik, znów się odezwał:

— Zahaczmy na moment o moje mieszkanie, okej? Muszę zabrać swoją legitymację prasową — rzucił mi przelotne spojrzenie. — Przyda się do wniosku na Połbina.

Mieszkanie Adama mieściło się na jednym ze stosunkowo nowych osiedli na Hubach. Miał stąd dobry dojazd na stary Borek. Surowy wystrój wewnątrz zdradzał typowo męski charakter tego miejsca, a dwie szczoteczki do zębów w osobnych plastikowych pojemnikach na umywalce świadczyły o tym, że Adam ma współlokatora.

— Mieszkasz z kimś? — Weszłam do kuchni i nieśmiało oparłam się o zabudowę, zaplatając ręce na klatce piersiowej.

Stojący naprzeciwko Adam odstawił opróżnioną szklankę po wodzie i zbliżył się do mnie na odległość kilkudziesięciu centymetrów.

Przyspieszyło mi serce. Opuściłam ręce wzdłuż ciała.

— Z kolegą ze studiów — powiedział i przesuwając dłonie po moich plecach, delikatnie przyciągnął mnie do siebie.

Już oplatałam ręce wokół jego szyi, gdy z przedpokoju dobiegł dźwięk wkładanego do zamka klucza. W popłochu podkurczyłam łokcie. Adam sapnął pod nosem i pozostawiawszy mnie przy kuchennej zabudowie, wychylił się przez próg.

— Siema, a ty co tak wcześniej? — zapytał zdziwiony.

— Siema. Odbieram nadgodziny. A ty? — Minał Adama i zniknął za drzwiami łazienki.

Adam wyciągnął do mnie dłoń. Chwyciłam ją bez namysłu i w ślad za nim wyszłam do przedpokoju.

— To co? — zwrócił się do mnie. — Wracamy do redakcji?

Kiwnęłam głową.

Współlokator Adama wyszedł tymczasem z łazienki.

— Aaa, sorry, nie chciałem przeszkadzać. — Zmieszał się lekko. — Zaraz wychodzę, mam coś do załatwienia — uciął. — Cześć, Dawid jestem.

— Przedstawił się, wyciągając do mnie rękę.

— Marta.

— Marta...? — Przyjrzał mi się, jakby już wcześniej mnie widział, a teraz nie mógł rozpoznać.

— Wracamy z akcji — wyjaśniłam, zdejmując perukę.

— No, tak. Wy i te wasze tajne misje. — Wyszczrzył się. — Miło poznać. Dużo o tobie słyszałem. Naprawdę wiele. — Porozumiewawczo zerknął na Adama.

Zapłonęły mi policzki.

— Wpadliśmy tylko na chwilę — powiedział Adam. — W redakcji czeka na nas robota.

Gdy dotarliśmy z powrotem na Kampinoską, na schodach prowadzących do wejścia willi siedziała Józia. Kotka weszła za nami do środka i zatrzymała się pod dwójką. Wpuściłam ją do mieszkania opiekunki, obiecując, że niebawem znów do niej zajrzę.

W redakcji towarzyszyłam Adamowi przy wypisywaniu wniosku o dostęp do zasobów wrocławskiego archiwum policyjnego na Kozanowie. Jako załącznik Adam dodał skan swojej legitymacji prasowej.

— Co teraz? Pojedziesz z tym na Połbina?

— Nie, wnioski przyjmują w biurze przepustek na Podwalu. Chcesz się ze mną przejechać?

— Żartujesz? Jeszcze potraktują mój przyjazd jako dobrowolne poddanie!

Rozdział 28

Tego dnia siedziałyśmy z Anką w naszym gabinecie, każda pogrążona we własnych sprawach.

Przeglądałam konta społecznościowe swoich kolejnych podejrzanych, poczynając od Agnieszki, a na Kwiecickim kończąc. Do diaska, coś musiało być na rzeczy – pomiędzy tą dwójką, rzecz jasna. Oboje od kilku dni publikowali intrygujące zdjęcia świadczące o tym, że każde z nich rozpoczęło nowy związek, ale jednocześnie żadne nie ujawniało tożsamości swojego wybranka.

Kontynuowałam przeglądanie internetu, gdy w progu biura stanął Adam.

— Mam dwie wiadomości — powiedział. — Dobrą i jeszcze lepszą. Od której zacząć?

— Od tej gorszej, wiadomo. — Anka przewróciła oczami.

— Serwisant z „Best Monitoring”, któremu przyglądamy się z Martą, postanowił dać nam cynk o planowanym spotkaniu „biznesowym” Palucha z Bednarczykiem.

— Sam z siebie postanowił? — Anka podniosła jedną ze swoich starannie wymodelowanych brwi.

— Trochę go zachęciliśmy. — Wyszczерzył się i puścił mi oko.

— To teraz niech się jeszcze przyzna, że to on sprzątnął Lempara! — zażądałam śmiało.

— Przecież Zaremba twierdzi, że sprawcą jest kobieta? — przypomniała mi dziennikarka.

— Bo nie wie wszystkiego! — Podparłam dłonią policzek. — To mogą być jedynie pozory!

— Bez względu na to, co wie pani komisarz... — włączył się znów Adam — ...wkrótce może i my pozyskamy informacje, które rzucą na całą sprawę nowe światło. Dostałem zgodę z Połbina. Wyznaczyli mi termin na ten poniedziałek. To ta lepsza wiadomość. — Wszedł do biura, zajął jedno z wolnych krzeseł obrotowych i sunąc nim po podłodze, zbliżył się do mnie na odległość mniejszą niż wyciągnięcie ręki. — Wkrótce będzie po wszystkim. — Wierzchem dłoni delikatnie szturchnął mnie w kolano.

Spiekland raka.

— To niestety oznacza... — wznowił po chwili — ...że nie będę mógł wziąć udziału w obserwacji spotkania Palucha z Bednarczykiem, które zaplanowali na ten sam dzień.

— Poradzimy sobie — odparła Anka, okręcając się na fotelu biurowym. — Wiadomo, co to za miejsce?

Adam wyświetlił mapę wrocławskiego centrum na ekranie swojego smartfona, pokazał ją mnie, a następnie wstał i podał telefon Ance.

— Na szczycie tego budynku znajduje się bar, kojarzycie? — zapytał. — Mamy szczęście, że to taras.

— Nie powinno być problemu z wykonaniem dyskretnych zdjęć — podsumowała Anka.

Oddała Adamowi urządzenie, po czym pochyliła się nad swoim laptopem i zaczęła pisać na klawiaturze.

— Zgadza się, wystarczy wejść na któryś z okolicznych dachów...

— Pestka — prychnęła Anka.

— No ale same fotki chyba nie wystarczą? — włączyłam się niepewnie.

— Zgadza się — potwierdził Adam. — Trzeba będzie podłożyć też podsłuch, dlatego potrzebujemy do tej roboty co najmniej dwóch osób.

— Podsłuch? — Wybałuszyłam oczy. — Ale jak?

— Ja się tym zajmę — rzuciła nonszalancko Anka. — Ty możesz robić zdjęcia.

— Świetny pomysł — poparł ją Adam. — To będzie twoja pierwsza taka akcja, spodoba ci się. — Do wyszczerzonych zębów Adam dodał podniesione brwi.

— Mogę liczyć na jakieś miniszkolenie? — Nie wiedziałam, czy uczucie, które wnet mnie ogarnęło, świadczyło bardziej o mojej ekscytacji czy raczej o przerażeniu.

— Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Adam wstał z zajmowanego miejsca, wsunął dłoń pomiędzy moją rękę a podłokietnik, na którym ją opierałam, i zdecydowanym ruchem poderwał mnie do góry tak, że niemal straciłam równowagę.

Korzystając z okazji, oburącz chwyciłam się jego naprężonych bicepsów. Wtedy spotkały się nasze spojrzenia. Wciągnęłam nosem jego zapach, aż zawirowało mi w głowie! Że też z drugiego końca biura musiała obserwować nas Anka!

Po tyłu już nieudanych próbach zwątpiłam w to, że kiedyś nadejdzie ten moment, kiedy bezwładnie runę w ramiona Adama, by wreszcie zatopić się w jego pocałunku...

Powściągnawszy swe pragnienia, chrząknęłam, po czym z niewypowiedzianym bólem duszy wyswobodziłam się z jego rąk. Złapałam swój telefon i wymawiając się nagłym przypomnieniem sobie o czymś ważnym, uciekałam na poddasze.

Dlaczego!? Ach, dlaczego właśnie teraz...!? Czy cała ta afera ze śmiercią coacha musiała się przytrafić akurat nam? W „UrbanClass” i to z udziałem „Best Monitoring”? Po co Lempar w ogóle umierał!? Nie mógł, jak prawdziwy mężczyzna, po prostu wypić tego piwa, które sam nawarzył? Szczególnie przecież, że większość facetów za piwem, dziwnym trafem, jakoś przepada... Szkoda, że nam trafił się abstynent!

Kiedy kwadrans później z powrotem zeszłam do redakcji z nadzieją na odtworzenie tej błogiej chwili uniesienia w nieco bardziej dogodnych warunkach, ku mojemu rozczarowaniu w gabinecie, w którym zwykle pracował Adam, zastałam już nie tylko jego, ale i Walczewskiego, który musiał zjawić się na miejscu dosłownie chwilę przede mną. Z uśmiechem przywitałam się z redaktorem, lecz w duchu pomstowałam jego wyczucie czasu.

— Dobrze, że już jesteś. — Adam pochylał się nad swoim biurkiem wsparty na szeroko rozstawionych rękach.

Leciutko opadający dekolt koszulki subtelnie odsłaniał jego harmonijny tors.

— Właśnie sprawdzam na mapie, jakie mamy możliwości w kwestii zrobienia zdjęć Paluchowi.

Zbliżyłam się do niego, położyłam na blacie swój smartfon i zerknęłam mu przez ramię. Mimowolnie spłycałam oddech.

— Najdogodniejszą perspektywę miałabyś z dachu tego hotelu. — Adam wskazał długopisem najpierw budynek butikowego obiektu noclegowego w ścisłym centrum miasta, a zaraz potem miejsce, gdzie mieli spotkać się Paluch z Bednarczykiem. — W stosunku do niego taras położony jest trzy piętra niżej. Stąd...

— wskazał południowo-wschodni róg kamienicy — ...miałabyś na niego najbardziej optymalny widok.

Najbardziej optymalny widok miałam teraz. Przebiegłam wzrokiem po musniętej słońcem skórze Adama, jednak prawie natychmiast spłoszył mnie głos Walczewskiego, który — dotąd zajęty przy swoim notebooku — naraz podniósł na nas spojrzenie.

— Nie jestem przekonany, czy dach hotelu to właściwe miejsce — odezwał się tonem, przez który przebijała nutka sceptycyzmu. — Nie wiadomo, czy wejście na niego jest na co dzień otwarte. Poza tym... nie zapominajcie o ewentualnej ochronie.

— Fakt, ja też o tym pomyślałem — potwierdził Adam. — Dlatego bezpieczniej będzie przedostać się na strych którejs z tych kamienic... — wskazał rząd zabytkowych zabudowań po przeciwległej stronie ulicy — ...i zrobić zdjęcia przez otwarte okno.

— No ale jak ja bym miała tam wejść?

— Większość strychów w tego typu wspólnotach mieszkaniowych jest dzielona pomiędzy wszystkich lokatorów. Ze względu na to są powierzchniowo raczej nieużytkowane, rzadko kiedy zamyka się je na klucz. Wiem, bo sam swego czasu mieszkałem w takim miejscu.

— Na strychu? — zakpiła Anka, przechodząc z naszego biura do gabinetu redaktora i Adama.

Położyła na biurku Walczewskiego jakieś dokumenty.

— W takiej kamienicy. — Adam łypnął na nią kąśliwie.

— Nie ma nic złego w mieszkaniu na strychu — bąknęłam.

— Jakoś mi się nie wydaje, żeby można było tak po prostu wejść na któreś z tych poddaszy. — Anka wróciła do przerwanej narady. — Co, jeśli to się nie uda?

— Standardowo musicie mieć jakiś plan B — powiedział Walczewski.

— Okej, w razie czego wszystkim się zajmę — oznajmiła brawurowo Anka. — Choć naprawdę nie rozumiem, po co mieszać w to Martę? Sama mogę zrobić zdjęcia i to ze znacznie bliższej odległości. W końcu będę na miejscu, tak?

— Daj spokój, to zbyt niebezpieczne — odparł Adam.

— Mówisz tak, jakbym miała robić to po raz pierwszy.

— Myślę, że udział Marty w tej akcji to dobry pomysł. — Poparł mnie redaktor. — Nie ma lepszego treningu niż ten w warunkach naturalnych. Nawet gdyby coś nie wyszło tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, dla Marty to będzie cenne doświadczenie. W końcu najszybciej uczymy się na własnych błędach. Chyba nie zaprzeczysz? — Posłał dziennikarce znaczące spojrzenie.

Policzki Anki przybrały barwy szkarłatu.

— Dobra, jak chcecie — zabalgotała wręcz i szybko wyszła na korytarz.

Spojrzałam pytająco na Adama, lecz ten milczącym gestem dał mi do zrozumienia, że to nie jest dobry moment na roztrząsanie redakcyjnych tajemnic.

— Kiedy znajdziesz dogodny punkt obserwacyjny...

— znów skierował moją uwagę na rozpostartą na stole mapę — ...rozstawisz sprzęt.

Przekręcił klucz w zamku szafki z redakcyjnymi gadżetami szpiegowskimi. Przyjemny dreszczyk połąskotał mnie tuż pod pępkiem.

Kolejno wyjmowane ze schowka futerały Adam układał na stole.

— Najpierw statyw. — Otworzył pierwszy z pokrowców. — Rozkłada się go w ten sposób. — Zaprezentował.

— Tu jest aparat, a obiektyw... — zastanowił się przez chwilę i zmrużywszy jedno oko, szeptał coś pod nosem. — Ten powinien się nadać. Gdyby nie wystarczył, użyjesz tego telekonwertera. Później przeszkolę cię z ich obsługi. — Osprzęt zamocował na lustrzance.

— I teraz ważne — rzucił mi szybkie spojrzenie i nachylił się do aparatu. — Po skończonej akcji wyjmiesz stąd kartę pamięci i zrzucisz zdjęcia tutaj. — Ruchem głowy wskazał leżący na biurku tablet. — Z tabletu zgrasz je też na pendrive. Hasła podam ci później, będziesz musiała nauczyć się ich na pamięć. Każdą z tych rzeczy w miarę możliwości trzymaj na wszelki wypadek osobno.

— Dlaczego?

— Ze względów bezpieczeństwa.

— Spokojna głowa, nikt nie będzie się mnie czepiał — powiedziałam nonszalancko.

— Niestety, tego nigdy nie wiesz.

Rozdział 29

W poniedziałek około południa w drodze do policyjnego archiwum na Kozanowie Adam podrzucił mnie do centrum. Pomimo jego sprzeciwu postanowiłam zabrać ze sobą Klaudię, która wciąż nie mogła uwierzyć w to, czego niedawno dowiedziała się ode mnie o Bednarczyku. Nalegała, by być obecną podczas demaskacji jego brudnych interesów, bo tylko w ten sposób mogła poznać drugą twarz szefa.

Poza tym z Anką też miał ktoś być. Wspominała o jakimś chłopaku.

Do spotkania biznesmena z Paluchem pozostawała godzina, więc czasu było aż nadto, aby przedostać się na dach któregoś z okolicznych budynków i ustalić na nim tajny punkt obserwacyjny.

Słońce górowało w zenicie, zalewając miasto żarem. Czułam, jak pod daszkiem czapki grzywka przykleja mi się do czoła, a mimo to po karku raz po raz przemykał mi zimny dreszcz. Torba z redakcyjnym sprzętem bardzo mi ciążyła. Nie tylko z powodu jej faktycznej wagi, ale przede wszystkim dlatego, że miałam przy sobie cudzą, a do tego wyjątkowo kosztowną własność.

Zatrzymałyśmy się z Klaudią przed wejściem do pierwszej z kamienic położonych przy głównej ulicy, nieopodal rynku od strony zachodniej. Nabrałam powietrza do płuc i kolejno przycisnęłam każdy z guziczków na domofonie. Jednak nikt nie podniósł słuchawki. Po chwili bezowocnego oczekiwania skierowałyśmy się do drzwi usytuowanych kilkanaście metrów dalej.

Dopiero przy trzeciej próbie odezwał się ktoś po drugiej stronie.

— Administracja! — zaanonsowała Klaudia obniżonym tonem.

Z głośniczka dobiegło charakterystyczne bzyczenie. Pchnęłam drzwi i ruchem ręki dałam współniczkę znak, by podążyła za mną.

Chłód klatki schodowej przyjemnie omiół nasze sylwetki, podsycając działanie adrenaliny. Minęliśmy główny hol i po cichutku wspięliśmy się po schodach na samą górę, aż pod drzwi prowadzące na strych. Wychyliłam się przez barierkę, by upewnić się, że nikt nie przyłapie nas na myszkowaniu. Kiwnęłam do Klaudii, posyłając jej sygnał do działania. Wtedy ta chwyciła za klamkę i energicznie ją pociągnęła. Zamknięte! Musiałyśmy się wycofać.

W ciągu kolejnego kwadransa podobnych prób wykonałyśmy jeszcze kilka. Niestety, wyglądało na to, że przedostanie się na którykolwiek ze strychów było niemożliwe. Anka miała rację.

W kieszeni zawibrował mi telefon.

„Jesteś już na miejscu?” — pisała w SMS-ie reporterka. „Jakoś Cię nie widzę. I coś mi mówi, że to nie dlatego, że się tak dobrze ukryłaś. Jakies problemy? Przechodzimy do planu B?”

„Daj mi jeszcze kilka minut, wkrótce będę gotowa” — odpisałam, choć w głowie z coraz większą goryczą odzywała się myśl, że mój wielki plan spełzył na niczym, a dziennikarskie doświadczenie Anki po raz kolejny pozostawi mnie daleko w tyle.

— Myślisz, że Anka i jej chłopak zdołają zrobić im zdjęcia z bliska? — zapytała Klaudia, próbując przekrzyczeć uliczny zgiełk. — A co będzie, jeśli Paluch ich nakryje?

— Anka nie da się schwytać — ucięłam, skanując wzrokiem okoliczne dachy oraz potencjalne drogi, którymi mogłybyśmy się na nie przedostać.

Pędzące w obu kierunkach auta wreszcie się zatrzymały. Przy pobliskim przystanku MPK stanął autobus. Na przejściu dla pieszych zapaliło się zielone. Przechodnie wkroczyli na jezdnię.

— Raz kozie śmierć — szepnęłam.

Zdecydowanym krokiem wmieszałam się w tłum.

Minęłam platformę tramwajową, a gdy dotarłam na przeciwną stronę jezdni, przeszłam chodnikiem wzdłuż budynków do najbliższego skrzyżowania. Tam skręciłam w lewo, w kierunku wejścia do butikowego hotelu, o którym kilka dni wcześniej rozmawialiśmy w redakcji i jeszcze

pół godziny temu w samochodzie Adama podczas jazdy z Borka do śródmieścia.

— No co ty...? — Klaudia próbowała dotrzymać mi kroku. — Sami mówiliście z Adamem, że to może być kiepski pomysł. Zapomniałaś?

— Nie mamy wyjścia. Najwyżej nas wyrzucą. — Utrzymywałam tempo. — Nie pije szampana ten, kto nie ryzykuje, no nie?

— Szczerze? Zwykle nie pije go ten, kogo po prostu na niego nie stać!

Hol budynku był niewielki, lecz optycznie znacznie powiększało go potężne lustro zawieszona na jednej ze ścian. Gustowne tapety, zdobione ornamentami w stylu glamour kontrastowały z marmurowymi płytkami, czarnymi i kremowymi, przeplatany siecią dekoracyjnych pajęczyn, ułożonymi na podłodze na przemian we wzór karo. Sufit błyszczał żyrandolami w złotych okuciach. Pod ścianami stały pikowane sofy skórzane oraz rośliny w wielkich, żeliwnych donicach. Całości dopełniał zapach rodem z luksusowej perfumerii.

Pewnym krokiem ruszyłam w stronę wind. Klaudia podążała za mną. Ochroniarz w ciemnym garniturze, którego minęliśmy w holu, zdawał się nie zwrócić na nas większej uwagi. Na pewno wziął nas za hotelowych gości.

Za zakrętem, zza obudowanego drewnem kontuaru, skinęła do nas recepcjonistka, posyłając w naszą stronę usługę „dzień dobry”. Obie odpowiedziałyśmy jej równie uprzejmym tonem, lecz ani na chwilę nie zwolniłyśmy kroku. Kiedy wreszcie dotarłyśmy do wind, szybko wcisnęłam odpowiedni guzik. Mimowolnie się obejrzałam. Ochroniarz stojący dotąd przy wejściu musiał rozpocząć właśnie przerwę. A może udał się na stronę, bo nie spostrzegłam go w miejscu, w którym stał jeszcze chwilę wcześniej.

W duchu odetchnęłam. Wbrew wszelkim przewidywaniom prześlizgnięcie się na dach hotelu nie stanowiło najmniejszego problemu.

Otworzyła się jedna z wind. Weszłyśmy z Klaudią do środka. Wybrałam numer najwyższego piętra. Torbę ze sprzętem postawiłam na ziemi i znów się wyprostowałam, patrząc jak zasuwały się drzwi. Uśmiechnęłam się do koleżanki, lecz gdy z powrotem zwróciłam wzrok na zwięzającą się szparę,

z przerażeniem odkryłam, że ochroniarz, który na moment zniknął mi z pola widzenia, teraz zmierzał prosto na nas.

Rozdział 30

Drzwi zasunęły się do końca, lecz zanim winda zdążyła ruszyć, ktoś ją wstrzymał. Do środka wszedł ochroniarz.

— To co? — zwróciła się do mnie Klaudia. — Szybki prysznic po treningu i widzimy się w restauracji na dole? Dasz radę w dwadzieścia minut?

Wymieniłyśmy się spojrzeniami.

— Jasne, myślę, że się wyrobie.

Nie nawiązując z żadną z nas kontaktu wzrokowego, po chwili wahania mężczyzna wcisnął dwójkę, po czym zaplatając z przodu dłonie, zwrócił się twarzą do drzwi, a plecami do nas.

Po chwili winda zatrzymała się i ochroniarz ją opuścił.

Wreszcie dotarliśmy na najwyższe piętro budynku. W korytarzu natknęłyśmy się jeszcze na pokojówkę. Prowadziła przed sobą wózek wyposażony w sprzęty i środki myjące, a także świeże ręczniki i bieliznę pościelową. Kiedy nas mijała, skinęłam do niej głową. Odpowiedziała mi tym samym, sunąc z wózkiem dalej przed siebie. Przebiegłam wzrokiem po zaciemnionym korytarzu. Oświetlała go jedynie wątła poświata sącząca się z kinkietów umieszczonych na ścianie co kilka metrów. Na końcu korytarza dojrzałam drzwi, a ponad nimi — fluorescencyjną tabliczkę z napisem „Wyjście ewakuacyjne”. Ruszyliśmy z Klaudią w tamtą stronę.

Po chwili skryłyśmy się we wnęce drzwiowej ostatniego z pokoi. Oczekałam moment, po czym ostrożnie się wychyliłam, aby zlokalizować pokojówkę. Wózek ze sprzętem stał teraz przy wejściu do któregoś z apartamentów w drugim końcu korytarza. Kobieta najpewniej była już w środku.

Natychmiast przyskoczyłam do drzwi, które musiały prowadzić na dach.

„Proszę, bądźcie otwarte!” – szepnęłam błagalnie. Chwyciłam klamkę i z zaciśniętymi powiekami energicznie pchnęłam drzwi. Hotelowy korytarz na moment rozświetlił blask południowego słońca.

Bez namysłu wybiegłyśmy z Klaudią na zewnątrz.

Rzęzenie umieszczonych na dachu potężnych skrzyń klimatyzacyjnych tłumilo dobiegające z dołu odgłosy ulicznego ruchu. Podążyłyśmy w kierunku południowo-wschodniej krawędzi dachu. Z tej perspektywy miasto wyglądało zupełnie inaczej. Imponująco! W dole, po połyskującym asfalcie, poruszały się samochody, autobusy i tramwaje. Chodnikami spieszyli przechodnie. W oknach mieszkańców po drugiej stronie ulicy można było dojrzeć kolekcję roślin sezonowych. Nieco powyżej czerwienił się gąszcz dachów, z którego wyrastały kominy oraz setki metalowych anten telewizyjnych.

Rozglądając się wokół, wypatrzyłam kilka tarasów. Wśród nich najokazalej prezentował się ten, na którym lada moment Paluch miał się spotkać z Bednarczykiem. Wyjęłam z torby lornetkę, by obejrzeć kwaterę w powiększeniu. Przebiegłam wzrokiem po źdźbłach pokrywającej go sztucznej trawy, następnie po łodygach trzciny osłaniających przednią część barowego kontuaru, i wreszcie po napisach widniejących na etykietach napojów chłodzących się w lodówce w głębi.

Anka siedziała tuż przy barze. Ktoś z nią był, ale jego postać przysłaniał mi gęsty, żywy bambus. Dobrze, że właśnie to miejsce wybrali, bo w ten sposób uniemożliwili naszym ptaszkom skrycie się za rośliną.

Wszystkie pozostałe stoliki były ustawione prostopadle do transparentnej ściany tarasu wychodzącej na główną ulicę. Gdziekolwiek by usiedli nasi podejrzani, powinnam zdołać uchwycić na zdjęciach wszystkie interesujące nas gęby, zupełnie tak jak widziałam teraz twarze pary innych gości zajmujących jeden ze stolików.

Znów przeskoczyłam wzrokiem na Ankę. Dziennikarka musiała dojrzeć mnie w tym samym momencie. Choć dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów w linii prostej (nie licząc różnicy trzech pięter), miałam wrażenie, że nasze spojrzenia się przecięły.

Odjęłam lornetkę od oczu i w pośpiechu wycofałam się za najbliższy komin, pociągając za sobą Klaudię.

— Ktoś cię zobaczył?

— Na szczęście tylko Anka. Ale musimy być ostrożne.

Lornetkę oddałam Klaudii, sama zaś zajęłam się rozkładaniem sprzętu fotograficznego.

— Ale bajer! — Zachwyciła się Klaudia, spoglądając przez lornetkę. — Jakie to daje zbliżenie?

— Dziesięciokrotnie, to profesjonalny sprzęt szpiegowski — odparłam z zadowoleniem.

Po upływie kilku minut aparat stał już na statywie z zamocowanym na nim potężnym obiektywem teleskopowym. Spojrzałam przez wizjer. Takiego efektu się nie spodziewałam! Byłam gotowa do akcji.

W samą porę, gdyż na taras wszedł właśnie pracownik obsługi z przewiązaniem w pasie czarnym fartuchem, a za nim trzech innych mężczyzn oraz kobieta, wszyscy w biznesowych strojach.

Przyspieszył mi puls.

Anka wstała z miejsca. Posyłając w stronę tego kogoś za bambusem serię zalotnych spojrzeń, ruszyła w stronę wyjścia. Kiedy mijała stojącą przy jednym ze stolików grupkę gości, zdołałam zarejestrować moment, w którym dłoń dziennikarki zręcznie prześliznęła się pod blatem mebla. Wszystko wskazywało na to, że rejestrator podsłuchowy został pomyślnie zdeponowany we właściwym miejscu.

Minąwszy ekipę Palucha, Anka udała się do wyjścia. Tymczasem goście zajęli miejsca przy stoliku. Kelner przyjął od nich zamówienia i odszedł w stronę baru, by przygotować napoje, których tamci sobie zażyczyli.

W obiektywie aparatu towarzystwo prezentowało się pierwszorzędnie. Na rozgrzewkę pstryknęłam im kilka próbnych ujęć.

Mężczyźni żartowali między sobą. Spoglądająca dotąd w kierunku panoramy miasta kobieta wreszcie zwróciła twarz w naszą stronę.

— O kurteczka... — wyszeptała Klaudia, obserwując podejrzanych przez lornetkę. — Angela...? To oni nadal razem pracują!? A miałam ją za porządną dziewczynę.

— Angela? — zapytałam. — A kim ona jest dla twojego szefa?

— Ale to przecież nie jest Ryszard Bednarczyk!?

Rozdział 31

Odkleiłam twarz od aparatu. Przetwarzając słowa Klaudii, mechanicznie zamrugałam.

— Czekaj, może przez lornetkę nie widzisz ich wystarczająco wyraźnie? Zerknij przez wizjer aparatu. To obiektyw reporterski, ma naprawdę świetny zoom. — Zrobiłam jej miejsce przed statywem.

— Lornetka jest jak najbardziej w porządku, widzę nawet guziki na ich koszulach! I owszem, to jest Bednarczyk, ale nie mój przełożony, Ryszard, tylko jego brat, Janusz!

— Kto...? — Podniosłam zmarszczoną brew.

— Janusz, jego brat bliźniak!

— Co...!?! To twój szef ma bliźniaka?! — Wytrzeszczyłam oczy. — Dlaczego nic wcześniej nie mówiłaś!?

— Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Zwłaszcza że już od dawna nie miałam z Januszem do czynienia.

— Więc skąd pewność, że to właśnie ten drugi?

— Widzisz sygnet na jego palcu?

Spojrzałam przez obiektyw.

— Mój szef takiego nie nosi. Za to jego brat owszem. Pokłócili się o niego jakieś dwa lata temu, a w rezultacie podzielili firmę. Ryszard skupił się na otwieraniu profesjonalnych biur pod wynajem w największych polskich miastach, a Janusz poszedł w typową deweloperkę.

— I poróżnił ich jakiś głupi pierścionek!?

— Żartujesz? To osiemnastokaratowe złoto z czerwonym diamentem! Jest wart kupę kasy! Choć to akurat ma drugorzędne znaczenie. To rodzinna pamiątka Bednarczyków, pochodzi z XIX wieku. Od pokoleń zawsze dziedziczył go najstarszy syn...

— Ale ich jest dwóch.

— Właśnie. Janusz uważał, że pierścień należy się jemu. No wiesz, chodziło o prestiż... Podobno to on urodził się pierwszy, choć ich matka często zmieniała wersję zdarzeń. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to on był tym silniejszym, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę jego perswazyjną siłę mięśni... — Zaniósł się śmiechem, zakrywając dłonią usta. — Kiedy więc przed dwoma laty zmarła pani Bednarczykowa, Janusz wreszcie przechwycił to, co, jak uważał, już od dawna należało się jemu. On zawsze grał nieczysto. — Zaczekała z niesmaczona. — No tak! Wszystko się zgadza! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam...? Można się było spodziewać, że z gansterami układa się Janusz, a nie Ryszard Bednarczyk! To przecież w jego stylu! Zawsze był łasy na pieniądze. Tylko że ja na śmierć zapomniałam o jego istnieniu!

— I jesteś pewna, że to jest ten Janusz? W takim razie nie rozumiem, dlaczego informator Walczewskiego zidentyfikował go jako twojego szefa?

— To proste! Kiedy Ryszard odkrył brak sygnetu w rodzinnym sejfie, Janusz uciekł ze swoją zdobyczą za granicę. Przesiedział tam jakiś czas, nie dając żadnego znaku życia. Pewnie dlatego nikt się nie połapał, że nagle wrócił! Jestem pewna, że sam prezes... — urwała w środku zdania. — A jeśli to jest ta rzecz, którą poza sprawami służbowymi miał załatwić we Wrocławiu? Był taki tajemniczy... Nic z tego nie rozumiem. Po co miałby zatajać przyjazd swojego brata?

Spojrzałam przez wizjer aparatu i machinalnie pstryknęłam kilka kolejnych zdjęć.

— Angela to asystentka Janusza, zgadza się? — Po chwili milczenia wróciłam do meritum.

— Tak.

— Czyli... w razie czego, ty nam nie pomożesz?

— Na razie nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym w tej sytuacji zrobić. Prezes na pewno...

Ciężko westchnęłam.

— Przepraszam, niepotrzebnie cię w to wmieszałam — przerwałam jej.

— Gdyby nie wasabi, wino wiśniowe i... — Posłałam Klaudii skruszony

uśmiech. — Twój udział w sprawie od początku był czymś ekstra, wiesz, takim pozornym szczęśliwym zrzędzeniem losu. To było po prostu zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Wyglupiłam się i tyle. A do tego naraziłam cię na stres i ewentualne nieprzyjemności, gdyby ktoś nas przyłapał. — Łypnęłam w stronę drzwi, przez które dostałyśmy się na dach.

— Żartujesz? To najlepsza przygoda, jaką kiedykolwiek przeżyłam! — Zachichotała Klaudia. — A ty przynajmniej masz towarzystwo.

Na tarasie zobaczyłam znów Ankę. Dziennikarka ponownie zajęła miejsce obok tej osoby, której postać przysłał mi bambus. Podejrzany podano zamówioną kawę i wodę. Tymczasem kobieta biorąca udział w spotkaniu sięgnęła do swojej torby.

Pstrykając jej serię fotek, wstrzymałam oddech.

Angela położyła na blacie pendrive'a. Bednarczyk pchnął go w kierunku Palucha. Mężczyzna sięgnął po niego lewą ręką, a prawą uniósł do swojego goryla, siedzącego zaraz obok. Ten zanurkował dłonią pod klapę marynarki, wyjął tablet i podał go Paluchowi. Bandzior wpiął do niego pamięć przenośną. Wreszcie skinął głową, odłożył pendrive'a na stół i, raz po raz zerkając na swoich kooperantów, przez chwilę przesuwając palcami po ekranie tabletu. Kobieta w tym czasie gmerała w torebce. Po chwili Paluch oddał urządzenie gorylowi.

Angela wyjęła z torebki smartfon, który podała swojemu szefowi. Bednarczyk przez chwilę coś na nim sprawdzał. Oddał go kobiecie, a ona wrzuciła go z powrotem do torebki. Biznesmen wyciągnął ponad stołem rękę do Palucha. Gangster ją uściśnił, po czym zgarnął z blatu swoją nową własność.

— Wygląda na to, że Paluch i Bednarczyk dobili targu — odezwałam się, nie przestając uwieczniać tego wszystkiego w pamięci redakcyjnego aparatu. — Mam nadzieję, że podsłuch zarejestrował coś ciekawego, bo same zdjęcia to i tak za mało.

— Poczekaj... — Klaudia przyłożyła palec do ust, jakby intensywnie nad czymś myślała. — Tak się zastanawiam... Przecież ja znam Angelę. Fakt, daleko nam do przyjaciółek, ale może uda mi się z niej coś wyciągnąć?

— Żartujesz? Dlaczego miałyby ci cokolwiek powiedzieć? Jest w tę sprawę zamieszana tak samo jak Bednarczyk.

— A ty jak zwykle swoje!

— Mam wszystko na zdjęciach — sapnęłam. — Chcesz obejrzeć?

— Widziałam wystarczająco wiele.

Spotkanie Palucha z Bednarczykiem dobiegło końca. Podejrzani udali się do wyjścia. Anka pozostała na swojej pozycji, a ja przystąpiłam do zabezpieczenia zarejestrowanego materiału tak, jak poinstruował mnie wcześniej Adam.

Z aparatu fotograficznego wyjęłam kartę pamięci. Zdjęcia zgrałam na dysk tabletu, który również ze sobą miałam. Zrobiłam też kopię zapasową przy użyciu zaszyfrowanego pendrive'a, który zaraz przekazałam Klaudii. Schowała go w portfelu, a ten wrzuciła do saszetki, którą miała ze sobą.

Kartę pamięci zachowałam ja — ukryłam ją w kieszeni szortów. Złożyłam sprzęt fotograficzny, wpakowałam go z powrotem do torby i dałam Klaudii sygnał do odwrotu.

Ruszyliśmy w kierunku drzwi, którymi wcześniej wydostałyśmy się na zewnątrz.

— Najpierw sprawdzę, czy droga wolna — szepnęłam do Klaudii, przytrzymując ją dłonią tuż za sobą.

Kiedy wyciągając rękę w stronę drzwi skierowałam na nie wzrok, zrozumiałam, że tą drogą nie uciekniemy. Skutecznie uniemożliwiła to nieruchoma gałka umieszczona po tej stronie drzwi.

Rozdział 32

— I co teraz?! — zapytała poważnie zaniepokojona Klaudia.

Mnie też obleciał strach.

— Spokojnie, coś wymyślimy.

Wyjęłam z kieszeni smartfon. Wybrałam kontakt do Anki, która musiała być nadal gdzieś w pobliżu. Nie odbierała. Spróbowałam jeszcze raz, ale bez skutku. Czując rosnące zdenerwowanie, zdecydowałam się zadzwonić do Adama, choć spodziewałam się, że nie będzie mógł odebrać. Ale jego numer był poza zasięgiem.

Lypnęłam na Klaudię, której twarz wyrażała coraz większe napięcie.

— Nikt nie odbiera?

Pokręciłam głową.

— Spróbuję skontaktować się z Grzegorzem — powiedziałam, po czym znów przyłożyłam smartfon do ucha.

Redaktor odrzucił połączenie, a mój telefon odebrał automatyczną notkę SMS.

„Oddzwonię później”.

„SOS! Utknęłam na dachu!” — odpisałam krótko.

Upływały kolejne minuty, a Walczewski wciąż nie dawał żadnego znaku.

Położyłam torbę z redakcyjnym sprzętem przy drzwiach i ruszyłam w stronę krawędzi dachu.

— Co zamierzasz zrobić? — chciała wiedzieć Klaudia.

— Szukam wyjścia ewakuacyjnego.

Klaudia obrzuciła wymownym spojrzeniem drzwi.

— Gdzieś musi być droga awaryjnego zejścia w dół — rozwinęłam swoją myśl.

— Mamy zejść po drabinie z szóstego piętra!? — Wytrzeszczyła oczy. — Mowy nie ma!

— Wygląda na to, że nie mamy wyboru.

Minęłam rząd kominów i przedostałam się na dach przylegającego bloku.

— Tam jest! — krzyknęłam.

Klaudia powoli podniosła pozostawioną przy niej torbę, po czym z malującym się w oczach przerażeniem ruszyła w moim kierunku.

Kiedy obie dotarłyśmy do otoczonej stalowym zabezpieczeniem drabiny, chwyciła mnie za łokieć i ostrożnie się wychyliła, by spojrzeć w dół.

Na dziedzińcu pomiędzy budynkami widać było kilka zaparkowanych tam samochodów.

— Coś ty, nie dam rady — wyszeptała.

— Minuta i będzie po wszystkim.

Potrząsnęła głową i głośno przełknęła ślinę.

— Mam lęk wysokości, nie zjedę tędy.

Rozejrzałam się wokół po okolicznych dachach.

— Okej, ja to zrobię... — powiedziałam po chwili namysłu — ...a ty tutaj zaczekasz. Wejdziesz z powrotem do hotelu i otworzę ci drzwi z drugiej strony. Wydostaniesz się tą samą drogą, którą tu przyszłyśmy.

— Jesteś pewna, że to dobry plan? A co jeśli ktoś cię złapie?

— Nikt mnie nie złapie, spokojnie. Spotkamy się za kilka minut — zapewniłam.

Za plecami pozostawiłam panoramę z najwyższym budynkiem Wrocławia pośrodku. Chwyciłam się stalowych prętów i spuściłam w dół drżącą nogę.

— Jesteś tego pewna...?

— Nie takie rzeczy się robiło! — Mrugnęłam do niej.

Choć w rzeczywistości mój szaleńczy puls z każdą sekundą przyspieszał coraz bardziej.

Schyliłam głowę nie tylko po to, by schodząc w dół, kontrolować położenie kolejnych stopni drabiny, lecz również po to, żeby zataić przed Klaudią własne przerażenie.

„Minuta i będzie po wszystkim” – powtarzałam w myślach z uporem, lecz im bardziej próbowałam przekonać o tym samą siebie, tym większy rósł we mnie niepokój.

Wreszcie dotarłam do ostatniego stopnia. Ze świstem wypuściłam zgromadzone w płucach powietrze i zeskoczyłam na ziemię. Zadarłam głowę, by pomachać do Klaudii, lecz jeszcze zanim podniosłam rękę, ktoś gwałtownie szarpnął mnie do tyłu.

Rozdział 33

Nawet nie zdążyłam krzyknąć, bo napastnik zasłonił mi usta swoją wielką, śmierdzącą łapą. Drugą rękę zakleszczył mi na wysokości pasa i przyciągnął do swojego potężnego cielska.

Zaczęłam wierzcgać nogami i tłuc go pięściami po przedramieniu, ale nawet nie zareagował.

Wiedziałam, że w starciu z nim nie mam najmniejszych szans.

— Aparat musiał zostać na dachu razem z tą grubą. Skoczysz? — zachrapał goryl do swojego współnika.

Zanim dotarło do mnie, co się dzieje, ten drugi był już w połowie drogi, którą sama chwilę wcześniej pokonałam.

— Myśleliście, że tacy sprytni jesteście? — odezwał się do mnie bandyta. — Nie przewidzieliście z Bednarczykiem jednego, czyli tego, że my też będziemy robić swoje zdjęcia na wypadek, gdyby frajer próbował nas później wycyckać. Amatorzy! — zarżał. — Od razu was namierzyliśmy. Tak się to kończy, jak do męskiej roboty zatrudnia się jakąś małolatę i jej podstarzałą koleżankę.

Nie, to się nie mogło dobrze skończyć...!

Zaczęłam dyszeć. Ale przecież...

Zaraz, jak to było...? Najpierw z impetem nadepnąć napastnikowi stopę, potem z całej pary zdzielić go po uszach... Nie, chwila! Najpierw po uszach, a dopiero potem w nogę...? Moment, a łokciem w żebra to kiedy? Jak oglądałam w internecie instruktaż samoobrony dla kobiet, wszystko wydawało się takie proste...! Ratunku!!!

— Nie peniaj, nie chcemy popsuć naszych dobrych stosunków z waszym szefem. Jeszcze by się na nas pogniewał. Oddacie fotki i będzie po sprawie — powiedział przymilnie ogr.

Znów wierzgnęłam, a on ścisnął mnie mocniej.

Tymczasem jego wspólnik po okrążeniu hotelowego dachu znów stanął u szczytu budynku, jeszcze raz rozejrzał się wokół, po czym zaczął schodzić po drabinie.

— Co tak szybko!?! — krzyknął do niego krępujący mnie bandzior. — Masz...!?! A ta druga gdzie?!

— Zdążyła nawiać... — wysapał tamten.

— Nawiać?! Którędy?!

— Ktoś musiał otworzyć jej drzwi.

— Tak, jak mówiłem. — Goryl wysapał mi prosto do ucha. — Oddacie zdjęcia, to cię puścimy. Może, w takim razie, grzecznie zadzwonisz teraz do koleżanki i zaprosisz ją do nas?

Dopiero wtedy mnie olśniło.

Chciałam podzielić się moją myślą z napastnikiem, ale ze względu na zasłonięte usta, wydałam z siebie jedynie nędzny pomruk.

— Chcesz coś powiedzieć?

— Mhm.

— Nie będziesz się stawiać?

— Mhmhmmhmm!

— Tylko spróbuj jakiejś sztuczki...! — zagroził mi i powoli odjął rękę od moich ust.

— Ale po co wam aparat? — wydyszałam, z obrzydzeniem ocierając twarz. — Przecież i tak nic już na nim nie ma! Kartę pamięci ze zdjęciami mam przy sobie — powiedziałam zrezygnowana. — Ze względów bezpieczeństwa...

— Amatorka!!!

Obaj ryknęli śmiechem.

— To mi się podoba! — Bandzior wreszcie zwolnił swój stalowy uścisk. — Trzeba było tak od razu!?

Chwycił mnie za ramię i gwałtownie do siebie obrócił. Ale był spasiony...

Zaraz... Ja już go chyba gdzieś widziałam...?

Kiedy wyciągnął do mnie swoją tłustą łapę, bez wahania położyłam na nim kartę pamięci. Wtedy on kiwnął do tego drugiego, żeby teraz to on mnie pilnował. Sam otworzył bagażnik auta, przy którym wszyscy staliśmy. Wyciągnął z niego własny aparat, a tkwiącą w nim kartę podmienił na tę, którą dostał ode mnie.

— Taka mała rzecz, a cieszy — odezwał się po chwili. — Szkoda, że nie mamy czasu na bieganie po mieście za grubaską — zwrócił się do swojego współnika. — Dziewczyny mają niezły sprzęt, jeszcze lepszy od naszego. — Znów kiwnął do mnie. — A ty co masz taką minę nie tenteges? Nie bój, twoje fotki się nie zmarnują. — W lisim uśmiešku uniósł prawą stronę górnej wargi, odsłaniając krzywe zęby. — W razie czego ich użyjemy — zarżał i wrzucił swój aparat z powrotem do torby w bagażniku, a ten zatrzasnął. — Dobra, a teraz wyskakuj z telefonu.

— Co...?! To chyba jakaś kpina?! — wyrwało mi się.

— Masz mnie za leszcza? Dobrze wiem, że na nim też możesz coś na nas mieć. Dawaj. — Znów wyciągnął do mnie łapę.

— Niczego nie mam na swoim telefonie!? Co to za durny pomysł!? Wiesz, jaki to złom!? Robi beznadziejne zdjęcia z odległości dwóch metrów, a co dopiero z dwudziestu!?

— Czekam — ponaglił, na co ten drugi chwycił mnie w pasie, podobnie jak wcześniej zrobił to pasibrzuch, przy czym teraz miałam już całkowicie unieruchomione ręce.

Zaczęłam się szarpać, lecz mimo to drab bez trudu pozbawił mnie telefonu, który miałam w kieszeni. Swoją zdobycz rzucił do goryla.

Naraz mój smartfon zaczął wibrować.

— Dzwoni do ciebie jakiś Grzegorz.

Drgnęłam, ale tamten mocno mnie przytrzymał.

— Szkoda, że nie możesz teraz odebrać — dodał tryumfalnie spaślak i odrzucił połączenie, a mój smartfon wsunął do swojej kieszeni.

— Oddawaj to...! — wrzasnęłam. — Ty...! Ty tłusty... grubasie!!!

Goryl powoli się do mnie zbliżył. Położył łapę na moim policzku i poklepał.

— To się nazywa masa. — Klasnął otwartą ręką w swoje sadło, aż się zatrzęsło.

Obaj znów ryknęli donośnie.

— Czas na nas — powiedział wreszcie spaślak do swojego szczupłego współnika, cofając się do auta. — A ty przekaż szefowi, że nie z nami te numery. — Kilka razy postukał w dach samochodu, na co ten drugi, niczym wierny pies, odstąpił ode mnie i bez słowa zajął miejsce pasażera.

Goryl zasalutował do mnie dwoma wyprostowanymi palcami odjętymi od czoła, usiadł za kierownicą i ruszył w stronę bramy wyjazdowej z podwórka.

Gdy tylko auto zniknęło mi z oczu, bez namysłu pognałam do hotelu. Jedynie nieznacznie zwalniając kroku w holu, puściłam się prosto do wind.

Kiedy bez przeszkód dostałam się na szóste piętro, wybiegłam przez drzwi ewakuacyjne na dach.

— Klaudia! — krzyknęłam scenicznym szeptem.

Odpowiedział mi łoskot klimatyzatorów.

— Klaudia! — powtórzyłam, ale i tym razem nie usłyszałam niczego poza rżeniem maszyn i dobiegających z dołu odgłosów ulicznego ruchu.

Ruszyłam naprzód, by przeszukać zakamarki pomiędzy kominami i klimatyzatorami. W końcu, poważnie zaniepokojona nieoczekiwanym zniknięciem Klaudii, zdecydowałam się wezwać posiłki.

Nie chcąc budzić podejrzeń wśród obsługi hotelu swoją bieżącą w tę i z powrotem, i jako że pierwsze zejście z dachu w gruncie rzeczy zakończyło się moim sukcesem, postanowiłam i tym razem przedostać się na dół właśnie tą drogą.

Na najbliższym przystanku MPK złapałam tramwaj na Piłsudskiego. Stamtąd popędziłam na Lelewela, do mieszkania Basi. Na szczęście była już po pracy.

Na miejscu streściłam przyjaciółce swoje najnowsze perypetie, starając się jednocześnie, by przeze mnie Basia nie zeszła na zawał. Bez dalszej zwłoki pojechałyśmy na Kampinoską.

I w taki oto sposób kwadrans później przerwałam moim sąsiadom burzliwą naradę, w której to moja skromna osoba odgrywała jedną z kluczowych ról.

Rozdział 34

— A nie mówiłem...!? — krzyknął z ulgą Kudłacz, kiedy razem z Basią stanęłyśmy w progu salki konferencyjnej.

— Marta jest jak kot, zawsze spada na cztery łapy!

— Niesamowite...! — wyszeptał w zachwycie Walczewski.

— Marek? — zdziwiłam się. — A ty skąd się tu wziąłeś?

— Mógłbym zapytać was o to samo — powiedział, przeskakując wzrokiem ze mnie na Basię, i na odwrot.

— Też chcę wiedzieć — poparł go redaktor.

— To ja do niego zadzwoniłam — odezwała się Klaudia, zwracając się do mnie. — Kiedy szukałam roślin do mieszkania, podałaś mi numer do Włochacza, pamiętasz?

— Do kogo?! — zdziwili się Marek i Anka, choć każde z nich w zupełnie inny sposób: dziennikarka wybuchnęła piskliwym śmiechem, a Kudłacz, w kompletnej dezorientacji, zmarszczył całą twarz.

— Na szczęście akurat był w mieście — ciągnęła Klaudia, ignorując dociekania siedzącej obok dwójki.

— To on mnie tu podrzucił.

— I to ty wypuściłaś Klaudię z dachu? — Chciałam wiedzieć.

— Nie, no coś ty — Klaudia odpowiedziała za niego.

— Zaraz po tym, jak zeszedł po drabinie i ten bandzior cię złapał... — zaczęła opowiadać — ...zorientowałam się, że dosłownie chwilę wcześniej na dach wyszła pokojówka. Kojarzysz? Mijałyśmy ją w korytarzu. Babeczka wyszła na papierosa, właśnie kończyła palić. No to od razu rzuciłam się w stronę drzwi! — Z dumnym uśmiechem na ustach omiotła spojrzeniem wszystkich zgromadzonych wokół stołu. — Tamta w ogóle się mną nie przejęła, zupełnie jakby to była absolutnie normalna sytuacja!

Pobiegłam do wind i zjechałam. Natychmiast pognałam na dziedziniec. To był impuls. Chciałam cię ratować, ale zanim z tą wielką torbą się tam dotoczyłam, ciebie i tamtych dwóch już nie było. Byłam pewna, że cię porwali! Wtedy przerażona zadzwoniłam do Włochacza.

— Do kogo...? — jęknął zrezygnowany Marek.

Anka piała coraz głośniej.

— No a potem przyjechaliśmy tutaj — dokończyła niewzruszona Klaudia.

— Czemu nie dałaś nam znać, że nic ci nie jest? — odezwała się Anka, opanowawszy śmiech.

— Ludzie Palucha zabrali mi telefon.

— I tak po prostu cię puścili?

— Na moje szczęście, myśleli, że pracuję dla Bednarczyka. Aha, pewnie już wiecie, że... to nie ten Bednarczyk?

— Lepiej późno niż wcale. — Walczewski posłał Klaudii przychyłne spojrzenie.

— Ale jak to, myśleli, że jesteś od Bednarczyka? — dopytywała Anka.

— To uratowało mi tyłek. No wiecie, nie chcieli zrazić do siebie swojego nowego kontrahenta... Chodziło im tylko o zdjęcia. Poza tym to miał być taki prztyczek w nos Bednarczyka, żeby mu pokazać, gdzie jego miejsce. Dlatego musiałam poświęcić kartę z aparatu. I mój telefon — dodałam posepnie. — Ale najważniejsze, że dzięki Klaudii reszta sprzętu wyszła z tego cało. Mam nadzieję, że zarejestrowany materiał się nada. A podsłuch wychwycił coś ciekawego?

— Bez dodatkowych kwitów nic nam po nim — zamlaskała kwaśno Anka.

— Co nie zmienia faktu, że trzeba będzie opracować to, co zgromadziliście do tej pory — zawyrokował Walczewski. — Ziarnko do ziarnka...

— A co z moją sprawą? — Niecierpliwiłam się. — Adam się odzywał?

— Jest w drodze. A właśnie! Zadzwonię do niego, żeby mu powiedzieć, że jesteś z nami i masz się dobrze...

— Marta! — W tym samym momencie otworzyły się drzwi redakcji, a stojący w nich Adam na ułamek sekundy zastygł w bezruchu.

Rzucił torbę na podłogę i wyrwał się do mnie.

— Jesteś cała? Nic ci nie zrobili? — Chwycił mnie za ramiona i obejrzał od stóp po czubek głowy.

— Wszystko okej — potwierdziłam. — W dużej mierze zawdzięczam to tobie i twojemu szkoleniu. — Uśmiechnęłam się, a on z radości mnie uścisnął.

— Dobrze, że przy tej okazji ja sam nie trafiłem za kratki! — Zaniósł się śmiechem. — Jadąc tu, złamałem chyba wszystkie możliwe przepisy drogowe...! No ale mów, jak to się stało, że cię puścili? Sama im uciekłaś?

— Zaraz wszystko ci opowiem, ale przedtem muszę wiedzieć, czy ty zdołałaś coś ustalić?

— Niestety. — Opuścił ramiona. — To znaczy... Chyba wiem, do czego piją media, spekulując o jakimś szurniętym rytualiście. Sęk w tym, że facet już od dawna odsiaduje wyrok. Za to Kwiecicki...

— To on się jeszcze odzywał?

— Nie bezpośrednio. — Wyszczrzył się Adam. — Ale spójrz, co opublikował dziś w internecie. — Wysunął z kieszeni smartfon i wyświetlił na nim profil Kwiecickiego.

* * *

Prokuratura wprawdzie nadal mnie nie aresztowała, mimo to upragnione uczucie ulgi wciąż nie nadchodziło. Zamiast tego żyłam w narastającym napięciu. Każde pukanie do drzwi przyprawiało mnie o gwałtowne przyspieszenie serca. A najgorszy był odgłos kroków za mną, szczególnie teraz, po spotkaniu z ludźmi Palucha.

Kiedy tamten szarpnął mnie w tył, byłam pewna, że dorwał mnie zespół śledczy Zaremby. Myślałam, że to koniec! Koniec mojego życia na wolności.

To było bardziej niż pewne, że komisarz Zaremba jeszcze ze mną nie skończyła. A ja wyraźnie czułam, jak oplatająca mnie niewidzialna sieć

oskarżenia z każdym dniem stawała się coraz ciasniejsza, pozostawiając mi tym mniej miejsca na ruch.

Zaremba nie musiała fatygować się na Kampinoską. I bez tego zdawałam sobie sprawę ze swojego beznadziejnego położenia.

Tajemnicą poliszynela było to, że kiedy Zaremba upatrzyła sobie winnego, pracowała nad nim tak długo, aż ten wreszcie miękł. I nigdy się nie myliła. Nigdy. Aż do teraz.

Dni mijały, a krąg podejrzanych z mojego notesika dochodzeniowego się zawężał. Basia nie odkryła żadnych dowodów winy Wysockiej, Krzyśka wykluczyła policja, a hipoteza domniemanego związku Agnieszki z Kwiecickim straciła sens po tym, jak Adam pokazał mi jego zdjęcie w towarzystwie jakiejś panny. Wprawdzie jej twarz była niewidoczna, ale po sylwetce z całą pewnością dało się stwierdzić, że sfotografowana postać nie miała nic wspólnego z moją pulchną koleżanką z „UrbanClass”.

Za to Kwiecickiego podejrzewałam teraz jeszcze bardziej niż wcześniej...!

„Znowu razem?” – pytał ktoś w komentarzu pod zdjęciem. „A jak twoja ręka? Słyszałem, że Piterowi poszło w pięty, hehe”.

No nie, tego było już za wiele! Jak to możliwe, że policja wyłączyła serwisanta z grona podejrzanych!? Dlaczego uparcie twierdzili, że morderczynią była kobieta?

No i ten dziwny zapach w bibliotece, o którym mówił mi Krzysiek... Myślałam o nim, podlewając na balkonie wysuszone słońcem zioła, których uprawy od lat podejmowałam się każdego lata.

Rośliny rokrocznie kończyły tak samo, a ja powodu tej klęski dopatrywałam się w niewłaściwych warunkach mikroklimatycznych Sępolna. Dopiero teraz, kiedy ta sama sytuacja przydarzyła mi się tutaj, na Borku, doszłam do wniosku, że to nie mogła być kwestia dzielnicy. To musiała być wina miasta, a konkretnie smogu, który w miesiącach wakacyjnych wprawdzie aż tak nie dokuczał, ale...

Byłaby ze mnie ogrodniczka, gdybym tylko mieszkała na wsi. Choć na wsi nie jest obecnie znacznie lepiej. Jeszcze by mi się taki Paluch ze swoją

ekipą przypaletał. Adam mówił, że „Best Monitoring” zaczyna szturmować też okoliczne wsie...

Ale co to...? Z zamyślenia wyrwał mnie niespodziewany widok. Trzy piętra niżej, w mieszkaniu pani Wandy, spostrzegłam pootwierane na oścież okna. W jednym z nich wietrzyła się pościel, a to oznaczało, że emerytka wróciła już z urlopu. Ale się ucieszyłam! Sięgnęłam po klucze, które staruszka mi zostawiła, i zesłam na parter.

Pani Wanda była odmieniona! Na jej nadgarstkach pobrzękiwały bransoletki, a z uszu zwisały strojne kolczyki. Biel jej włosów zdobił fantazyjnie upięty turban, zaś barwna sukienka podkreślała subtelną opaleniznę — Marta, jak dobrze cię widzieć! — Sąsiadka klasnęła w dłonie. — Mam ci tyle do opowiedzenia! Kawy? Herbaty? — Otworzyła drzwi na oścież, zapraszając mnie do mieszkania. — O, już wiem! Dam ci skosztować marokańskiej mięty. Jestem pewna, że tak smacznej jeszcze nie piłaś!

— Skoro pani tak mówi, to muszę jej koniecznie spróbować. — Przystałam na jej propozycję. — Przy okazji oddaję klucze.

— Dziękuję, że doglądałaś Józi, naszego mieszkania i kwiatów. Przywiozłam ci coś w podzięcie. Ale o tym za chwilę. Pójdę przyrządzić miętę, a ty rozgość się w salonie.

Nie tylko pani Wanda wyglądała inaczej, również jej pokój dzienny, urządzony dotąd z zachowaniem oryginalnych trendów epoki PRL-u, awansował do nurtu wyrafinowanego eklektyzmu.

Miejsce starego sraczkowatego dywanu zajęły dwa mniejsze, ręcznie plecione chodniki bawełniane. Frędzlasty abażur lampy podłogowej zastąpił wiklinowy. Wersalkę pokrywał pled w orientalne wzory. Również na blacie ławy zauważyłam nowy bieżnik. Stała na nim pękata kadzielniczka podziurawiona kilkoma otworami, przez które sączyły się cieniutkie stróżki mlecznego dymu. Pachniało jak w hinduskiej świątyni.

— Jak ci się podoba? — zapytała z zadowoleniem pani Wanda.

Na ławie ustawiła imbryk z miętowym naparem oraz dwie malowane czarki.

— Bardzo mi się podoba! — odpowiedziałam ze szczerym uznaniem. — Wnoszę, że podróż do Maroka się udała?

— Ach, było wspaniale! — Staruszka w zachwycie złożyła ręce. — Zaczekaj... — Zwróciła się w stronę barku i zaraz wydobyła z niego niewielkie, kwadratowe pudełko, owinięte ozdobną bibułą. — To dla ciebie. — Pakunek zwróciła w moją stronę.

— Bardzo dziękuję, naprawdę nie trzeba było!

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Ruchem ręki zachęciła mnie do odpakowania prezentu.

Wonne pudełko skrywało komplet oryginalnych kadzideł ziołowych i żywicowych z ceramiczną podstawką do palenia oraz zestawem okrągłych węgielków.

— Będę ich używać z przyjemnością — powiedziałam.

— Mają działanie głęboko relaksacyjne. Ale powiem ci w tajemnicy... — konfidencjonalnie zbliżyła głos — ...że oprócz tego świetnie maskują nieprzyjemne zapachy. Sama mam jedno w toalecie. — Wymownie do mnie mrugnęła.

Po wyjściu z mieszkania babci z przyzwyczajenia sięgnęłam do kieszeni po telefon, lecz przesunawszy dłoń po pustym miejscu, ciężko westchnęłam. Chwyliłam poręcz i powlokłam się schodami na górę. Gdy byłam na półpiętrze, z redakcji wyłonił się Adam.

Posłałam mu posępny uśmiech.

— Coś się stało? — Zmartwiony zbiegł do mnie po schodach.

Dłonią delikatnie uniósł mój podbródek i zatroskany zajrzał mi w oczy.

— Od wczoraj nic się niestety nie zmieniło. — Spuściłam głowę i ramiona.

— Słuchaj? Właśnie jadę na Teki — odparł. — Muszę coś oddać jednemu kumpłowi. Może przy okazji podrzucę cię do rodziny, co?

Zrobiłam z ust lekką podkówkę, zmarszczyłam brodę i przez chwilę się zastanowiłam.

— A wiesz, że to nie jest głupi pomysł? — Raptem wstąpiła we mnie nowa energia. — Na Sępolnie może być jedna rzecz, która teraz bardzo mi

się przyda.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Adam oplótl ramieniem zagłówek fotela, na którym siedziałam, i zapytał:

— Zgarnąć cię, jak będę wracał z Teków?

— Jeśli to dla ciebie nie kłopot...? — Ucieszyłam się.

Adam nachylił się w moją stronę i szepnął:

— Będę po ciebie za jakieś trzydzieści minut. — Musnął mnie ustami w policzek.

Serce fiknęło mi koziołka.

Weszłam do domu, przywitałam się z rodzicami i zgarnawszy z haczyka przy wejściu klucz na strych, poczłapałam na górę.

Na współdzielonym z sąsiadami poddaszu na rozciągniętych na całą jego długości sznurach zwyczajowo suszyło się pranie. Przez uchylony lufcik do wewnątrz wślizgiwały się subtelne podmuchy wiatru, które przenikając przez schnący materiał, dawały uczucie przyjemnej bryzy.

Weszłam głębiej, by przedostać się do pudeł należących do mojej rodziny. Przetastowałam kilka z nich w poszukiwaniu tego, które dawno temu zdeponowałam w tym miejscu osobiście.

O, tu jest! Delikatnie odchyliłam pokrywę kartonu.

Naraz ogarnęło mnie nieopisane wzruszenie. Skarby z moich szczenięcych lat wciąż tam tkwiły! Odtwarzacz mp3 o pojemności 512 MB, który pozwalał wgrać do pamięci urządzenia co najmniej sto ulubionych piosenek, pułapka na chrabąszcze zrobiona jednego lata wraz z chłopakami z sąsiedztwa, mój pierwszy pamiętnik, a nawet jedna z dwóch bransoletek z muliny, którymi z Basią wymieniłyśmy się na znak dozgonnej przyjaźni na krótko przed tym, jak ona i jej rodzina w dwa tysiące dziesiątym przeprowadzili się do ich aktualnego mieszkania na Lelewela. Był i on — telefon komórkowy, który rodzice sprezentowali mi z okazji ukończenia podstawówki z czerwonym paskiem na świadectwie. Niezniszczalna nokia. Byłam ciekawa, czy nadal działa.

Wszystkie szpargały włożyłam z powrotem do pudełka i wróciłam do mieszkania rodziców. Oplukałam zabrudzone kurzem dłonie, wydobyłam

aparat wraz z ładowarką z przyniesionego kartonu i podłączyłam do prądu. Ekranik oldskulowej komórki po chwili rozblęsnął charakterystycznym zielonożółtym światłem.

— A do czego ci to? — zapytał tato, śledząc moje ruchy nad rozkładówką jakiejś gazety.

— Ktoś ukradł mi telefon — odpowiedziałam wymijająco.

— Jak to ukradł?! — Mama, trenująca dotąd na rowerku stacjonarnym, nagle znieruchomiła. — Kto?!

— A, taki jeden. I wiesz co? Na zdrowie! — Wzruszyłam ramionami. — Od jakiegoś czasu i tak ciągle mi się ten złom wieszał. Więc złodziej niewiele zyskał. — Cynicznie się uśmiechnęłam. — Za to ja, bez względu na to wszystko, od niedawna przymierzam się do zakupu czegoś nowego.

— I dlatego wpadłaś po ten supernowoczesny sprzęt? — Tato wskazał brodą moją starą nokię.

— Przyda mi się do czasu, aż uzbieram całą sumę na to cacko, które sobie upatrzyłam — bąknęłam.

Pod pretekstem złatwienia pilnej potrzeby w toalecie, szybko wyszłam z pokoju.

— Zresztą, w areszcie telefon i tak mi się nie przyda — mruknęłam pod nosem.

— Co ty tam szepczesz!?! — krzyknęła za mną mama.

— Nic takiego, mówiłam do siebie! — wrzasnęłam z przeciwległego zakątka mieszkania i zamknęłam za sobą drzwi wucetu.

Gdy po chwili weszłam do kuchni, żeby napić się wody, mama wyciągała ze zmywarki czyste naczynia.

— Widzę, że wzięłaś sobie do serca moją radę i nieco odświeżyłaś garderobę — stwierdziła, mierząc z aprobatą sukienkę, którą na sobie miałam. — Przywiózł cię tu ten dziennikarz?

— Skąd wiesz? — Splotłam ręce na piersiach i oparłam się pośladkami o brzeg stołu.

— Przez przypadek widziałam was przez okno — odparła. — Zdaje się, że pocałował cię na pożegnanie. Jesteście parą, tak? — Jej ukontentowanie rosło.

— To skomplikowane...

— Szkoda, że nie zaprosiłaś go do środka.

— Miał coś do załatwienia.

Sięgnęłam do maszyny po jedną z wymytych szklanek. Napelniłam ją wodą z dzbanka filtrującego, opróżniłam duszkiem i nalałam kolejną porcję.

— Mnie natomiast interesuje to... — w progu kuchni stanął tata — ...czy wiadomo coś nowego w sprawie śledztwa prowadzonego w związku z tym, co zaszło w twojej pracy.

— Wiem tylko tyle, ile podają media. — Odstawiłam pustą szklankę na blat i zajęłam punkt obserwacyjny mamy przy oknie, aby widzieć samochód Adama, kiedy ten tylko nadjedzie.

— I nie masz własnych przypuszczeń? — drążył tata.

— Naprawdę nie wiem, kto i dlaczego mógł to zrobić.

Na ulicy przed budynkiem zatrzymał się czarny golf. Spojrzałam na zegarek. Punktualność Adama była godna podziwu. Zebrałam swoje rzeczy i w pośpiechu pożegnałam rodziców.

— Widzę, że masz to, co chciałaś zabrać? — Adam spojrzał na karton, który ustawiłam na tylnym fotelu auta.

Skinęłam głową i zajęłam miejsce z przodu. Omiotła mnie intensywne, orientalne woń.

— Ale pachnie.

— To chyba twój prezent od pani Wandy.

— Taaak, to on. — Łypnęłam na pakunek leżący na samochodowej podłodze.

Zapięłam pas bezpieczeństwa.

— U rodziców wszystko dobrze?

— Mhm.

— A u ciebie? Wizyta w rodzinnych stronach podniosła cię na duchu?

— A wiesz, że tak? Nie uwierzysz, jakie skarby znalazłam na strychu! Później ci pokażę.

— No pewnie, chętnie! — Rzucił mi spojrzenie z ukosa.

Wierzch dłoni musnął moje przedramię.

Serce mocniej mi zabiło.

— Zatrzymasz się tu? — zapytałam po chwili, gdy wyjechaliśmy na ulicę Partyzantów, przy której gromadziło się kilka osiedlowych sklepików. — Potrzebuję nowej karty SIM.

Po powrocie na Kampinoską zabraliśmy z samochodu moje rzeczy, ale zamiast fatygować się na poddasze, postanowiliśmy przechować je w redakcji. Zaraz potem mieliśmy zajrzeć do Klaudii, która podobno nas szukała.

— Grzegorz pisał, że to chyba coś ważnego, bo Klaudia wyglądała na przejętą — powiedział Adam, gdy wchodziliśmy po schodach na piętro.

Kiedy sięgałam do klamki biura, telefon Adama wydał krótki dźwięk nowej wiadomości. Otworzyłam drzwi, a on spojrzał na smartfon.

— Zaczekaj...! — wyszeptał. — Grzegorz pisze, że...

Już wiedziałam, bo gdy tylko przekroczyłam redakcyjny próg, w nozdrza uderzył mnie znajomy zapach kobiecych perfum.

Mogłam jeszcze obrócić się na pięcie i na paluszkach dać drapaką, ale zamiast tego postąpiłam naprzód gotowa do konfrontacji.

Rozdział 35

— Czego tym razem dotyczy wasze... — usta policjantki drgnęły w drwiącym uśmiešku — ...śledztwo?

Z nogą założoną na drugą w stylu amerykańskiej czwórki siedziała na jednym z krzeseł ustawionych wokół stołu w otwartej na oścież salce konferencyjnej. Odchyliła głowę do tyłu, jednocześnie zwracając ją w naszą stronę. Jej koński ogon zawisł w powietrzu. Jedna połówka twarzy policjantki była pozbawiona wszelkiego wyrazu, jak gdyby komisarz rozgrywała właśnie partyjkę pokera, na drugiej zaś zarówno brew, jak i kącik ust wygięte były wysoko ku górze.

Postać Walczewskiego malowała się w głębi pomieszczenia wsparta łędwiami o parapet okna. Zaremba albo nie rozpoznawała w nim szanowanego w całym kraju publicysty śledczego, albo wizyta w jego redakcji nie robiła na niej najmniejszego wrażenia. Gdyby było inaczej, nie zachowywałaby się wobec całej naszej trójki w sposób tak obcesowy. A może chodziło jej o to, że z powodu swej dociekliwości i skutecznego obnażania niewygodnej prawdy Walczewski był swego czasu na cenzurowanym, co zresztą poskutkowało założeniem Stowarzyszenia Niezrzeszonych Dziennikarzy Śledczych, do którego przed kilkoma dniami z dumą przystąpiłam?

Jednak dzięki Zarembie mogłam stąd szybko wylecieć, i to z hukiem, zanim w ogóle zdążyłam się tu zadomowić.

— Pani komisarz jest tu w sprawie zabójstwa konsultanta zatrudnionego przed śmiercią w „UrbanClass”

— poinformował Grzegorz, a tym samym wybawił nas od konieczności udzielenia odpowiedzi na pytanie postawione nam przez funkcjonariuszkę.

— Podobno po naszym ostatnim spotkaniu... — odezwała się znów policjantka — ...rozpytywałaś innych pracowników szkoły o wizyty, które złożyliśmy wam wszystkim w sprawie prowadzonych czynności śledczych. — Spojrzała na mnie. — Do tego postanowiłaś dokonać własnej oceny okoliczności zajścia, w którym to celu dwukrotnie od tamtej pory zjawiałaś się w „UrbanClass”. Chętnie posłucham, do jakich wniosków doszłaś. — Wbiła we mnie wzrok, a opuszki palców obu dłoni złożyła przed twarzą na kształt piramidki. Była bardzo pewna siebie.

Poczułam, jak z twarzy zaczęła odpływać mi krew. Koncentrowała się w nogach, by dodać im siły i sprężystości na wypadek ucieczki. A wciąż mogłam ją wdrożyć, póki więzienne kajdany nie skuwały moich kostek, uniemożliwiając jakikolwiek gwałtowny ruch.

— To były zwykłe rozmowy w gronie znajomych — wymamrotałam. — W szkole byłam w sprawie zaświadczenia o zatrudnieniu. Za pierwszym razem sekretarka nie miała czasu, dlatego musiałam przyjść nazajutrz.

Okoliczność ta, choć była przecież wynikiem czystego przypadku, zagrała teraz na moją korzyść.

Zaremba mlasnęła z niesmakiem.

— Dobra, a kadzidło? — zapytała zniecierpliwiona funkcjonariuszka.

To był już szczyt wszystkiego, żeby policja wścibiała nos w podarek, który prywatnie otrzymałam w ramach podzięków za wyświadczoną sąsiadce przysługę!

— Gratuluję znakomitego wężu — wypaliłam.

— Co? — zapowietrzyła się.

— Sprezentowała mi je pani Wanda z parteru... — ciągnęłam, kładąc marokański upominek na stole przed śledczą — ...w ramach podziękowania za dogłądanie jej kota i roślin...

Zaremba wyciągnęła z kieszeni lateksową rękawiczkę i wsunawszy ją na prawą dłoń, ostrożnie zajrzała do środka aromatycznego pakunku.

— Wprawdzie jeszcze nie zdążyłam ich rozpakować, nie mówiąc o przetestowaniu, ale sądzę, że to dobre gatunkowo wyroby, wnosząc po ich intensywnej woni.

Zaremba zbliżyła nos do pudełeczka.

— Ale nie wiem... — kontynuowałam — ...czy będę ich używała, bo chyba jednak preferuję ciut subtelniejsze zapachy. Tak czy inaczej ten uroczy zestawik sprawdzi się świetnie również jako ozdoba na półkę, nie uważa pani?

Funkcjonariuszka w milczeniu zdjęła rękawiczkę, a pakunek ostentacyjnie pchnęła z powrotem w moją stronę.

— Doprawdy, cieszę się, że stosunki w waszym sąsiedztwie malują się tak różowo, ale te szczegóły kompletnie mnie nie interesują. Jeśli już zapomniałaś, to ci przypomnę, że prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Piotra Lempara, który, dam głowę, zginął z rąk kogoś spośród szkolnej kadry. Albo mi powiesz, kto z pracowników mógł tamtego dnia mieć przy sobie kadzidło, albo, zważywszy na twoje zamiłowanie potwierdzone w spontanicznym prezencie od sąsiadki, uznam, że to ty jesteś winna. Zawinę cię na dołek, to może wtedy coś sobie przypomnisz.

— Kadzidło w szkole? Pierwsze słyszę! Jakie znowu kadzidło? — Zmarszczyłam brwi.

— To, które paliło się nad zwłokami — odparła, jakby przytoczyła powszechnie znany fakt.

Opuściłam dolną szczękę.

— Twierdzisz, że nie masz pojęcia o tym, że na regale bibliotecznym pomiędzy książkami... — sięgnęła do swojego śledczego notatnika i przeczytała — „Boliwia. Narzeczona, więzienie i cudze wesele” oraz „Blondynka na wyspie zakochanych” — znów podniosła wzrok na mnie — ...dokładnie nad ciałem wetknięte było ćmiące kadzidło?

— Słucham!?! — Mimowolnie podniosłam głos.

— Dobrze, że serwisant od kamer zjawił się w bibliotece na czas, w przeciwnym razie wszystko poszłoby z dymem, a my zostalibyśmy z niczym. — Funkcjonariuszka kontynuowała swoją myśl. — Nie wspominając o tym, że jakiś pacan skleił ze sobą okładki co najmniej połowy księgozbioru szkoły!

— A nie uważa pani... — odezwałam się śmiało — ...że obecność tego człowieka na miejscu zbrodni jest co najmniej podejrzana?

— A dlaczego to miałyby być podejrzane? Wykonywał swoją pracę. Pech chciał, że przy tej okazji natknął się na trupa.

— Jest pani pewna? Jest kilka okoliczności, które świadczą na niekorzyść pana Kwiecickiego...

— Taak...? — Udując zainteresowanie, leciutko podparła dłonią podbródek.

— Choćby to, że do Wrocławia przyjechał z Warszawy, podobnie jak Piotr Lempar, w „Best Monitoring” zatrudnił się na krótko przed tragedią w „UrbanClass”. A do tego podobno ktoś mu się porządnie naprzykrzał, za co ten nie omieszkiał własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwości...

— Naprzykrzał...? — Policjantka nieznacznie podniosła brwi.

— Chodziło o kobietę...

— Doprawdy, nie mam czasu na zajmowanie się miłośkami studentów polibudy...! — przerwała mi.

— Kwiecicki mieszka we Wrocławiu już czwarty rok. Studiuje inżynierię systemów — poinformowała. — I nie przyjechał tu z Warszawy, tylko z Warszawki, malutkiej wsi na Pojezierzu. A twoje ustalenia są wyjątkowo niedbałe. — Rzuciła Walczewskiemu demonstracyjne spojrzenie.

Jeśli chciała ośmieszyć mnie przed redaktorem, to bez wątpienia jej się to udało. Ale przecież sama byłam sobie winna. Wyciągałam zbyt pochopne wnioski, a zebrane informacje podporządkowywałam własnym tezom.

Spąsowiałam.

— Kwiecicki... — ciągnęła Zaremba — ...ma mocne alibi. Poza tym nie miał motywu. W przeciwieństwie do ciebie! — Wbiła we mnie groźne spojrzenie. — Ofiara szantażowała cię na krótko przed swoją śmiercią, nie wspominając o tym, że byliście razem w bibliotece mniej więcej w tym czasie, kiedy dokonano zbrodni. Chyba nikogo nie dziwi, że jesteś najlepszą kandydatką do aresztu? — rzuciła ostentacyjne spojrzenie Walczewskiemu i Adamowi. — To jak będzie? Powiesz coś o tym kadzidle, które paliło się nad trupem? To miała być zmyłka, tak?

— Zmyłka? — odezwał się Adam. — A może jednak seryjny morderca? Zdaje się, że swego czasu jeden taki grasował w okolicy...

— Kpisz, czy o drogę pytasz? — Policjantka warknęła tym razem na Adama. — Naprawdę myślisz, że nie sprawdziliśmy tego tropu? — Przeskoczyła na niego wzrokiem, a jednocześnie skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. Zupełnie, jakby jej przekonanie co do tego, że słusznie wykluczyła ewentualność, o której mówił Adam, w ostatnich dniach straciło na sile.

— Słyszałeś, że dzwonią, tylko nie wiesz, w którym kościele. Szaman, o którym mówisz, od dziesięciu lat odsiaduje wyrok.

— Chyba że zamknęliście niewłaściwą osobę — wtrącił Walczewski, do tej pory przysłuchujący się rozmowie w milczeniu.

— Wątpię — syknęła Zaremba. — Nie zgadza się *modus operandi*. Użyte kadzidło różniło się od pałeczek, które stosował Szaman. Poza tym... rozpoznałabym jego sposób działania po omacku. To nie był on — zakończyła z naciskiem.

Pomimo zapewnień śledczej wyraźnie czułam, że nawet do niej samej nie do końca trafiały te argumenty. Co gorsza, wyglądało na to, że to właśnie ona odpowiadała za doprowadzenie do skazania Szamana, o którym teraz mówili. Mogłoby ją sporo kosztować, gdyby okazało się, że w więzieniu siedział niewinny człowiek.

Dlatego tym bardziej zależało jej na udowodnieniu winy komuś innemu.

— A co z ewentualnym naśladowcą? — zapytał znów Adam.

— Albo naśladowczynią. — Znów otaksowała mnie groźnym spojrzeniem.

— Nie mam pojęcia, o czym pani mówi! Pierwsze słyszę o jakimś Szamanie!

Zaremba podniosła się z krzesła, wsparła się rękoma o blat stołu konferencyjnego i nachyliła w moim kierunku.

— Dowiem się, czy mówisz prawdę.

Nie wysiliwszy się, aby kogokolwiek pożegnać, opuściła redakcję, pozostawiając za sobą wyraźny ślad ognistych perfum.

Rozdział 36

Nie chciałam wierzyć, że ktokolwiek z „UrbanClass” mógł maczać palce w śmierci konsultanta. Niestety fakty były takie, że Piotr nie żył, a skoro Kwiecickiemu brakowało motywu, zamieszany w sprawę rzeczywiście musiał być ktoś ze szkolnej kadry, tak jak przekonywała Zaremba. Za wszelką cenę musiałam odkryć prawdę, zanim spełniłyby się jej groźby.

— Robi się coraz ciekawiej. — W progu salki konferencyjnej stanęła Anka, która musiała śledzić przebieg wizyty funkcjonariuszki przycajona gdzieś za ścianą. — Słuchajcie, mam pomysł. Skoro Zaremba twierdzi, że mordercą jest ktoś z „UrbanClass”, i jeszcze okazuje się, że ten psychol zapalił nad trupem kadzidło, to może warto byłoby się zastanowić, czy w szkole pracuje ktoś, kto ma żółte papiery?

Postukałam się w czoło.

— Zgłupiałaś? Z żółtymi papierami nie można podjąć pracy w oświacie.
— Chrapnęłam, ostentacyjnie kierując wzrok na sufit.

— Nawet prywatnie...?

— Oczywiście, każda szkoła, publiczna czy nie, podlega pod Ministerstwo Edukacji Narodowej.

— I nie przychodzi ci do głowy nikt stuknięty? Może udało mu się uniknąć orzeczenia? — W geście zastanowienia złapała się za podbródek.

— Owszem, znam ze szkoły całkiem sporo wariatów — sarknęłam. — Naszych kursantów! Choć założę się, że gagatki powiedziałyby dokładnie to samo o lektorach!

— Rytuał... Kadzidło... — Walczewski myślał na głos.

— Świetnie, znamy coraz więcej okoliczności sprawy. Małymi krokami do celu. — Posłał mi pokrzepiające spojrzenie.

Wśród całej załogi zawrzała gorąca dyskusja, lecz tę wkrótce potem przerwał nam dzwonek do drzwi. Do redakcji bez zaproszenia wtargnęła

Klaudia.

— No ile można czekać!? Przecież mówiłam, że sprawa jest pilna!

Machnęła w powietrzu plikiem zadrukowanych obustronnie kartek.

— Patrzcie, co mam! — powiedziała śpiewnym tonem. Zapadnięta w biurowy fotel, ściągnęłam brwi.

— To od Angeli!

— Od Angeli...? — Wyprostowałam się. — Tej od Janusza Bednarczyka?

— Mówiłam, że coś wymyślę? — Klaudia z samozachwytu aż wytrzeszczyła oczy.

— Ale... jak!? — Momentalnie zapominając o Zarembie i całej reszcie, przyskoczyłam do niej, by zbadać przyniesione papiery.

— Sposobem! — Zadowolona, wzruszyła ramionami. — Przedstawiłam jej logiczne argumenty, przemawiające za tym, że udział w interesach jej szefa z Paluchem może się dla niej naprawdę źle skończyć. Przecież ten Paluch to bandyta, siedział w więzieniu! Poza tym na trop Bednarczyka wpadła już specjalna grupa śledcza...

— Tak jej powiedziałaś? — Wyszczrzyłam się. — I nie pytała, skąd ty w ogóle masz takie informacje?

— Nie musiała! Sama jej wszystko powiedziałam! No, może w niektórych momentach nieco rozminęłam się z prawdą, a te najmniej istotne całkiem przemilczałam. — Roześmiała się, posyłając mi znaczące spojrzenie. — Powiedziałam, że w wyniku pomyłki ci śledczy najpierw dobrali się do mnie. Ale ja się zorientowałam, że im nie chodzi o mojego, tylko o jej szefa! Dlatego postanowiłam dać jej cynk, by ratowała się, póki może! Z pewnością zaoszczędzi sobie kłopotów, jeśli tylko do wszystkiego dobrowolnie się przyzna. — Na koniec dodała, że Angela to w głębi serca porządna dziewczyna.

— Co my tu mamy...? — Zainteresował się Adam. — Mogę? — Sięgnął po przyniesione dokumenty.

— No jasne! Mnie to nie jest do niczego potrzebne! Macie tam całą historię mailową, plany osiedli, których dotyczyła transakcja, zdjęcia nieruchomości, kopie polis ubezpieczeniowych i wisienkę na torcie, czyli

zrzut ekranu potwierdzający transfer środków, które Bednarczyk przyjął w zamian za udostępnienie tych wszystkich informacji Paluchowi.

— Co? Ale jak...? Skąd...!?

— Kiedy w czasie spotkania Angela podała szefowi smartfon (miał sprawdzić, czy przelew od Palucha dotarł, bo byli tak umówieni), wcześniej uruchomiła nagrywanie ekranu. Sprytne, nie? Nikt się nie zorientował!

— Naprawdę? Ale co ją tknęło?

— Po prostu była ciekawa, jakiego rzędu kwotę przytulił Bednarczyk. Choć z drugiej strony... Mimo wszystko chyba wołała na wszelki wypadek się zabezpieczyć. Bo to Bednarczyk ją do tego wszystkiego zmusił! Myślicie, że sąd ją skáže?

— Możliwe, że do więzienia nie pójdzie — odezwał się Walczewski, podsuwając okulary na nosie. — Przyczyniając się do przyszłego ujęcia przestępców, twoja koleżanka dała wystarczająco mocny dowód skruchy, sędzia na pewno weźmie to pod uwagę. Poza tym, jeśli działała pod wpływem zależności służbowej, to tym lepiej dla niej. W tego typu sprawach to jedna z podstawowych okoliczności łagodzących. — Podeszedł do Klaudii. — A ty wyświadczyłaś nam wszystkim ogromną przysługę. Być może dzięki tobie dowiemy się też czegoś więcej w sprawie morderstwa w szkole.

— Ale... — Klaudia się zawahała. — W jaki sposób? Co miałabym...

— Spokojnie, nie będziemy cię więcej mieszać w nasz galimatias. Sami to załatwimy.

Wobec tak postawionej sprawy Klaudia pospiesznie się pożegnała i wyszła.

Walczewski powędrował wzrokiem po twarzach Adama, Anki i mojej.

— Zastosujemy metodę marchewki — powiedział w zamyśleniu.

— To znaczy...? — Chciałam wiedzieć.

— Zrobimy użytek z naszych materiałów o Paluchu i „Best Monitoring”. Przy okazji... — zwrócił się znów bezpośrednio do mnie — ...laptop dla

ciebie jest gotowy. Czeka na twoim biurku. Będziemy musieli ci też załatwić nowy telefon...

Sięgnął po dokumenty, które Adam uprzednio odłożył na stół. Przez chwilę je analizował, aż wreszcie ponownie podniósł wzrok na nas.

— Chyba naprawdę nie mogliśmy lepiej trafić — powiedział tajemniczo. — Zajmijcie się teczką... — poprosił — ...a ja wykonam kilka telefonów. Jak się uda, to wkrótce czeka nas wizyta na Podwalu. — Rzucił mi przelotne spojrzenie.

Wyszedł do swojego biura i uważnie zamknął za sobą drzwi.

— Na Podwalu...? — szepnęłam, przetykając ślinę. — Jak dobrze pójdzie?!

Ale cokolwiek planował redaktor, wiedziałam, że mogę mu zaufać.

Tymczasem Adam, Anka i ja przeniesliśmy się do pokoju pracy twórczej, by zająć się tym, co Walczewski nam zlecił.

Segregowanie materiałów zajęło nam góra kwadrans, jako że większość z nich mieliśmy przygotowaną już wcześniej. Komplet dokumentów Anka zebrała w jeden plik i stuknąwszy jego brzegiem o blat stołu, utworzyła ścisły i równy pakiet. Kiedy wsuwała go do naszykowanej teczki, zadzwonił czyjś telefon (ale nie była to charakterystyczna monofonia mojej przedpotopowej nokii, zresztą, i tak nie zdążyłam podać nikomu nowego numeru).

— No hej, już jesteś? — zapytała Anka, przykładając smartfon do ucha. — Świetnie, już schodzę. — Aparat wrzuciła z powrotem do torebki. — To co, misie kolorowe? — Posłała nam przymilny uśmiech. — Dacie sobie radę beze mnie, prawda? Liczę na was. W końcu macie w tym doświadczenie, a poza tym... Z Zarembą znacie się już chyba jak łyse konie, no nie? — Zarechotała, kierując się w stronę wyjścia. — Na pewno ucieszy ją wasz widok.

Gdy po dziennikarce w redakcji został już tylko ślad w postaci obłoku perfum wymieszanego z zapachem niedawno wypalonego papierosa, przyciszonym głosem zwróciłam się do Adama:

— Nie odnosisz wrażenia, że Anka ostatnio trochę się zmieniła?

— W jakim sensie?

— Mam wrażenie, że stała się ciut bardziej... No nie wiem...? Koleżeńska? Można powiedzieć, że na swój sposób zaangażowała się w moją sprawę... To po prostu nie ta Anka!

— Aha, o to chodzi. Faktycznie. To chyba przez to, że niedawno poznała faceta. Zdaje się, że to on tak dobrze na nią wpływa.

— Aaa, nic nie wiedziałam, ale to rzeczywiście by wiele tłumaczyło...

— Gość jest ponoć florystą, czy coś w ten deseń.

— Florystą... — powtórzyłam, unosząc z uznaniem brodę.

W ułamek sekundy później zerwałam się z krzesła i rzuciłam do okna. Gwałtownie otworzyłam je na oścież.

— Marek?! — wrzasnęłam z niedowierzaniem, wychylając się przez parapet.

Spod ogrodzenia willi odjechała furgonetka z reklamą kwiaciarni „Kuferek”.

— Słuchajcie. — Do pokoju wszedł Walczewski. — Muszę jeszcze coś załatwić. Jak dobrze pójdzie, to jutro rano spotkamy się... — szeroko się do mnie uśmiechnął — ...na placu Wolności. Stamtąd przespacerujemy się na komendę, okej? — Przesunął wzrok na Adama. — Czekaście na cynk.

Zgarnął ze stołu teczkę i wyszedł.

Rozdział 37

Siedzieliśmy z Adamem na bocznych schodach NMF-u² w cieniu jedyne go drzewa po tej stronie alejki wzdłuż budynku. W milczeniu obserwowałam cyklistów przemykających po ścieżce rowerowej nad fosą i spacerujące promenadą zakochane pary w różnym wieku. Z kierunku placu Wolności niosły się odgłosy deskorolkowych flipów. Za pasem zieleni, po drugiej stronie Podwała, czerwienił się kompleks neogotyckich budynków z dwoma charakterystycznymi, à la warownymi wieżami.

Przez ułamek sekundy poczułam dziwną pulsację powietrza. Przestrzeń wokół jakby gwałtownie się skurczyła. Nabrałam powietrza do płuc i wypuściłam je ze świstem, rozdmuchując napierające na mnie otoczenie.

Położyłam dłoń na karku i przeciągnęłam ją po szyi, w stronę obojczyka. Zdjęłam okulary, zmrużyłam powieki i rozmasowałam sobie kość nosową. Chciałam sięgnąć po mój bloczek śledczy, ale wtedy Adam delikatnie szturchnął mnie w bok.

— Czas na nas — szepnął.

Otworzyłam oczy i spojrzałam w dół.

— Gotowi? — zapytał Walczewski, ściskając pod pachą opasłą teczkę. — Mamy komplet.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek znów zawitam we wrocławskiej komendzie wojewódzkiej. A już na pewno, że zrobię to dobrowolnie!?

Minąwszy potężne filary wspierające fasadę gmachu wspięliśmy się po schodach do głównego wejścia. Przecieliśmy wyłożony malachitową glazurą hol i ruszyliśmy na piętro, gdzie mieścił się gabinet dawnego znajomego Grzegorza — inspektora Wiktora Raczyńskiego.

— Witaj, stary druhu! — pozdrowił redaktora rosły mężczyzna w średnim wieku.

Wyszedł zza masywnego biurka ustawionego pod oknem, za którym roztaczał się widok na jeden z wewnętrznych dziedzińców komendy.

Serdecznie uściśnął dłoń redaktora.

— Mów, co cię do mnie sprowadza, ciekaw jestem! Po tym szambie, które wybiło w związku z tamtą aferą ubezpieczeniową, nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś się do nas pofatygujesz. — Inspektor znów zajął swoje miejsce za biurkiem. — Zaszłyś się w jakiejś ciepłej norce, co? Gdzie się podziewałeś przez ten czas? Opowiadaj mi tu wszystko, jak na spowiedzi!

— To tu, to tam... — uciął Walczewski, siadając naprzeciwko niego. — Znasz mnie, nie lubię długo siedzieć w jednym miejscu.

— Grzechu, ty stara wygo! — Roześmiał się inspektor, prowokacyjnie grożąc mu palcem. — Jednak ciągnie wilka do lasu, co? — Rozparł się w fotelu i splótł ręce z tyłu głowy. — A ci młodzi, których ze sobą przyprowadziłeś, to kto? — Podniesioną brodą wskazał mnie i Adama. — Podejdźcie. — Zachęcił nas spokojnym spojrzeniem. — Nie ma się czego bać. Mówią wprawdzie, że groźny ze mnie pies, ale was nie ugryzę. — I niejako na dowód swych słów donośnie szczechnął.

Adam postąpił kilka śmiałych kroków naprzód, a tuż za nim, próbując opanować zmieszanie, ruszyłam się i ja.

— To moi pracownicy — wyjaśnił Grzegorz. — Marta i Adam.

— Uczysz ich dziennikarskiego fachu, co? — Zmrużył powieki. — Ale moja inspektorska intuicja coś mi mówi, że jako belfer nie skupiasz się na samej teorii... Mów, coś zwietrzył.

— Paluch. — Walczewski położył na biurku teczkę z naszymi materiałami. — Parę razy trzymaliście go po sąsiedzku... — kiwnął głową w kierunku gmachu aresztu śledczego po drugiej stronie ulicy — ...i na Kleczkowskiej. Wyszedł trzy miesiące temu — zaczął. — Z pomocą powinowatego swojej konkubiny objął jedną z firm ochroniarskich i pod płaszczykiem prewencji antywłamaniowej kroi właścicieli domków na przedmieściach. Właśnie dobił targu z prezesem firmy deweloperskiej, stawiającej pod miastem nowe osiedla luksusowe. Facet przehandlował mu chronione prawnie informacje na temat swoich klientów i ich nowo

powstałych nieruchomości. Paluch planuje konkretnie się na nich obłowić. Pomyślałem, że może cię to zainteresować, szczególnie że... — nachylił się nad biurkiem i unosząc czoło, nieznacznie ściszył głos — ...podobno jedną z tych chawir kupił sobie wasz komendant.

Wprawdzie wraz z Adamem staliśmy w odległości kilku metrów od inspektora, jednak nie przeszkodziło nam to w tym, by dojrzeć iskrę żądz, która rozbłysła spod jego powieki.

— Tutaj... — Grzegorz poklepał dłonią teczkę — ...masz na nich wszystko, czego potrzebujesz, żeby się do nich dostać, zanim zrobi to CBS.

Inspektor przeciągle mu się przyjrzał, jakby poddawał jego słowa dogłębnej analizie.

— Doceniam twoją szczodrość — odezwał się wreszcie. — Ale co mi po tym wszystkim, skoro artykuł pewnie już puściliście, przypisując zawczasu wszelkie zasługi sobie, co?

— Niczego nie opublikowaliśmy. — Walczewski znów oparł się o krzesło. — Zrobimy to dopiero po akcji, której będzie przewodził sam inspektor Wiktor Raczyński. — Zdziornie zaklaskał językiem.

— I że niby co? — Mężczyzna powoli sięgnął po teczkę. — Że mam teraz zaciągnąć u ciebie dług wdzięczności, tak? — Rozchylił karton i wysunąwszy ukryte w nim dokumenty, pobieżnie je przejrzał.

Z powodu nieoczekiwanego podarunku od losu przez jego twarz przemknął cień satysfakcji.

— Spokojnie — zaprzeczył Walczewski. — Wystarczy, że powiesz nam coś o kadzidle, które ekipa Zaremby znalazła niedawno przy trupie w „UrbanClass”. Konkretnie chodzi nam o to, jakim sposobem wykluczycie sprawstwo nijakiego Szamana.

— Takim sposobem... — inspektor wrzucił teczkę do jednej z szuflad pod blatem biurka, a tę z impetem zatrzaskał — ...że Szamana od dziesięciu lat trzymamy pod kluczem na Kleczkowskiej. — Zaśmiał się. — Tymczasem ten śmierdzący patyk, co o mało nie zjarał szkolnej biblioteki, to stosunkowo świeży trend. Szaman z całą pewnością o czymś takim nawet nie słyszał. Chyba że zanim rozpoczął swoją niechlubną działalność

w naszym mieście, odbył duchowioną podróż w głąb Ameryki Południowej. Ale zapewniam cię, że pomimo swojej ksywki, nigdy tam nie był. On w ogóle nie był za granicą. — Zarechotał. — Poza tym profil psychologiczny sprawcy z „UrbanClass” z dużą dozą prawdopodobieństwa potwierdza, że zbrodni dokonała kobieta. No wiesz, wariatka, która przeżyła miłosny zawód, najpewniej ze strony ofiary. Trudno o inną interpretację okoliczności, które na miejscu zdarzenia zastali nasi technicy. Choć to wszystko może być oczywiście zwykłym zrzędzeniem losu, który wpuścił moich ludzi w maliny. — Zgrzytnął zębami, zaś na jego skroni na moment uwydatniła się pulsująca żyła. — Ale wątpię. Zaremba to profesjonalistka. Według jej słów, winną dorwiemy lada dzień. — Wstał z fotela i wyciągnął do Walczewskiego pożegnalną dłoń. — No i co, Grzechu? Chyba nie za bardzo ci pomogłem? Chociaż — kto cię tam wie... Nieraz ci mówiłem, że powinieneś zasilić szeregi policji. Daleko byś z nami zaszedł.

— To fakt, przynajmniej biurokrację opanowałbym do perfekcji.

Walczewski uściśnął dłoń inspektora, po czym odwrócił się w naszą stronę i posyłając nam porozumiewawcze spojrzenie, przeszedł w stronę drzwi. Wszyscy troje pożegnaliśmy się z Raczyńskim i opuściliśmy jego gabinet.

Minęliśmy korytarz piętra, kierując się w stronę schodów. Skracający się dystans, który dzielił nas od wyjścia z komendy, z każdym pokonanym metrem wzmagał we mnie różne uczucie ulgi.

— Nie mówiłeś, że komendant kupił dom właśnie na którymś z tych osiedli? — zagadnął Walczewskiego Adam.

— Bo tak dokładnie nie wiedziałem. Słyszałem po prostu o Wilkszynie, ale bez szczegółów. Więc musiałem powęszyć głębiej. Wczoraj...

Walczewski przerwał w pół zdania, gdy po drugiej stronie holu, w wejściu do budynku, pokazała się Zaremba w towarzystwie swojego partnera.

Na nasz widok twarz policjantki rozpromienił lisi uśmiech. Z udawaną serdecznością otworzyła ramiona.

— Co za miłe spotkanie! — Przywitała nas gorąco. — Państwo do mnie?

— Niestety, nie tym razem, pani komisarz — odpowiedział jej Grzegorz.

Uprzejmie skinąwszy do niej głową, zamierzał ją wyminąć, by utorować przejście Adamowi, a przede wszystkim mnie.

— Nie tak szybko. — Zaremba zaszła mi drogę. — Skoro już tu jesteś, to coś dla ciebie mam — powiedziała z nonszalancją w głosie, po czym zwróciła się do swojego partnera: — Skoczysz na górę?

Mężczyzna przytaknął ruchem głowy i szybkim krokiem ruszył w stronę schodów na piętro.

Mimochodem spójrzałam w stronę okien. Do diaska, że też pościągali z nich klamki!

Zaremba, nie spuszczać mnie z oczu, wzięła się w boki. Po chwili wyciągnęła rękę ponad moim ramieniem. Przy uchu zaszeleściła mi jakaś kartka. Funkcjonariuszka wysunęła z kieszeni długopis, po czym postąpiła w stronę kontuaru usytuowanego w centralnej części holu, pod oknami.

— Zapraszam — zachęciła mnie ruchem dłoni.

Podążyłam za nią na zeszywniałych nogach. Adam i Grzegorz podeszli zaraz za mną.

— Dobrze, że się nie minęliśmy. — Policjantka demonstracyjnie pokręciła głową. — W przeciwnym razie znów musiałabym pofatygować się na Kampinoską. Masz, podpisz. — Wręczyła mi długopis.

Wilgotną dłonią podniosłam leżący przede mną arkusz i przebiegłam wzrokiem po wydrukowanym tekście.

Zmarszczyłam brwi i podniosłam oczy na Zarembę.

— Masz jakieś zastrzeżenia? — zapytała. — Aaa, ja wiem! Wolalabys złożyć nam rewizytę tutaj...? W sumie racja. — Niby w geście zastanowienia wysunęła palec wskazujący w górę. — Ja u ciebie byłam już dwa razy.

Potrząsnęłam głową.

— Przyjdę do szkoły — potwierdziłam i, niewiele rozumiejąc, podpisałam wręczone mi wezwanie. — Tylko po co?

— Wszystkiego dowiesz się na miejscu. — Zadowolona schowała do kieszeni długopis, a pismo podała swojemu partnerowi. — Szykuje się

posiadówka pełna wrażeń... — rzuciła na odchodne. — Będzie cała szkolna śmietanka!

2 Cytat z piosenki A. Osieckiej pt. „Tylko nie pal” – przyp. autorki

Rozdział 38

W pokoju nauczycielskim wrzało jak w ulu. Podłużny stół, który zwykle stał na środku, przesunięto pod jedną ze ścian, zaś krzesła wcześniej go okalające tworzyły teraz krąg zajmujący znaczną część pomieszczenia. Niektórzy od razu zajęli w nim miejsca, inni stali. Wszyscy dyskutowali na temat prawdopodobnego powodu wezwania nas na miejsce.

— Czujesz to...? — Usłyszałam śmiech jednej z koleżanek, gdy mijałam grupkę dziewczyn stojących przy drzwiach.

— Równie dobrze mógł być to któryś z kursantów... — dobiegł mnie głos Beaty z biblioteki, gdy postąpiłam kilka kroków naprzód.

— No coś ty, tego dnia w szkole nie było już zajęć. O naszych uczniach można powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że są nadgorliwi! — Z pełną powagą odpowiedziała jej Paulina od niemieckiego.

— Podobno tego samego dnia ktoś ze szkoły znokautował Krzyśka...

— Czujecie to!?

— Założę się, że to ta nowa z biblioteki — ogłosiła bez pardonu któraś z dziewczyn zgromadzonych w kółeczku nieco dalej.

— A może ta poprzednia?

— Mówię wam! Ja słyszałam, że coacha dopadła mafia!

— Dobrze, że już tu nie pracuję — powiedziała Żaneta i splótłszy ręce na piersiach, zwróciła się w stronę kilku osób podpierających ścianę.

— Podobno miał na pieńku z wice...

— Nie z wice, tylko z Wincek. Ponoć się z niej wyśmiewał.

— Czujesz to? — Znów zabrzmiało w moich uszach, zupełnie jak powtarzający się refren piosenki.

— A ty jak myślisz? — Przywitał mnie Krzysiek, kiedy wreszcie zdołałam precyzyjnie się do niego i Agi. — Ja obstawiam, że zapadła

ostateczna decyzja o zamknięciu szkoły z powodu niewykrycia sprawcy – powiedział. – Myślicie, że dostaniemy chociaż odprawę?

– Żartujesz? – prychnęła Agnieszka.

Jej świeża opalenizna wyglądała tak, jakby Aga wróciła właśnie z urlopu w jakimś egzotycznym kraju. Co, swoją drogą, było wykluczone, bo przecież do czasu ujęcia sprawcy nikomu z nas nie wolno było opuszczać kraju.

– Jeśli mają zamknąć, to nie coś... – ciągnęła Aga – ...tylko kogoś, a konkretnie mordercę coacha. Może policja wreszcie wykryła sprawcę?

– Faktycznie, coś tu śmierdzi... – wyszeptalam, pociągając nosem.

– No raczej... – potwierdził Krzysiek – ...bo w przeciwnym razie nie wzwano by nas tutaj w trybie pilnym.

– Nie to mam na myśli. – Zmarszczyłam nos i podeszłam do okna, by je otworzyć.

Już sięgałam do klamki, gdy naraz otworzyły się drzwi pokoju nauczycielskiego, a za moimi plecami rozległ się donośny, znajomy głos.

– Czy mi się zdaje, czy ktoś próbuje dać drapaką?

– zapytała kpiąco Zaremba.

– Dzień dobry, pani komisarz – odpowiedziałam, powoli odwracając się w jej stronę. – Ja chciałam tylko...

– Czmychnąć przez okno? – Zaremba podniosła drwiąco brew.

– ...wpuścić do sali odrobinę świeżego powietrza, żeby pozbyć się tego dziwnego zapachu. Czuje to pani?

– Taka wrażliwa jesteś? – Zaremba zmrużyła powieki.

Wcisnęłam szyję w ramiona i w milczeniu zajęłam jedno z wolnych krzeseł ustawionych dookoła.

Obok mnie usiadł Krzysiek, a dalej Agnieszka.

– Cześć wszystkim! – Do sali wśliznęła się Kamila. – Jeejuu, co tak śmierdzi? Czujecie to!? – Skrzywiła się. – Gorzej niż w szalecie! – Po chwili namysłu dodała: – Choć właściwie nigdy nie byłam w szalecie. O, dzień dobry. – Dopiero teraz spostrzegła lustrującą nas wszystkich

Zarembę. — Przepraszam, nie zauważyłam pani komisarz... — Speszona, zajęła wolne miejsce przy drzwiach.

Znów łypnęłam w stronę okna. Zaremba ukradkiem pogroziła mi palcem.

— Proszę o ciszę! — powiedziała władczo, ogarniając wzrokiem całe grono.

— Kto się odezwie, ten z policji! — szepnął mi do ucha Krzysiek.

Do pokoju nauczycielskiego weszły obie dyrektorki, a zaraz za nimi sekretarka oraz jeszcze dwie ciut spóźnione nauczycielki.

— Dzień dobry państwu — przywitała się głośno dyrektorka, po czym zaczęła przeciskać się na tyły.

— Skoro wszystkie... — zaczęła funkcjonariuszka — ...och, pardon — zerknęła na Krzyśka — ...wszyscy jesteśmy już na miejscu...

— Przepraszam... — Szefowa, mijając mnie i Krzyśka, nachyliła się do niego, po czym z malującym się na twarzy obrzydzeniem teatralnie szepnęła: — Czy byłby pan tak uprzejmy i uchylił okno?

Krzysiek łypnął na śledczą. Kobieta ruchem głowy zaakceptowała wniosek dyrektorki, lecz jednocześnie rzuciła mi czujne spojrzenie.

Co, do diaska?! Czy ja wyglądam jak Houdini?!

— Wprawdzie zamierzam siedzieć tu tak długo...

— wznowiła Zaremba — ...aż wreszcie rozwiążę wiadomą sprawę... — przyjrzała się twarzom zgromadzonych — ...ale żeby uniknąć niepotrzebnych wstępów, powiem krótko, że celem naszego spotkania jest aresztowanie zabójcy Piotra Lempara, który z całą pewnością zginął z rąk którejś z osób tutaj zgromadzonych.

Podniosła się wrzawa, wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

— Cisza! — wrzasnęła policjantka. — W toku dochodzenia... — kontynuowała — ...wykluczyliliśmy udział osób postronnych. Dalsze szczegóły naszych ustaleń zachowam na razie dla siebie. Powiem tylko, że wiemy na pewno, że zabił ktoś z państwa. — Zgromiła nas wszystkich wzrokiem. — Dlatego uznałam, że najskuteczniejszą strategią szybkiego wykrycia sprawcy będzie... konfrontacja.

— Zbiorowa? — Zdziwił się Krzysiek.

— A dlaczego nie? — warknęła. — Może zna pan współczesne metody śledcze lepiej ode mnie i ma lepszy pomysł? Chętnie posłucham. — Zadarła podbródek.

Krzysiek wbił wzrok w podłogę i zaplótł ręce na torsie.

— Pozwolę sobie pominąć zbędne formalności co do ustalenia tego, czy wszyscy nawzajem się znają i jakie stosunki państwa wzajemnie łączą. To sprawa oczywista. Przejdziemy od razu do ustalania pewnych faktów.

Naprawdę byłam gorąco zainteresowana tym, co miała do powiedzenia Zaremba. Ale kiedy poczułam na plecach lekki podmuch wiatru, mimowolnie pograżyłam się we własnych myślach.

Świeże powietrze, które wdarło się do wietrzonej sali przez otwarte okno, zamiast wywabić z niej ten dziwny smrodek, jedynie rozsiało go po wszystkich zakamarkach pomieszczenia, mieszając go z intensywną, ognistą wonią perfum komisarz Zaremby, i nie mniej narzucającym się pudrowym zapachem, który bił od jednej z koleżanek.

Krzysiek kichnął.

I wtedy mnie olśniło. Poderwałam się na równe nogi.

— Siadaj. — Zaremba próbowała mnie spacyfikować.

— Kiedy ja nie mogę!

— A co, masz jakiś problem... — chrząknęła — ...zdrowotny? Wiem, że jesteś nadpobudliwa, ale żeby aż tak? Dla odmiany miałam ochotę posłuchać kogoś innego. No ale skoro koniecznie chcesz zacząć, to niech stracę. Mów po kolei, możesz zacząć od tej pani przy drzwiach.

— Ale co...? — spytałam niepewnie. — Nie to miałam na myśli! Po prostu przyszło mi coś do głowy... To ma sens. Ja już wiem, dlaczego to wszystko się tak pogmatwało! To znaczy mam na ten temat pewną hipotezę...

— Co się pogmatwało?

— Przez te wszystkie dziwaczne poszlaki szukaliśmy kompletnie nie tam, gdzie trzeba!

Zaremba podniosła brew.

— A to mógł być zwykły zbieg okoliczności! Szaman... — rzuciłam śledczej znaczące spojrzenie — ...i jego sposób działania pewnie nie mają tu nic do rzeczy!

— A jednak sprawca zostawił coś nietypowego na miejscu zbrodni... — policjantka forsowała własne przypuszczenia. — Coś, co ma dla całej sprawy niebagatelne znaczenie!

Podniósł się szum.

— Tak... — potwierdziłam — ...ale przecież mógł to zrobić z zupełnie innych pobudek, niż ten wariat, Szaman!

— A niby z jakich? Po co, twoim zdaniem, zabójca miałby przynieść do biblioteki kadzidło, jeśli nie w celu, w którym ostatecznie go użył? Akurat wąż rytualny jest w tej sprawie wyjątkowo wyraźny. Palo santo służyło rdzennym Amerykanom między innymi do okadzania zmarłego podczas ceremonii pogrzebowej, aby ułatwić jego duszy przedostanie się do zaświatów. Naprawdę myślisz, że w tych okolicznościach to bez znaczenia?

— Matko, nie miałam o tym pojęcia! A wy wiedzieliście? — Rozejrzałam się po twarzach pozostałych.

Zaczęli potrząsać głowami i wzruszać ramionami.

— Może w takim razie... — zwróciłam się znów do Zaremby — ...sprawca też nie był tego świadomy?

— Skoro tak, to po co przywłókł kadzidło do biblioteki? Chyba mi nie powiesz, że chciał zrelaksować się podczas czytania? — zakpiła.

— A co jeśli w momencie popełnienia zbrodni wcale go przy sobie nie miał? Może dopiero po fakcie je tam przyniósł?

Zaremba wreszcie wyzbyła się swojego zwyczajowego, szyderczego wyrazu twarzy, który zastąpiło teraz coś w rodzaju umiarkowanego zaciekawienia. Powoli ruszyła w moją stronę, lecz ostatecznie zatrzymała się nie przede mną, a przed Agnieszką.

Pociągnęła nosem.

— Co to za dziwny zapach? — Rozejrzała się wokół.

Policzki Agi zapłonęły.

— Zdaje się, że to mój samoopalacz... — wymamrotała, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

— Tamtego dnia też go pani użyła?

— Skąd, dopiero wczoraj wieczorem kupiłam go w Rossmannie!

— To może być prawda — potwierdził Krzysiek. — Jeszcze kilka dni temu Aga nie była taka brązowa.

Śledcza zmrużyła powieki.

— Masz jakiś pomysł... — zwróciła się znów do mnie — ...dlaczego morderca miałby przynieść do „Urban-Class” kadzidło akurat tego dnia, nie mając jednocześnie zamiaru wykorzystać go w sposób, w jaki ostatecznie to zrobił? Chyba nie myślisz, że tak po prostu zawsze je przy sobie miał?

— Nie, raczej nie. A jeśli to nie on przyniósł je do szkoły? Może ktoś mu je tu podrzucił?

— Współdziałł? — Zainteresowanie policjantki rosło z każdą chwilą. — Możesz jaśniej?

— Nie chodzi o żaden współdziałł! To mógł być... zwykły zbieg okoliczności! I chyba jest ktoś, kto może to dla nas sprawdzić. Dlatego... — zawahałam się — ...muszę na chwilę wyjść.

— Kpisz sobie? — Zaremba wybuchnęła cynicznym śmiechem.

— Niech pani komisarz idzie ze mną.

— A reszta?

— Może nas pani zamknąć na klucz — odezwała się cicho dyrektorka, unosząc do góry pęk kluczy, który ze sobą przyniosła.

— Zgoda. — Zaremba przystała na tę propozycję. — Ale pan pilnuje okna — zwróciła się do Krzyśka. — Jeśli ktokolwiek, łącznie z panem, stąd wyjdzie, nie chciałabym być w pańskiej skórze.

— Pani komisarz może być spokojna — odparł Krzysiek. — To przecież drugie piętro, a my nie mamy tu zabunkrowanej żadnej liny. — Wyszczrzył się i usiadł na parapecie, tarasując własnym ciałem dostęp do okna.

Nieznacznie odchylił się do tyłu i splótł ręce za głową.

— Co prawda zostaje też związanie ubrań, chociaż tym sposobem moglibyśmy zejść maksymalnie piętro niżej, ale dziewczyny pewnie i tak nie będą tym zainteresowane, zwłaszcza że musiałyby poświęcić własną garderobę. — Zadowolony rozparł się na swoim miejscu.

— Ta opcja rzeczywiście nie wchodzi w grę — potwierdziła Zaremba, omiółwszy spojrzeniem siedzące w kole lektorki ubrane w zdecydowanej większości w krótkie spodenki i sportowe T-shirty.

Na korytarzu Zaremba przytrzymała mnie za łokieć i z dłonią opartą o kaburę z kajdankami zastrzegła:

— Jeśli wywiniesz mi jakiś numer...

— Bez obaw, może mi pani zaufać. — Pokojowo uniosłam dłonie.

Odwrociłam się i ruszyłam przed siebie.

— A właściwie... — odezwałam się po chwili, prowadząc Zarembę w stronę wyjścia ze szkoły. — Tak się zastanawiam, dlaczego pan Tadeusz, szkolny dozorca, nie bierze udziału w naszym spotkaniu? Żanetę pani komisarz wezwała, chociaż już tu nie pracuje...

— Sprawstwo Tadeusza Czerwińskiego wykluczaliśmy z całą pewnością. — Sapnęła policjantka. — Wprawdzie szkolne kamery nie działały, za to te należące do właściciela budynku już tak. Jedna z nich, zamontowana na klatce schodowej, obejmuje swoim zasięgiem drzwi szkolnej dyżurki. Odkąd zmianę zaczął Czerwiński, nie otworzyły się ani razu aż do momentu, w którym Kwiecicki odkrył trupa. Mamy pewność, że Czerwiński siedział tam w czasie popełnienia zbrodni. W przeciwieństwie do tej drugiej portierki.

Kiedy dotarliśmy do dyżurki, pan Tadek w pośpiechu zamknął gazetę, którą właśnie czytał.

— Coś potrzeba? — zapytał usłużnie.

Zaremba wbiła we mnie pytający wzrok.

— Panie Tadeuszu, mamy do pana jedno pytanie. Proszę się skupić, to bardzo ważne — zaczęłam.

Dozorca wyprostował się na krześle i przestał mrugać.

— Kiedy niedawno rozmawialiśmy... — nachyliłam się do okienka nad kontuarem — ...powiedział pan, że w dniu, w którym zginął trener, z osób postronnych był tu tylko serwisant od kamer...

— Przecież już dawno wyklucziliście sprawstwo Kwiecickiego! — Zaremba nie dała mi dokończyć.

Uniesioną dłonią poprosiłam ją o chwilę cierpliwości, na co ta ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

— Serwisant i kurier — ciągnęłam. — Pamięta pan?

Portier potwierdził ruchem głowy.

— Kurier!? A dlaczego pan wcześniej o nim nie mówił!? — wzburzyła się policjantka. — A rejestr wejść i wyjść? Kuriera w nim nie ma!

— Bo on do szkoły nie wchodził, a wyście się interesowali tylko tym chłopakiem, któremu Żanetka dała przepustkę...

— Panie Tadeuszu — znów się odezwałam — a ta przesyłka, którą kurier tu wtedy zostawił... Czy jest pan w stanie powiedzieć, kto...

— A, wiem, o co chodzi — powiedział dozorca i sięgnął do jednej z szuflad pod blatem. — Zaraz sprawdzę, co to było. Prowadzimy szczegółowy rejestr, dyrektorka kazała...

Zaremba ze zmienionym wyrazem twarzy nachyliła się do okienka, za którym siedział portier. Kiedy nasze twarze znalazły się na jednej wysokości, policjantka spojrzała mi w oczy i — mogłabym przysiąc! — przez ułamek sekundy zabłysła w nich iskra uznania.

Funkcjonariuszka ostentacyjnie odsunęła mnie na bok i niemal wsadziła głowę do wnętrza dyżurki przez niewielki otwór.

Wspięłam się na palce. Z przyklejonym do szyby nosem skierowałam wzrok na zeszyt, który wertował pan Tadzik.

Gdy mężczyzna odnalazł właściwą stronę, zwrócił zeszyt do śledczej. Zerknęłam jej przez ramię i przeczytałam:

„Nadawca: twoja.yoga.pl. Adresat...”.

— Bingo! — szepnęła z pasją Zaremba.

Rozdział 39

Z pokoju nauczycielskiego dobiegał jakiś hałas. Zaremba przekręciła klucz w zamku i energicznie pchnęła drzwi. Natychmiast rzucił się nam w oczy kłębiący się przy oknie kocioł.

— Co tu się wyrabia?! — wrzasnęła Zaremba, wbiegnąwszy do środka.

Naraz wszystkie twarze zwróciły się do niej, zaś stłoczone przy oknie grono raptem się rozstało. Na parapecie siedziała pozieleniała na twarzy Kamila. Klęcząca przy niej Wysocka ścisnęła ją za rękę.

— Panie Braciak, liczyłam na pana!? — powiedziała z wyrzutem do Krzyśka funkcjonariuszka.

— Jedna z pań po prostu źle się poczuła... — odpowiedziała jej zatroskana wicedyrektorka.

— Nie dziwię się. — Zaremba wbiła surowy wzrok w chorą. — Kamilo Rewczuk, jest pani aresztowana pod zarzutem zabójstwa Piotra Lempara — wyrecytowała i szybkim ruchem wydobyła z kabury kajdanki, którymi skuliła nadgarstki podejrzaney.

Przez pokój nauczycielski przepłynęła fala oburzenia.

— To był nieszczęśliwy wypadek! — wykrzyknęła Kamila.

— Ma pani prawo zachować milczenie — poinformowała ją funkcjonariuszka. — Ma pani również prawo do adwokata.

— Ale ja już nie mam nic do ukrycia! — oświadczyła Kamila. — Nie chciałam, żeby to się stało! To był wypadek!

Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać.

— Nie wiedziałam... — mówiła dalej Kamila, na co reszta kadry znów ucichła — ...że natknę się na was w bibliotece. — Spojrzała na mnie, łykając łzy. — Poszłam tam, żeby odnieść kilka płyt i książek, które

kursanci zostawili w multimedialnej. I wtedy was zobaczyłam. A potem usłyszałam, co Piotrek do ciebie mówił...

— Piotrek?

— To wy się już wcześniej znaliście?

— Ale jazda!

— Dosyć tego, wystarczy! — zakomenderowała Zaremba.

Ale Kamila nie słuchała.

— Nie mogłam w to uwierzyć, bo ten drań jeszcze poprzedniego dnia obiecywał mojej najlepszej przyjaciółce małżeństwo! A przecież Sylwia przeszła ostatnio tak wiele...! — Zerknęła na Wysocką.

— Och, Kamila...! — Wicedyrektorka przysłoniła dłonią usta.

— Odruchowo cofnęłam się na korytarz, a kiedy ty wychodziłaś... — Kamila znowu zwróciła się do mnie — ...ukryłam się za drzwiami. Byłaś bardzo zdenerwowana, dlatego mnie nie zauważyłaś. A kiedy tylko zniknęłaś za zakrętem, do biblioteki weszłam ja. Powiedziałam temu bydlakowi, żeby trzymał się od Sylwii z daleka, inaczej wszystko jej powiem! Wtedy on chwycił mnie za ramiona i zaczął mną potrząsać. Groził mi! Musiałam się bronić! Kopnęłam go w krocze i z całej siły odepchnęłam... — Przełknęła ślinę. — Był za nim ten stołek, na który zawsze wchodzimy, żeby dosięgnąć książek na najwyższych półkach. Piotrek na niego wpadł i stracił równowagę. Uderzył głową w półkę tego pustego regału, który stoi na samym końcu, pod ścianą... — Na moment skryła twarz w skutych dłoniach. — Ja naprawdę nie chciałam go zabić!

— To dlaczego postanowiła pani zatrzeć ślady? — zapytała odruchowo Zaremba.

— Byłam w szoku, bałam się... — Kamila znów podniosła głowę — ...że ktoś rozpozna w bibliotece zapach moich perfum i wszyscy się dowiedzą! Wtedy przyszło mi do głowy, żeby zapalić palo santo, którego używam w domu w czasie wieczornych ćwiczeń. Ma bardzo intensywną woń i akurat było w przesyłce, którą odebrałam wcześniej z portierni... Nie miałam pojęcia, że tam, skąd ono pochodzi, używa się go też podczas ceremonii pogrzebowych...

Wkrótce na miejscu zjawiła się ekipa z Podwała. Gdy śledcza przekazała w jej ręce Kamilę, reszta kadry „UrbanClass” zaczęła rozchodzić się do domów. Wszyscy wciąż komentowali to, co właśnie zaszło.

Ja też zebrałam się do wyjścia, jednak zanim zdążyłam opuścić budynek, Zaremba na moment mnie zatrzymała.

— Dobra robota. — Jej głos dobiegł mnie ze szczytu schodów.

Nie dowierzając własnym uszom, obróciłam się w jej stronę.

— Muszę przyznać Walczewskiemu, że ma nosa w kwestii doboru pracowników. — Mówiąc to, policjantka schodziła po kolejnych stopniach. — A tak z ciekawości... Skąd pomysł, że zabójca zostawił kadzidło na miejscu zbrodni z zupełnie innych pobudek, niż my wszyscy przypuszczaliśmy?

— To długa historia... — Westchnęłam. — Zaczęło się od kadzidła, które podarowała mi sąsiadka, no i od tego, że pani komisarz podejrzewała mnie o naśladowczynię Szamana...

Śledcza zakasłała.

— A na właściwy trop naprowadził mnie ostatecznie samoopalacz Agnieszki — wyznałam.

Zaremba zatrzymała się przede mną i pobłażliwie mi się przyjrzała.

— Zresztą, nieważne. — Machnęłam ręką. — To chyba załoga redakcji nauczyła mnie nieszablonowego myślenia. Zrozumiałam, że pozory często mylą, a rozwiązanie zagadki może okazać się prozaiczne. — Wzruszyłam ramionami. — Pozostawione w bibliotece kadzidło nie musiało być wiadomością, tak jak w przypadku sposobu działania Szamana. Nie, nasz sprawca nie miał zamiaru zdradzać dochodzeniówce swojej tożsamości. Wręcz przeciwnie! On, a raczej ona chciała ją ukryć, a palo santo użyła w celu zamaskowania własnego zapachu. Teraz, kiedy wiemy już, kto zabił, wydaje mi się to jeszcze bardziej uzasadnione, bo Kamila należy do tych kobiet, które przed wyjściem z domu uwielbiają oblać się wręcz całym flakonikiem perfum... — Rzuciłam Zarembie wymowne spojrzenie.

Na jej dekolcie pojawiło się kilka czerwonych plamek.

Epilog

Ciepłe, sierpniowe powietrze łaskotało mnie po twarzy. Wreszcie mogłam odetchnąć pełną piersią. Kiedy zatrzymałam się na Przejściu Świdnickim, spostrzegłam Adama wyczekującego mnie po drugiej stronie ulicy. Z radości do niego pomachałam. Choć jego oczy zasłaniały ciemne okulary, dojrzałam na jego twarzy malujące się zadowolenie.

— Nie uwierzysz! — Próbowałam przekrzyczeć uliczny zgiełk. — Rozwiązałam tę sprawę!

Gdy zapaliło się zielone, bez wahania przebiegłam przez jezdnię i zatrzymałam się tuż przed nim.

— Muszę zadzwonić do Basi! — Dotknęłam dłońmi swoich rozgrzanych policzków. — Może wymówić pracę u Wysockiej!

— Byłem pewien... — odezwał się Adam — ...że odkryjesz prawdę, zanim zrobi to Zaremba. Zwłaszcza że dziś dokonałem w swoim aucie pewnego odkrycia... — Wyciągnął do mnie pięść, która skrywała coś małego.

Nastawiłam dłoń.

— Żartujesz...!? — Dmuchnęłam na klamerkę, której brakowało w zapięciu mojej torebki. — Gdzie była?

— W golfie, pod fotelem pasażera. Dobrze, że nie wciągnąłem jej odkurzaczem.

Głośno się roześmiałam i wcisnęłam spinkę do kieszeni.

Samochody, stojące dotąd na światłach, znów ruszyły. Wtedy Adam chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

— Nareszcie możemy skupić się na tym, co obojgu nam od dawna chodzi po głowie... — wyszeptał.

A niech mnie!!!

Położyłam mu dłoń na karku i zmrużyłam powieki, pozwalając, by jego zmysłowy pocałunek przeniknął całe moje ciało.

— To co? Randka? — Adam uśmiechnął się frywolnie.

Posłałam mu przeciągłe spojrzenie.

— A znasz jakieś fajne miejsce? — Nie potrafiłam ukryć ekscytacji.

Adam objął mnie ramieniem i zgodnie ruszyliśmy Świdnicką w stronę rynku.

— A słyszałaś o tej kraksie dzisiaj na bocznej Drobnera? — zapytał po chwili.

— Nie... A co się stało...?

— Na szczęście nic poważnego. Wyobraź sobie, że zarządca drogi pomieszał plany oznakowania. Albo monterom coś się pokiełbasiło? — Pokręcił głową. — Inżynierowie...

Wrocław, styczeń 2022

Podziękowania

Dziękuję mojemu mężowi oraz naszej córce za każdą chwilę naszego wspólnego życia. Dziękuję Wam, Mateusz i Lauro, za wspieranie mojej pasji, za to, że jeździcie ze mną po Polsce, by promować moją twórczość. Dziękuję, że mogę dzielić z Wami te małe i większe sukcesy. Dziękuję za Waszą radość i entuzjazm — to one dodają mi skrzydeł.

Dziękuję mojej przyjaciółce, Marcie Witiw. W chwili zwątpienia dodałaś mi otuchy i dostarczyłaś świetnej inspiracji, która posłużyła mi do rozbudowania portretu charakterologicznego jednej z postaci.

Dziękuję Oli Bańkowskiej. Olu, za wszystkie nasze rozmowy, za Twoją wiarę w moje możliwości oraz za to, że jako pierwsza przeczytałaś tę książkę i przekonałaś mnie, że również inni czytelnicy pokochają zawartą w niej historię.

Dziękuję mojej rodzinie, a w szczególności Mamie. Mamo, Twoje sugestie dotyczące tekstu są zawsze trafne. A poza tym, uwielbiam nasze niekończące się rozmowy o literaturze oraz to, że chętnie sięgamy po podobne tytuły.

Dziękuję moim teściom, a przede wszystkim teściowej Basi. Mamo, dzięki Twojej nieopisaney pomocy mogłam poświęcić więcej czasu na pracę nad książką.

Dziękuję redaktor Ewie Hoffmann-Skibińskiej za kolejną udaną współpracę. Ewo, dopieściłaś mój tekst, dzięki Tobie polubiłam go jeszcze bardziej. Za wartościowe komentarze, długie rozmowy, motywację i życzliwość dziękuję redaktorowi Robertowi Ratajczakowi. Dziękuję Marcie Kanieckiej za konsultację redakcyjną próbnego fragmentu książki.

Dziękuję Natalii Jargieło za drugą piękną okładkę!

Dziękuję moim wirtualnym znajomym, którzy regularnie wspierają mnie swoją dobrą energią i słowem: Dorocie, Monice, Dominice, Anecie,

Łukaszowi, Sandrze, Basi, Pauli, Justynie i Joannie.

Dziękuję patronom medialnym: Beacie Skrzypczak „Opowieści”, Weronice Kostrzewie „Frelka_recenzuje”, Wiolecie Sadowskiej „Subiektywnie o książkach”, Agnieszce Brodzińskiej „my_ja_i_ty”, Marcie Dobrzyńskiej „Misera_ble” oraz załodze Radia RAM”.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania niniejszej książki.

Dziękuję Tobie za jej przeczytanie. Cieszę się z tej odrobiny wspólnego czasu!

Do zobaczenia na targach książki, spotkaniach autorskich w bibliotekach i domach kultury oraz w social mediach.

Instagram: @maja_gulka

Facebook: Maja Gulka – Autorka